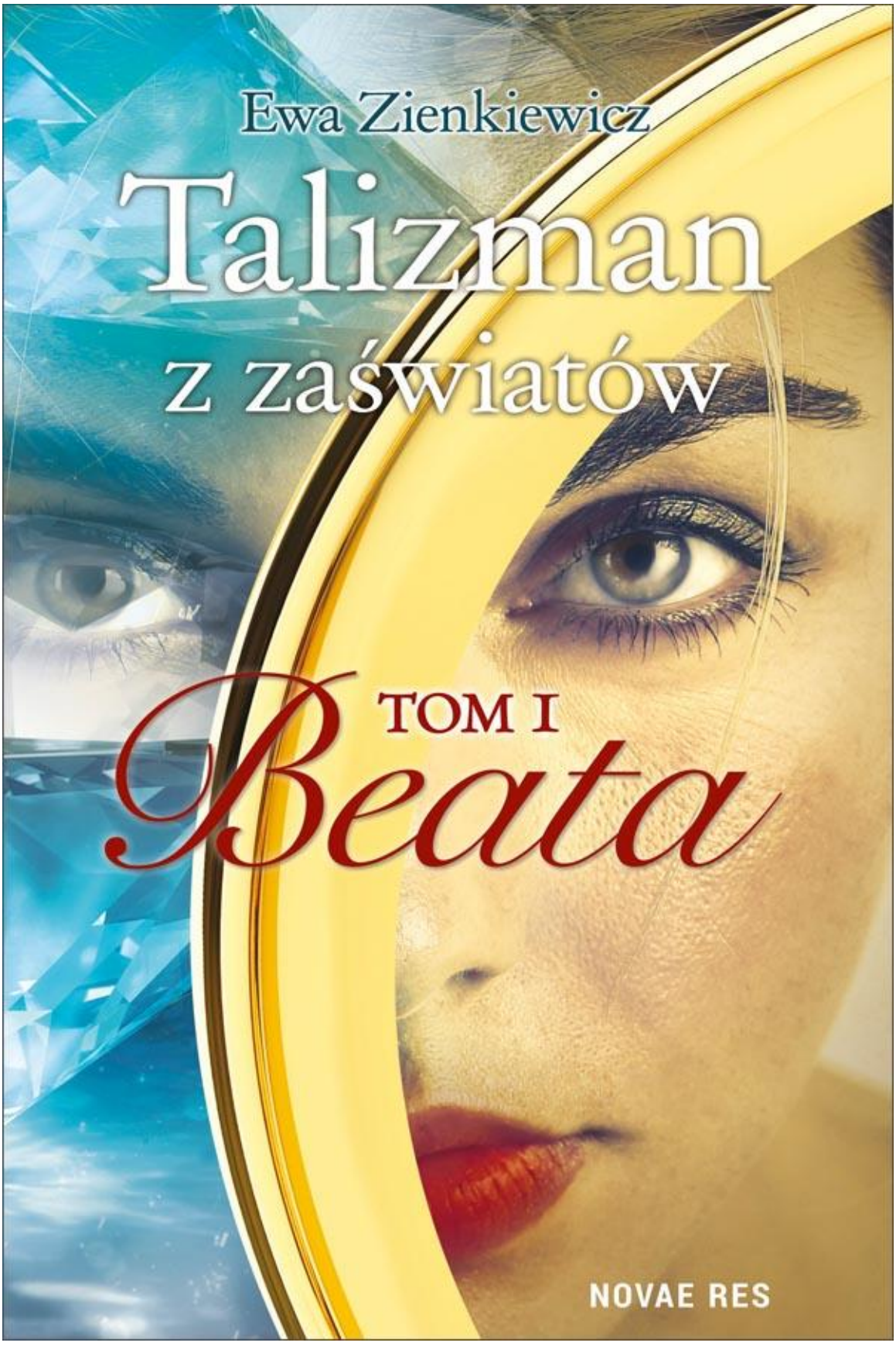
Ewa Zienkiewicz
Talizman
z zaświatów
TOM I
Beata
NOVAE RES

Ewa Zienkiewicz

Talizman
z zaświatów

TOM I

Beata

NOVAE RES

Spis treści

Prolog, czyli epilog

1. Beata

2. Czwórka do brydża

3. Sąsiedzi

4. Śledczy

5. Propozycja

6. Spotkanie

7. Wizyta

8. Kłopoty

9. Testament

10. Tyberiusz

11. Pierścień

12. Figurka

13. Oświadczyny

14. Nowi przyjaciele

15. Porwanie

16. Odkrycie

17. Inny trop

18. Misja

19. Aresztowanie

20. Strzelanina

Prolog, czyli epilog

„Czy kiedykolwiek poznamy wstrząsającą tajemnicę tej krwawej zbrodni? Kto był ofiarą, a kto mordercą? Nawet policja nie potrafi odtworzyć logicznego przebiegu przerażającego zajścia…”

Beata czytała na głos fragmenty artykułu.

„Wszystkie ściany zbryzgane krwią…”

– Rzeczywiście, krew była wszędzie – przytaknęła.

Przeciągnęła się, ziewając. Przyłożyła niewidzialny mikrofon do ust, jakby udzielała wywiadu:

– Nigdy, przenigdy nie dowiecie się, jak było naprawdę!

Z zagadkowym uśmiechem odrzuciła gazetę na podłogę. Na chwilę pogrążyła się we wspomnieniach, odtwarzając w pamięci wydarzenia sprzed miesiąca. O dziwo, nagle zatęskniła za nimi wszystkimi.

– Zostałam tu teraz sama – westchnęła. – Muszę zwalczyć lenistwo i zacząć planować. Posiadanie takiej mocy daje niesamowite możliwości, ale też i zobowiązuje do osiągania sukcesów.

Po chwili skierowała światło bocznej lampki tak, aby odbicie w lustrze stało się wyraźniejsze.

Siedziała na krześle, opierając bose stopy o blat toaletki.

– Proszę, proszę – powiedziała, przyglądając się sobie z zainteresowaniem w dużym lustrze wiszącym naprzeciwko. – Piękną warto być dla własnej przyjemności. Dla innych wystarczy być skuteczną – stwierdziła z przekonaniem. – Piękna dama rano wita swoje ciało pełnym uwielbienia pozdrowieniem: Dzień dobry, dzień dobry, moje cudowne nogi! – zawołała piskliwym głosikiem.

Obrzuciła spojrzeniem swoje długie nogi. Solidne i toporne, równie wdzięczne jak nogi stołowe.

Pokiwała gołą stopą w różnych kierunkach.

– Numer czterdzieści cztery. Prawdziwa rzadkość w salonach obuwniczych – powiedziała z uznaniem. – Och, witaj, mój biuście przepiękny! – ciągnęła piskliwie przemowę, klepiąc się po niemal płaskiej klatce piersiowej. – Doprawdy nie ma się czym chwalić – oceniła uczciwie. – I cera nie najlepsza, niestety. Ale co tam – skwitowała niedbale już własnym głosem. – Weźmy na przykład takie biodra – zaczęła znowu, jednak sygnał telefonu nieoczekiwanie przerwał jej monolog w pół słowa.

Wstała, rozglądając się za komórką, przy okazji wskazując swojemu odbiciu w lustrze szerokie, choć raczej kościste biodra, opięte krótkimi pasiastymi spodenkami.

– Beata Smugowska, słucham – powiedziała, opadając z powrotem na krzesło i opierając pięty o blat toaletki.

– To ja – odezwał się po chwili milczenia naburmuszony męski głos.

– O, jak miło – odparła Beata, robiąc porozumiewawcze miny do odbicia w lustrze. Zmarszczyła nos i pokazała sobie język.

Mężczyzna zaczął mówić, a Beata, jak gdyby nigdy nic, kontynuowała przegląd części swojego ciała.

Odchyliła głowę, podnosząc grzywkę i eksponując profil z dużym nosem. Ten nos, niegdyś utrapienie, wydawał się teraz symbolem jej sukcesu, starym i wiernym towarzyszem wygranej batalii.

Mężczyzna nieprzerwanie mówił, nie oczekując odpowiedzi. Opowiadał z goryczą o spragnionym stanie swojego ducha i ciała. Chwilami jego głos załamywał się. Zupełnie jakby wypowiadanie myśli przychodziło mu z największym trudem. Słowa wyrażały bezradność, ale też złość. Musiał przyznać się do porażki, uznać jej siłę, a to było dla niego równoznaczne z utratą honoru, godności i wolnej woli. Został pokonany. On, uosobienie męskości, obiekt marzeń niezliczonej rzeszy wielbicielek. Zdjęcia jego przystojnej twarzy zdobią dwudziestometrowe billboardy. O wywiady z nim zabijają się wszystkie gazety. Nie tylko pisma kobiece i czasopisma z modą, ale nawet międzynarodowe magazyny biznesowe!

Beacie jego słowa sprawiały przyjemność. W rzeczywistości nie były niczym innym, jak tylko kolejnym wyznaniem miłosnym.

Chwilami odsuwała telefon, machając nim wesoło w powietrzu, i znowu przybliżała go do ucha. Słuchała z uśmiechem czułego pobłażania, jak matka obserwująca dziecko stawiające pierwsze kroki. Teraz płakało obolałe, a ona wiedziała, że czekało je jeszcze wiele takich upadków.

Nieśmiała prośba o spotkanie zawisła w powietrzu. Zapadła cisza.

– Dobrze – zgodziła się. – Mogę być gotowa za dwadzieścia minut.

W słuchawce trwało milczenie, jakby mężczyzna nadal, teraz już tylko w myślach, kontynuował płaczliwy monolog.

– To co, powiedzmy za godzinkę spotkamy się tam, gdzie ostatnio?

– Dobrze – zgodził się ponuro.

Beata odłożyła telefon i zaczęła się szykować. Rozczesała włosy, pozwalając im ułożyć się fantazyjnie. Wiedziała, że w cokolwiek się ubierze, on i tak będzie zachwycony.

– Kawał ze mnie kobiety – stwierdziła, zerkając w kierunku lustra. – Metr osiemdziesiąt sześć, to powinien być powód do dumy.

Zmieniła szorty na eleganckie ciemne spodnie. Na szyi zawiesiła skromny łańcuszek z opalem i podkreśliła kolor oczu niebieskim cieniem do powiek.

– Gotowe – stwierdziła z zadowoleniem, idąc w kierunku przedpokoju.

Wyciągnęła klucze z lakierowanego plecaczka.

Drzwi wejściowe miały trzy zamki, ale zamykała je tylko na jeden. Od czasu

morderstwa nawet złodzieje omijali ich dom.

„Trudno będzie znaleźć nowych lokatorów” – pomyślała, schodząc po schodach. „Może obniżą mi czynsz, jeśli zacznę kaprysić?”

Minęła drzwi ze śladami resztek po taśmie naklejonej przez policję.

Nie był to jedyny ślad wydarzeń sprzed miesiąca. Na ścianie, tuż przy framudze drzwi, widniał krwawy odcisk kciuka.

Policjant albo ktoś z ekipy sprzątającej musiał się pobrudzić. „Fakt, było czym” – pomyślała o kałużach krwi na podłodze. Pokręciła głową, śmiejąc się w duchu na wspomnienie tych wszystkich ludzi ogarniętych przerażeniem.

Zbiegając z ostatnich stopni, odwróciła się nagle i posłała całusa w kierunku feralnego mieszkania.

– Dobra zbrodnia nie jest zła. – Parsknęła śmiechem.

Otworzyła szklane drzwi i wyszła w noc.

1. Beata

Pięć miesięcy wcześniej

W ciepłe majowe popołudnie Beata wyniosła leżak na taras i ułożyła się wygodnie w zacienionej części. Unikała słońca, bo opalała się na czerwono, a jeśli, nie daj Boże, promienie słoneczne zaróżowiły jej i tak dość wydatny nos, wpadała w rozpacz i wściekłość.

Zamknęła oczy i słuchała gruchania gołębi i skrzeku srok dobiegającego spośród drzew rosnących wokół budynku. W przydomowym ogródku ktoś opowiadał sąsiadom o nasionach wysiewanych kwiatów. Jakieś dziecko siedziało samotnie w piaskownicy i pokrzykując samo do siebie, próbowało przywabić przyjaciół.

Z mieszkania na pierwszym piętrze dobiegały głosy rozmawiających ludzi. Mężczyzna i kobieta.

Beata miała ochotę wychylić się przez barierkę i zajrzeć na taras mieszkania pod nią. Może udałoby się zobaczyć nowych lokatorów.

Dwa tygodnie temu przyglądała się przeprowadzce. Przez otwarte drzwi balkonowe słychać było wtedy przekleństwa i okrzyki facetów wnoszących kartonowe pudła, rozstawiających meble oraz sprzęty.

Pohamowała ciekawość i pozostała w wygodnej pozycji pozwalającej jednocześnie leżeć, rozmyślać i drzemać.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że mieszka we własnym mieszkaniu, które kupiła i urządziła według swoich upodobań. Wprowadziła się zaledwie przed dwoma miesiącami. Część lokatorów mieszkała tu od wielu lat. Pod numerem trzy na pierwszym piętrze też pojawili się nowi lokatorzy, wprowadzali się właśnie dzisiaj. Beata czuła z nimi duchową więź, chociaż z drugiej strony, znając już okolicę, mogła służyć za przewodnika. Budziło to w niej przyjemne poczucie dumy.

Od końca maja utrzymywała się piękna pogoda. Ciepłe powietrze wypełniał balsamiczny zapach bzów kwitnących w ogródkach pod oknami.

Trzykondygnacyjny budynek po kapitalnym remoncie składał się z czterech klatek wejściowych, po sześć mieszkań w każdej. Beata mieszkała na drugim piętrze w środkowej. Wejścia do budynku usytuowano od wschodu, na tę stronę wychodziły też okna kuchni. Sypialnia i pokój dzienny miały okna od zachodu. Stąd było widać placyki zabaw dla dzieci, alejki spacerowe oraz kwiatowe rabaty przeplatane ozdobnymi krzewami posadzonymi przez lokatorów, którzy kultywowali zamiłowanie do prac ogrodniczych.

Beatę zachwycały wysokie kasztany, jesiony, małe zagajniki brzozowe, kępy oryginalnych iglaków i kwitnące między nimi na biało i różowo drzewa owocowe. Otoczenie osiedlowych bloków, zielone niemal jak ogród botaniczny, zostało zagospodarowane z myślą o zaspokojeniu wszelkich potrzeb mieszkańców –

również tych estetycznych.

Szukając mieszkania, obejrzała sto dziesięć różnych lokalizacji, ale żadna nie wytrzymywała porównania z tym miejscem. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby w wyobraźni zobaczyła, jak wraca po pracy do domu alejką pośród drzew. Cena również okazała się niższa od spodziewanej. Używane mieszkania były dużo tańsze od nowych. Musiała wziąć niewielki kredyt, bo pieniądze uzyskane ze sprzedaży starego mieszkania, odziedziczonego po matce, nie pokryłyby w pełni ceny nowego.

Zaraz po śmierci matki nie myślała o pozbyciu się rodzinnego gniazda i przeprowadzce do innej dzielnicy. Dopiero teraz zaczynała w pełni odczuwać zadowolenie z podjętej decyzji. Czuła się silna, samodzielna i niewiarygodnie szczęśliwa, choć oczywiście nie udało się jej rozwiązać wszystkich życiowych problemów.

Na przykład jutro musi pójść do pracy. Z właściwą sobie starannością i zaangażowaniem zajmie się bieżącymi sprawami, ale też spotka się z ludźmi, których lubi coraz mniej.

„Co się z nimi stało? Przez tyle lat byli mi ostoją. Żyłam obok nich, jakby z boku. Chronili mnie przed kłopotami i pomagali, kiedy opieka nad rodzicami pochłaniała coraz więcej czasu. Nawet podpisywali za mnie czasami listę obecności, kiedy musiałam czuwać przy umierającym ojcu. Byli wyrozumiali i wrażliwi, a teraz jakby odreagowywali dawną cierpliwość. Chwilami odnoszę wrażenie, że chcą się mnie pozbyć.

Co to za draństwo pozwalać sobie na takie podłe, no po prostu perfidnie chamskie uwagi? I to mają być przyjaciele! Gówno, a nie przyjaciele!” – zacietrzewiała się, prowadząc w myślach monolog od czasu do czasu przerywany wyszeptywanymi z furią wyzwiskami.

Znów zaczęła odtwarzać sytuację sprzed dwóch dni. Teraz wymyślała cięte riposty, których nie wygłosiła we właściwym momencie. Atakowała i robiła uniki, odparowywała ciosy, tak żeby zabolało. Dranie. Niestety w jednej kwestii nie miała nic na swoją obronę.

Wiedziała, że przez pospolitych zjadaczy chleba niezbyt ładna, niezdarnie przygarbiona z powodu wzrostu trzydziestosiedmioletnia stara panna jest postrzegana jako życiowy bankrut. Szczególnie teraz, kiedy po śmierci rodziców została sama na świecie.

„Ale dlaczego, dlaczego?” – chciała im krzyknąć w twarz. „Czy dlatego, że nie poślubiłam któregoś z was, kurduple sięgające mi do pasa? Czy dlatego, że nie któremuś z was gotuję obiadki, by wasze i tak spasione dupska mogły nadal obrastać tłuszczem? Bo nie piorę waszych brudnych gaci i skarpetek?” Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy rozżalenia.

„Jestem wykształcona, inteligentna, oczytana, mam sporą wiedzę. Wykonuję

odpowiedzialną pracę. I wykonuję ją dobrze. Płacę podatki, jestem samowystarczalnym i pożytecznym członkiem społeczeństwa.

A mimo to często byle pętak ma czelność oznajmić wszem i wobec: Beata nie ułożyła sobie życia. Wiecie, ONA NIE WYSZŁA ZA MĄŻ!"

Leżała na tarasie, rozpamiętując krzywdy w cieple zachodzącego słońca. Powoli uspokoiła się, ogarnęła ją senność. Pod powieki zaczęły napływać dziwaczne wizje. Ni to majaki, ni to barwne obrazy, nieuchwytne jak zapach egzotycznych perfum zapamiętanych z dzieciństwa. Odpływała w sen, słysząc dobiegające z daleka i z bliska niezrozumiałe słowa, dziwne mamrotania, syczenia, dzwonienia, chichoty. Zasnęła.

Obudziła się zziębnięta, zdrętwiała i zła. Co za głupota przespać całe popołudnie i wieczór. Stała przez chwilę oparta o balustradę tarasu, słuchając dobiegającego z ciemności cykania świerszczy ukrytych w trawie i krzakach.

Weszła do pokoju. Zajrzała do żółwi. W nowym, dużym akwarium było im wygodnie. Przez szklane ścianki przeświytywała zieleń roślinności. Wodny ogród ożywiał pokój.

W świetle dnia akwarium ginęło w gęstwinie liści i kwiatów tropikalnego pnącza wyrastającego ze stojącej na podłodze dużej plecionej donicy. W nocy, podświetlone specjalną lampą, jaśniało jak ekran trójwymiarowego kina.

Wieczorami Beata często usadawiała się na wygodnej, choć staromodnej sofie w szaro-białe pasy. Na małym stoliku z wiśniowego drzewa, przywiezionym ze starego mieszkania, ustawiała paczkę papierosów, bombonierkę lub filiżankę herbaty i siedząc w ciemności, obserwowała podwodne życie pływających w górę i w dół mieszkańców akwarium. Sprowadzone dzięki specjalnym staraniom ojca, należały do gatunku żółwi wodnych o niewielkich rozmiarach.

Teraz też na parę minut włączyła świetlówkę. Przez chwilę stała jeszcze przy akwarium, w zamyśleniu przyglądając się zwierzakom. Jej ulubiony, najstarszy żółw Roland wydawał się ostatnio troszkę osowiały. „Miejmy nadzieję, że to nic poważnego" – pomyślała.

Zapaliła światło i zaciągnęła zasłony.

Z przyjemnością rozejrzała się dookoła. W urządzenie mieszkania włożyła wiele pracy. Jak również pomysłowości i pieniędzy. Było piękne niczym dzieło artysty. Każdy kolor wybrała starannie, z rozmysłem, określając najpierw gamę barw, których zamierzała użyć. Tutaj czuła się jak królowa świata. Szczęśliwa i spełniona.

Bez pośpiechu poszła do łazienki przygotować się do snu. Usiadła na brzegu wanny i przyglądała się swoim dużym bosym stopom.

„Niektórzy malują paznokcie palców u nóg" – pomyślała. „Justyna mówiła, że kiedyś malowała tylko u nóg, a u rąk nie. Taka seksowna kokieteria. Może bransoletka na kostce? Tatuaż na ramieniu? Chyba jeszcze mogłabym pozwolić

sobie na podobną ekstrawagancję?" Próbowała odtworzyć w pamięci, w co ubierała się w czasach, kiedy prowadziła beztroskie życie dziewczyny otoczonej gromadą przyjaciół.

Zapragnęła znów poczuć dreszczyk emocji towarzyszący przygotowaniom przed wyjściem na spotkanie. Oczami wyobraźni zobaczyła reakcję kolegów z pracy na pomalowane paznokcie u nóg i bransoletkę na kostce. „A Justyna, co ona by powiedziała? Że zgłupiałam do reszty? Hm.

Powinnam poznać zupełnie nowych ludzi. Wolnych i niezależnych, tak jak ja. Przecież muszę zbudować nowe życie. No racja, teraz jestem panią samej siebie" – uświadomiła sobie ze zdziwieniem. „Tylko ode mnie zależy, co z tym dalej zrobię.

Mama nie żyje od sześciu miesięcy, tata od roku. Pielęgnowałam ich w chorobie ponad sześć lat. A teraz już nie muszę. I nie muszę ciągle siedzieć w domu. Ich już nie ma. Nic mnie nie wiąże.

I nie muszę się nikogo słuchać.

Teraz jestem zupełnie sama.

Urządziłam sobie piękne mieszkanko. Czas zaprosić jakiegoś królewicza i rozpocząć wspólne dorosłe życie. Zostało mi jeszcze parę lat na założenie rodziny, na dzieci, wnuki. Trzydzieści siedem plus dwadzieścia daje pięćdziesiąt siedem. Z grubsza. Zdążę zostać babcią, a nawet prababcią. Jeżeli dożyję dziewięćdziesięciu siedmiu lat, praprababcią. Dogonię, a może nawet prześcignę wszystkie koleżanki. Tylko skąd wziąć królewicza?"

Nałożyła krem na powieki i pod oczy. Umyła zęby, usuwając z ust niesmak po popołudniowej drzemce.

Weszła do sypialni. Poklepała narzutę na dużym wygodnym łóżku.

– Mam nadzieję – westchnęła, otulając się lekką letnią kołdrą – że mimo wszystko uda mi się zasnąć.

Następnego ranka wstała wcześniej niż zwykle. Dobrze się wyspała i miała całkiem przyjazne nastawienie do całego świata.

Dlatego nieoczekiwanie i wbrew swoim zasadom wdała się w pogawędkę z dziećmi z mieszkania naprzeciwko. Na ogół unikała zbytniego spoufalania się z sąsiadami. Wlezą potem człowiekowi na głowę i kłopot gotowy.

Bardziej rozmowna okazała się sześcioletnia dziewczynka. Zadawała podchwytliwe pytania dotyczące posiadania dzieci, samochodu, roweru, psa, aż w końcu wydusiła z siebie pytanie, które musiało nurtować ją najbardziej:

– A proszę pani, czy dzisiaj też przyjdzie do pani ten koń? – spytała. Beata otworzyła ze zdumienia usta.

– Jaki koń?! – odparła poirytowana. Już żałowała, że wdała się w rozmowę z głupimi dzieciakami. O co chodzi tej smarkuli? Dzieci czasami przekręcają

podsłuchane rozmowy dorosłych.

– To nie był koń, ty głupia! – krzyknął chłopczyk. Miał jakieś osiem lat i wyglądał bardzo rezolutnie.

– A właśnie że koń – oburzyła się dziewczynka. – Widziałam!

– Ty nawet nie wiesz, jak wygląda koń! – Chłopczyk trzepnął ją po głowie na dowód swojej przewagi intelektualnej i fizycznej.

– A właśnie że wiem! Mama, on mnie uderzył w głowę! – Dziewczynka szarpnęła drzwiami. Z krzykiem i tupotem pobiegła przez korytarz w głąb mieszkania.

– Nieprawda, ona kłamie!

Chłopczyk pomknął za siostrą, żeby osobiście zaświadczyć o swojej niewinności.

Beata stała przez chwilę bez ruchu, próbując pojąć sens wydarzenia, które przed chwilą rozegrało się przed jej oczami.

„Boże – pomyślała – dzieci to przyjemność mocno przereklamowana".

W pracy opowiedziała całą historię podczas przedpołudniowej kawy, którą zawsze pijali wspólnie. Rozbawiła towarzystwo i przez chwilę poczuła, że chyba jeszcze trochę ich lubi. Pracowali razem od dziesięciu lat. Wiadomo, znudzenie. Znają się od podszewki, nikt już nie ma złudzeń co do kolegów. Znają swoich mężów, żony, dzieci i różne ciemne sprawki. Czegoś zazdroszczą, coś mają za złe, czasami jakaś zapiekła uraza za słowa sprzed wielu lat wymyka się spod kontroli.

Beata nie była sprawiedliwa w ocenie wzrostu kolegów. Naczelnik Wydziału Środowiska, zwaliste, brzuchate chłopisko, był od niej wyższy o pół głowy. Reszta rzeczywiście była niższa, ale wcale nie tak bardzo. Natomiast od lat żaden z kolegów nie traktował jej jak kobiety. Była dla nich kumplem, współpracownikiem, humorzastą ciotką, zapóźnioną w rozwoju nastolatką. Zapracowała na taki wizerunek, bo w dodatku ubierała się jak chłopczyca.

Czasami koleżanki dawały jej delikatnie do zrozumienia, że w tym wieku już nie wypada ograniczać się do dżinsów, kolorowych koszulek, plecaczków i butów w sportowym stylu.

Takie przytyki powodowały powszechne zainteresowanie osobą Beaty, czego bardzo nie lubiła. Nieraz ktoś rzucał uwagę, która raniła ją boleśniej, niż mogłoby się wydawać. Cóż, wrażliwość nie należała do mocnych stron jej współpracowników.

– Beatka ciągle w dżinsach, jak małolata – mówił uśmiechnięty figlarnie naczelnik.

– Och, Beata jeszcze nie dojrzała do eleganckiego stroju, jaki obowiązuje w Urzędzie Miejskim – z jędzowatym uśmiechem broniła jej Justyna.

– No, uważaj, bo czasami coś zgnije, zanim dojrzeje – rzucał niby od niechcenia Bartek.

Beata właściwie nie reagowała. Udawała, że nie dosłyszała albo że to świetny żart, który jej nie dotyczy. Znała życie. Ludzie są okrutni, potrafią błyskawicznie zjednoczyć się w bandę prześladowców tylko dla zabawy.

Nie protestowała, gdy od czasu do czasu z niej żartowano, ale nie miała zamiaru dać się zaszczuć. Obiecywała sobie, że jeżeli któregoś dnia miarka się przebierze, przejdzie do rękoczynów. Zobaczymy, czy potem znajdzie się jeszcze jakiś odważny.

Jeżeli chodzi o Bartka, to wystarczy cios w szczękę albo nawet siarczysty policzek, by zaczął błagać o litość. Ona wyjdzie z twarzą i honorem. Będą się śmiali z niego, nie z niej.

Bartek, pięć lat młodszy od Beaty, kiedyś, dawno temu, świeżo po rozwodzie próbował nawiązać z nią romans. Właściwie lawirował perfidnie pomiędzy Beatą a Justyną. Jego wyrachowane kalkulacje i parę chwil nieudanego seksu zniechęciły Beatę, szukającą w związku ciepła i szczerego oddania. Tego, co, zdaniem matki, z natury rzeczy i niejako z rozdzielnika należy się wcześniej czy później każdej uczciwej dziewczynie.

Z czasem dotarło do niej, że nauki matki nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości. Z jakiegoś powodu wszystko, co robiła, zawsze wychodziło źle. A teraz, w wieku lat trzydziestu siedmiu, cieszyła się, że ma mieszkanie, samochód, dobrą posadę, jednym słowem: wszystko, co można osiągnąć własną pracą. Jeśli nie zdobyła miłości, winne było przeznaczenie. Niejedna wredna paskuda dostawała od losu słodkiego mężusia bez żadnego wysiłku.

I nigdy nie żałowała, że nazwała wtedy Bartka „pożałowania godnym mandrylem".

– Dlaczego mandrylem? – oburzył się dotknięty i zaniepokojony, czy przezwisko nie ma związku z jakimiś ubliżającymi jego męskości szczegółami anatomicznymi.

– Nie wiesz? – zaśmiała się obraźliwie. W rzeczywistości wybrała tę nazwę zupełnie przypadkowo; nawet nie wiedziała, jak wygląda mandryl.

Nigdy jej tego nie wybaczył. I od czasu do czasu brał odwet w sposób, który tylko potwierdzał jego bezużyteczność jako potencjalnego, wartego miłości partnera.

Natomiast Gustaw dokuczał jej bezinteresownie i dla przyjemności. Był jak na mężczyznę dość niewielkiego wzrostu, za to pękaty we wszystkich kierunkach, łysawy, pyzaty i sapiący jak buldog. Perfumował się tak przeraźliwie, że można by go wkładać pomiędzy bieliznę pościelową zamiast saszetki zapachowej.

Zawsze miał coś wesołego do zakomunikowania. Zwykle zaczynał od szalenie, jego zdaniem, dowcipnego powitania:

– Dzień dobry wszystkim panom, paniom i panienkom.

„Panienki" były adresowane oczywiście do Beaty.

Dzisiaj pod koniec pracy wszedł do pokoju, trzymając w ręce dokumentację „Oceny oddziaływania na środowisko zakładu produkcyjnego" zrobioną kiedyś przez Beatę na zlecenie.

Beata skończyła pisać opinię i siedziała w otwartym oknie zadowolona, że oślepiające słońce przeszło na zachodnią ścianę budynku i teraz już tylko zapach kwiatów i śpiew ptaków wypełniają ciepłe i przyjemne powietrze wpadające do pokoju.

Przedtem maj, a teraz czerwiec, dzień w dzień cudowna pogoda. W nocy czasem popadał mały deszczyk, a od rana do wieczora słońce grzało wystarczająco mocno, by poczuć się swobodnie i lekko, jak zdarza się tylko latem.

– Obejrzałem tę dokumentację i wreszcie wszystko zrozumiałem – zakwiczał radośnie Gustaw, przebiegając w podskokach po pokoju.

– Co zrozumiałeś? – uprzejmie spytała Beata, zupełnie niezainteresowana jego odkryciami.

– Jaki chłop by wytrzymał z kobietą, której nic się nie podoba?! Co niby szkodzi mieszkańcom osiedla taki mały zakładzik, Beatko?

– Mały, ale smrodliwy i hałaśliwy – powiedziała Beata.

– No i nic dziwnego, że nikt cię do tej pory nie chciał. Najwyższy czas zmienić się i spojrzeć na ludzi z większą tolerancją – pouczył ją mentorskim tonem.

– Co ma wspólnego moje prywatne życie z tym smrodliwym interesem?

– Oj, popraw, popraw się, dziewczyno, bo będzie źle! – Gustaw pogroził jej palcem i wycofał się za przepierzenie, za którym znajdował się kącik Justyny.

„Wyjątkowo miły dzień mi się dzisiaj przytrafił" – pomyślała Beata. „Schodzimy na psy, świat stopniowo zapełnia się kretynami".

Przewidująco zaparkowała samochód w cieniu wysokiego kasztana. Mały ciemnozielony opel służył jeszcze do wożenia matki w odwiedziny do jej licznych znajomych. Kupiły go ze wspólnych oszczędności. Teraz Beata nie miała już żadnych odłożonych pieniędzy, więc brała różne prywatne zlecenia, żeby do grudnia spłacić kredyt za mieszkanie.

Z pracy do domu w godzinach szczytu wracała około pół godziny. Zostawiała samochód na strzeżonym parkingu i wolnym spacerkiem szła w kierunku swojego bloku. Bardzo lubiła te pięć minut dzielące aktywne życie wśród ludzi od spokojnego azylu mieszkania.

Dzisiaj spacer sprawiał jej wyjątkową przyjemność. Miała na nogach sandałki na płaskim obcasie i odziedziczone po matce szerokie szorty w kwiatki, udające krótką spódniczkę. Wydawała się sobie dość atrakcyjna w porównaniu do smętnej zabiedzonej istoty, którą była jeszcze pół roku temu. Trochę rozczarowywała ją obojętność mężczyzn, ich brak entuzjazmu na jej widok.

„Czegoś mi musi jeszcze brakować, skoro faceci w ogóle na mnie nie patrzą” – pomyślała z niepokojem. „Chyba w duszy nie czuję się jeszcze w pełni wyzwolona i wolna od dawnej bierności i rezygnacji. Podniosę głowę, o tak, uśmiechnę się do swoich myśli. Jestem wesoła i zadowolona, szczęśliwa i wolna”.

– Hej ho, hej ho, ho – zanuciła bezgłośnie na marszową melodię.

Tanecznym krokiem weszła w alejkę biegnącą na ukos przez porośnięty kępami drzew i krzewów pięknie utrzymany teren między budynkami.

Początek czerwca, słońce świeciło, drzewa kwitły, starsi ludzie siedzieli na ławeczkach, dzieci porozkładały kocyki na trawie. Dni były teraz długie, lato pokazywało się od najlepszej strony.

Skuszona leniwą atmosferą, Beata też na chwilę przysiadła na wolnej ławce stojącej pod rozłożystym drzewem. Torbę z zakupami położyła obok siebie i przyglądała się ludziom bez pośpiechu podążającym w różnych kierunkach.

Zza rogu wyłoniła się para, w której rozpoznała mieszkające tu od wielu lat starsze małżeństwo z parteru. Zbliżali się powoli w jej stronę. Byli zapewne na zakupach. On w jednej ręce dźwigał ciężką siatkę, drugą ściskał rękę żony. Chociaż już siwy, sprawiał wrażenie chłopaka na pierwszej randce. A ona, w grubych okularach w złotej oprawce, również z siwymi pasmami we włosach, łagodnie podporządkowywała się jego opiekuńczości. Obydwoje byli niewysocy, pulchni i wyraźnie w sobie zakochani.

To właśnie oni przywracali Beacie nadzieję, dzięki nim wierzyła, że możliwy jest powrót do normalnego życia. Przez lata czuwania przy łóżkach schorowanych rodziców straciła wiarę w jakąkolwiek przyszłość. Czuła, że jej czas już minął i weszła w starość z pominięciem młodości.

Para starszych kochanków, wciąż czułych i figlarnych jak nastolatki, świadczyła o nieustającej możliwości rozbudzenia w sobie zapomnianych emocji.

„Szczęściarze” – pomyślała. „Jedni na dziesięć tysięcy. Może na pięć”.

Wzięła torbę i wolnym spacerkiem ruszyła do domu.

W mieszkaniu panował przyjemny chłodek, bo zostawiała opuszczone żaluzje. Rozproszone promienie słoneczne i tak przenikały do środka. Beata uwielbiała lekki popołudniowy półmrok stwarzający we wnętrzu poczucie bezpieczeństwa, w sam raz na drzemkę albo wygodne siedzenie w fotelu i słuchanie gruchania gołębi spacerujących po balustradzie tarasu.

Przebrała się w domową długą koszulkę. Ostatnio często chodziła na bosaka. W pokojach był parkiet. W kuchni i w łazience chłodne kafelki.

Postanowiła zrobić parę kanapek, zaparzyć kawę i zjeść w dużym pokoju, przyglądając się żółwiom pływającym w akwarium.

Woda zagotowała się. Stuknął automat wyłączający czajnik. Szum pary wydostającej się spod pokrywki ucichł, ale jakiś dziwny dźwięk, będący jakby jego kontynuacją, nadal roznosił się po całym mieszkaniu. Beata nasłuchiwała ze

zdziwieniem. Skąd mógł dobiegać? Coś jakby lekkie pochrapywanie, półsenne mamrotanie, pogwizdywanie, posapywanie…

Zajrzała do przedpokoju. Tak, dźwięk dochodził zza półprzymkniętych drzwi dużego pokoju.

Delikatnie ujęła klamkę i cicho weszła do środka. Widok, który zobaczyła, przeczył zdrowemu rozsądkowi.

Na fotelu i na sofie, rozwalone w niedbałych pozach, pochrapując i pomlaskując przez sen, spały dwa satyry.

Były wielkości mężczyzny średniego wzrostu, miały włochate, krępe ciała i nogi zakończone raciczkami, sterczącymi teraz w powietrzu na skutek wygodnego ułożenia na poduszkach. Na kędzierzawych głowach sterczały im różki, z nozdrzy wystawały włosy, a grube wargi falowały do wtóru chrapania wydobywającego się z półprzymkniętych ust.

Beata czuła, jak cierpnie jej skóra, oczy robią się okrągłe, a gdzieś z płuc wydobywa się niekontrolowany zduszony pisk.

Satyry zareagowały natychmiast. Zerwały się z kwikiem, podskakując jak śmiertelnie przerażone dzieci przyłapane na gorącym uczynku. Wrzeszczały i mamrotały coś w niezrozumiałym języku. Chwilę rozglądały się w panice, jakby zapomniały, gdzie się znajdują, w końcu rzuciły się w stronę tarasu. Przepychały się i szturchały, starając się wyprzedzić jeden drugiego w wyścigu do drzwi balkonowych.

Beata usłyszała dobiegający z dworu łomot upadku, jakiś krzyk i pospieszny tupot.

Nadal stała bez ruchu. Patrzyła oniemiała na pusty fotel i sofę, chociaż w jej mieszkaniu panowała teraz zupełnie zwyczajna popołudniowa cisza.

2. Czwórka do brydża

Trwające pół minuty transcendentalne wydarzenie z satyrami w roli głównej zachwiało psychiką Beaty.

Osoba żyjąca samotnie, pozbawiona wsparcia rodziny, grupy zaufanych przyjaciółek albo nawet dziecka, dla którego musi być silna bez względu na sytuację, w podobnych okolicznościach łatwo może popaść w stan bliski obłędu.

Beata właściwie nie miała prawdziwych krewnych. Przyszywane ciotki i wujkowie byli rodziną drugiej żony dziadka ze strony matki. Ledwie tolerowali jej istnienie, postrzegając Beatę jako dziwaczną trzydziestosiedmioletnią pannicę, zdecydowanie za wysoką, bezbarwną i pozbawioną wdzięku. Uważali, że powinni w dobrej wierze ustawicznie przypominać jej o konieczności wyjścia za mąż i założenia rodziny. Tak przecież uczyniły ich udane dzieci.

To dlatego w trakcie sporadycznych wizyt świątecznych z naganą w oczach demonstrowano jej zdjęcia nowo narodzonych wnuków albo zdjęcia ze studniówki, na których najmłodsza córka pozowała z narzeczonym.

Może gdyby Beata wyglądała jak kobieta sukcesu, otoczona mgiełką najdroższych perfum, oszałamiająco elegancka, zamożna, prowadząca własną firmę, darowaliby jej brak męża i dzieci. Oczywiście wyciągaliby ten argument w momentach napadów dławiącej zazdrości. Na przykład ściboląc pieniądze na skromny prezent za maturę dla najmłodszej córki albo dokładając się do kolejnych chrzcin. Oni tu walczą o byt, a tymczasem ta ekstrawagancka Beata od miesiąca opala się na Majorce…

Matka Beaty umarła na początku roku. Choć wredna i despotyczna, była jedyną osobą darzącą ją prawdziwą miłością.

Beata nie miała przyjaciółek. Chorobliwie zaborczy rodzice gotowi byli posunąć się do każdej niegodziwości, byle tylko zachować jedynaczkę dla siebie. Ojciec, oschły i surowy, zawsze stawiał Beacie wysokie wymagania, rekompensując w ten sposób brak własnych sukcesów. Kiedy w zeszłym roku po długoletniej chorobie umarł, życie matki skupiło się wyłącznie na Beacie. To dla niej ta schorowana kobieta gotowała, szyła, pracowała i zarabiała, o niej i w zasadzie tylko o niej rozmawiała z koleżankami.

Zaborczość rodziców nie wychodziła Beacie na dobre. Nie chcąc sprawiać im przykrości, z roku na rok odsuwała się coraz bardziej od rówieśników.

Pogodziła się z perspektywą starzenia się u boku cierpiącej na liczne dolegliwości matki. Zrezygnowała z własnych ambicji, nie oczekiwała już żadnych zmian.

Rozkład dnia wyznaczały dobrze znane rytuały. Przygotowywanie obiadu, wspólne mycie naczyń i ustawianie ich w szafce, w sposób uznany przez matkę za jedynie słuszny i dopuszczalny, parzenie kawy, oglądanie wiadomości

nieodmiennie wzbogacanych stałymi komentarzami matki, wyjście do pracy, ceremonia zamykania drzwi. Każda godzina miała swoje miejsce, określone na wieczność.

Co jakiś czas w duszy Beaty rodził się bunt, tęsknota za własnym domem, za mężczyzną, za wolnością.

„Następnym razem" – pocieszała się z uśmiechem przez łzy. „W następnym życiu nie będę nikomu się podporządkowywać. Z czystym sumieniem odkuję się za obecną pokorę. Zobaczycie!"

Po śmierci matki nie mogła znaleźć sobie miejsca w świecie. Decyzja o przeprowadzce i nowym mieszkaniu pojawiła się niespodziewanie i zakończyła definitywnie poprzedni rozdział życia. Beata w środku pozostała taka sama, ale dookoła wszystko uległo zmianie. Świat stanął otworem, a ona zatrzymała się na progu, nie wiedząc, co dalej z sobą zrobić.

W końcu przestała rozmyślać i postanowiła czekać, aż coś samo się wydarzy.

Spodziewała się od losu czegoś naprawdę dobrego i popołudniowe halucynacje wprawiły ją w przerażenie.

„Wariuję – pomyślała – tracę zmysły, zapewne niedługo stracę pamięć i kontakt ze światem realnym. Wyląduję w domu opieki, a moje nowe, piękne mieszkanie przejmie rodzina. Boże, tak bardzo chciałam pożyć normalnie, jak inni ludzie".

Przepłakała z rozpaczy dwie noce, a w pracy zaczęła zachowywać się niepewnie i nerwowo. Wątpiła w to, co widzi, i w to, co przed chwilą napisała. Bała się samej siebie. Nawet parząc herbatę, nie była pewna, czy dobrze zapamiętała, jak się wlewa wodę i wsypuje cukier.

Jej dziwne zachowanie zostało szybko zauważone przez współpracowników. Podejrzewała, że i oni mieli teraz gorsze dni albo żywili do niej jakieś dawne urazy, bo ich zachowanie nagle objawiło pokłady skrywanej dotychczas agresji.

– Zostaw tę herbatę – powiedziała tego ranka Justyna. – Raczej nie uda ci się włączyć czajnika bez potykania się o kabel.

– U kogo innego podejrzewałbym zadurzenie – z przekąsem zauważył Gustaw. – Jednak panienka w tym wieku pewno nie miewa podobnych zachcianek.

– Zachcianki to ona może i miewa – wycedził, krzywiąc się ironicznie, Bartek – tylko gorzej z ich zaspokojeniem.

– Dlaczego? – zdziwił się nieszczerze Robert. – Robią teraz takie fajne zabaweczki dla pań. Można sobie na półeczce w łazience ustawić cały męski harem. Subtelny Alonzo, dorodny Paco, figlarny Tito i Alfonso, mistrz nad mistrzami!

Żarty Roberta bolały Beatę najbardziej. Znali się od dawna. Studiowali nawet na tej samej uczelni, Beata rok wyżej. Robert zawsze uchodził za przystojniaka. Jako student miał wokół siebie tłum wielbicielek. Kiedy zaczęli

razem pracować, na moment pozwolił jej zbliżyć się do siebie i Beata zakochała się w nim po uszy. Nie miała żadnych szans, bo niedługo później ożenił się po raz pierwszy, nie zrywając zresztą z kilkoma kochankami. Był bardzo wybredny w doborze partnerek, a Beata poza wzrostem we wszystkim innym plasowała się poniżej średniej.

Popatrzyła na niego z wyrzutem, ale jego niebieskie oczy śmiały się do niej szczerze ubawione. Wiek ani trochę nie odebrał mu urody. Jasne włosy, zawsze modnie przystrzyżone, opadały teraz gęstą grzywą na czoło, trochę na ukos, jak zadecydował najdroższy fryzjer w mieście. Sportowy, ale jak zwykle elegancki ubiór wydobywał wszelkie zalety nienagannej sylwetki. Nawet nie musiał katować się siłownią czy pływalnią. Nie tracił młodzieńczej figury bez względu na to, czy jadał wytworne dietetyczne kolacyjki, czy pozwalał sobie na niepohamowane obżarstwo.

– Rozchmurz się, rybko, przecież żartowałem! – Przesłał jej całusa w powietrzu. – To jeszcze nie koniec świata, może przed emeryturą i tobie coś się przypadkiem trafi.

– Jak to mówią, każda potwora znajdzie swego amatora – sprecyzował myśl na swój sposób Gustaw.

Bartek wybuchnął śmiechem, Justyna przytaknęła solidarnie, udając, że nie widzi nic obraźliwego w prowadzonej rozmowie.

– Na mnie w każdym razie nie licz. Ja i tak już ciągnę na zbyt wielu etatach – powiedział Robert, przeciągając się lubieżnie i wracając na swoje stanowisko pracy.

– Na mnie też! – zakrzyknęli chórem Bartek i Gustaw, chociaż nikt ich nie pytał o zdanie, a Beata nie skorzystałaby z tej oferty, nawet gdyby byli ostatnimi mężczyznami na Ziemi.

– Beatko, wczoraj naskarżyłem na ciebie naczelnikowi za prognozę, którą zrobiłaś dla zakładów CETO. Zgodził się ze mną, potraktowałaś zagadnienie nad wyraz stronniczo. Bardzo był niezadowolony. Bardzo. A uprzedzałem. – Gustaw uśmiechnął się fałszywie.

– Uprzedzanie po fakcie to twoja specjalność, o której wszyscy wiemy – odpowiedziała ostro Beata.

– Złość piękności szkodzi – syknął Gustaw i dla uniknięcia konfrontacji z resztą zespołu opuścił pokój pod pretekstem umycia szklanki.

Gustaw był typem faceta, którego bawiło tylko jedno: budowanie pułapek i patrzenie, jak ktoś w nie wpada. Potem opowiadał znajomym na przyjęciu, jak się przy tym fantastycznie ubawił i jaki z niego sprytny gość.

Beata, zagrzebana w papierach, próbowała skoncentrować się na pracy i nie myśleć o postępującym obłędzie. Znała przypadki zawodowo funkcjonujących schizofreników, paranoików i różnych maniaków, którym jakoś udawało się

przetrwać. Niedobrze, że była samotna. Zwykle nad ludźmi dotkniętymi chorobą psychiczną ktoś czuwa, wspierając i pomagając uporać się z codziennymi kłopotami.

Nagle podjęła decyzję, że wyrwie się na chwilę z pracy i sprawdzi, jacy psychiatrzy przyjmują w pobliskiej prywatnej przychodni.

– Słuchajcie, coraz trudniej znoszę obecność Beaty w tym pokoju – powiedziała Justyna poirytowanym tonem. – Pracuję z nią już ładnych parę lat i właściwie nic do niej nie mam. Jest przecież matką chrzestną mojego syna. Lubiłyśmy się nawet, zanim przeistoczyła się w sfiksowaną pielęgniarkę swojej równie sfiksowanej rodzinki. Ale ostatnio zachowuje się jakoś dziwnie. Zamyślona, nieprzytomna, soli herbatę. Zakochała się czy zbzikowała? Nieważne. Chodzi mi o to, że zadaje czasami tak przenikliwe pytania, jakby przejrzała naszą akcję na wskroś.

– A jakież pytania cię tak niepokoją? – spytał Robert z pobłażliwym uśmiechem.

– Oj, Robert, nie denerwuj mnie. Na przykład wczoraj, kiedy Dominik zadzwonił z wiadomością, że stary miał atak, oddała mi słuchawkę, a jak skończyłam rozmowę, spytała, czy mamy z Bartkiem wspólnych bogatych krewnych. Zdziwiłam się, a ona na to, że nie wie, kim jest stary, ale przecież Dominik jest bratem Bartka. Chyba że źle rozpoznała głos i to nie był Dominik, tylko jakiś zakamuflowany satyr!

– Jaki satyr?! Co miała na myśli? – Bartek aż podskoczył z wrażenia.

– Nie wiem. Przecież satyr może oznaczać na przykład kochasia, faceta, no, nie mam pojęcia. Zbyłam ją byle czym. Ale sami rozumiecie, poczułam, jak mi ciarki przechodzą po plecach. A jeśli ona, taka prostolinijna i szczera, już coś wywąchała i komuś doniesie? Przecież nie wiadomo, kto kogo zna w tym mieście. A niby skąd ja dowiedziałam się o tej całej sprawie? Od znajomych. Ktoś komuś szepnie przypadkiem słówko… Poszłam z wizytą do teściów, a tam kolega teścia akurat ubolewał, że jego stary przyjaciel jest już zupełnie zniedołężniały i musiał zatrudnić opiekunkę. A on słyszał od znajomych o tej babie niesamowite historie. Istny kryminał. Dwaj poprzedni podopieczni, zanim wyzionęli ducha, zapisali jej w spadku swoje majątki. W tamtych przypadkach były to jakieś niewiele warte starocie i kawalerka, ale tutaj chodzi o piękną willę i fantastyczne zbiory kolekcjonerskie. Forsa, jakiej świat nie widział! Stary nie ma rodziny, więc…

– Och, daj spokój, Justyna, wszyscy wiemy, jaką przytomnością umysłu wykazałaś się, zatrudniając Bartkowego braciszka do uwiedzenia syna tej morderczyni staruszków – przerwał jej Robert. – Przecież nam nie musisz tłumaczyć, nad czym tak ciężko wszyscy razem pracujemy od dobrych paru miesięcy.

– Chodzi mi o zasadę, mój drogi – nie dawała sobie przerwać Justyna. – Tutaj wszyscy się znają. I tak jak ja dowiedziałam się od Bartka, że synuś tej aferzystki jest gejem i w dodatku pracuje w naszym urzędzie, tak samo Beata może komuś wypaplać, że podsuwamy mu ślicznego Dominisia, by uszczknąć część spadku. Przecież my tylko chcemy uczciwie podzielić go między osoby naprawdę potrzebujące pieniędzy. Ma się zmarnować, wpadając w całości w łapy rozpustnika i babsztyla spod ciemnej gwiazdy? Zgodzicie się ze mną? – zwróciła się o poparcie.

– Och, Boże, ale mnie wzruszyłaś! – zawołał Robert i teatralnie zaszlochał, smarkając w rękaw.

– Nieważne. Jak zwał, tak zwał, chodzi o sporą forsę. Przynajmniej mój gamoniowaty, homolubny braciszek, czarna owca w rodzinie, wreszcie na coś się przyda. Może nawet zostanie mecenasem sztuki? – powiedział Bartek. – Więc co tam, Guciu, nawywijałeś, żeby wreszcie wywalili Beatę z roboty?

– Nie przesadzajcie, nie jest taka groźna – powiedział Robert. – Tyle w niej uroku, co w brontozaurze, żaden chłop już na nią nie poleci, ale przyzwyczaiłem się do jej towarzystwa jak do tego starego czajnika. Przecież dotychczas nam nie przeszkadzała. Zrobiliśmy interes z fabryką mas plastycznych, zrobiliśmy szacher-macher z zakładami nad jeziorem Długie, załatwiliśmy umowę Temistopulosowi, od pięciu lat organizujemy sobie różne intratne fuchy i jakoś nam Beata w niczym nie zaszkodziła. Dajmy jej szansę, może wciągnijmy ją w jakąś robótkę?

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Ona jest niemal święta, nie z tego świata, nie nadaje się do normalnego życia. A od kiedy została sama i nie musi już czuwać przy rodzicach, zaczęła interesować się ludźmi. Wypytuje, podsłuchuje, chce wiedzieć, kto tu przychodzi, kto dzwoni, co robimy. W końcu coś wywącha. – Justyna obstawała przy swoim.

– Święte słowa – poparł ją Gustaw. – Jak to, Beata jest matką chrzestną twojego syna? – zdziwił się nagle.

– Po rozwodzie postanowiłam ochrzcić Adriana i poprosiłam, żeby Beata została jego matką chrzestną.

– Taka uboga matka chrzestna? A cóż to był dla ciebie za interes, Belle Justine? – wykrzyknął Robert.

– Nie trać wiary w naszą Justynkę, chłopcze – roześmiał się domyślnie Bartek. – Na pewno akurat pojawił się na horyzoncie jakiś zamożny ojciec chrzestny. Dobrze dedukuję?

Justyna zaczerwieniła się lekko.

– Ależ wy jesteście złośliwi. Nie macie własnych dzieci i nie wiecie, ile kosztuje wychowanie. I jak trudno jest samotnej matce. Jerzy wiecznie spóźnia się z alimentami!

– Chyba naliczasz mu karne odsetki za zwłokę? – zadrwił Bartek.

– A żebyś wiedział! Nie należę do tych głupich bab, które traktują alimenty jak jakąś łaskę. Cierpiętnice, które twierdzą, że skoro już urodziły, ponoszą całą odpowiedzialność za potomstwo. Ja uważam, że skoro w łóżku było dwoje, to i na wychowanie płaci się po połowie. Chyba nie wyobrażacie sobie odwrotnej sytuacji? Znacie matkę, która oświadczyłaby dziecku, że przez najbliższy miesiąc nie będzie go karmić, bo wydała pieniądze na jakieś swoje sprawy? Raczej niemożliwe, prawda?!

– Popieram cię, Justynko, w kwestii wychowania dzieci – przytaknął Gustaw, patrząc na nią z podziwem. – Szczęście, że możemy liczyć teraz na moją córcię. Jest tak dobrze wychowana, że każdy, a co dopiero taki Julian, może przedstawić ją starszemu panu jako swoją narzeczoną godną przejęcia spadku. Taka dziewczyna stanie się dla starego rękojmią, że kolekcja i dom trafią we właściwe ręce. Nie to, co ta szantrapa, którą przyprowadził Robert. Do dziś nie wiem, skąd tyś ją wytrzasnął! Ty, znawca kobiet! Stary wolałby oddać majątek państwu, niż zapisać go takiej nierządnicy babilońskiej. Jakaż to dla niego perspektywa na przyszłość? A moja Stelcia, proszę, świetnie sobie radzi, lada moment mogą ogłosić zaręczyny!

Robert zagryzł usta z wściekłości. Na moment zgasł jego uroczy chłopięcy uśmiech, oczy zwęziły się jak u drapieżnika wstrzymującego się z atakiem.

– Ale jakoś nie narzekałeś, kiedy moja była żona, ta, która jest notariuszką, sporządzała sprytną umowę zobowiązującą Dominika do odpalenia nam niezłej sumki za pomoc w uzyskaniu prawa do części majątku odziedziczonego przez Juliana!

W trakcie przemowy Robert powoli odzyskiwał swój rozbrajający wdzięk.

– Czas pokaże – łagodziła spór Justyna. – Na pewno będziemy się musieli jeszcze sporo napracować, żeby stary z wdzięczności do opiekunki zapisał majątek jej synowi. Naprawdę, chłopaki, od kiedy stary zażyczył sobie przyszłej żony dla spadkobiercy, zwątpiłam w powodzenie naszego planu. Zbyt wiele ludzi jest w to zaangażowanych, za duże ryzyko, sprawa wymyka się nam spod kontroli. Ta intryga jest przekombinowana!

– Chyba żartujesz? – zdziwił się Bartek. – Od kiedy załatwiłaś nam tego polsko-duńskiego pastora, który udzielił chłopakom ślubu, nasza sprawa stała się prosta jak partyjka brydża we czwórkę!

– Myślicie, że w świecie różowych pudelków trwa nieustająca idylla? – Bartek obdarzył ich wszystkowiedzącym, ironicznym uśmiechem. – Tam rządzi prawdziwie męskie, bezlitosne prawo rynku! Dominik to młodziak, a czterdziestoletni Julian dla większości z nich to stara ciotka przed emeryturą. Podpisze każdy cyrograf za wyłączność na taką śliczną laleczkę jak mój braciszek! Czy wiecie, że Dominiś w peruce wygląda całkiem jak Keira Knightley?!

3. Sąsiedzi

Beata znalazła się na kompletnie straconej pozycji.

Najpierw zauważyła, że naczelnik przestał jej się kłaniać. Potem kadrowa parokrotnie próbowała przyłapać ją na nieobecności. Na szczęście bezskutecznie.

Ponieważ Beata straciła wiarę w swoją poczytalność, przymykała oczy na ataki współpracowników. Nie była już całkiem pewna tego, co dzieje się naprawdę, a co podsuwa jej chora wyobraźnia.

W czasach, kiedy opiekowała się umierającym ojcem, a potem matkowała własnej matce, zupełnie przestała dbać o siebie. Ubierała się w praktyczne sportowe ciuchy bez wdzięku. Nie czuła potrzeby, by komuś się podobać. Teraz, dręczona wizjami szaleństwa, tumoru, choroby Alzheimera i Bóg wie czego jeszcze, znów zaczęła się zaniedbywać.

Dwa tygodnie temu Gustaw przechwycił i ukrył w szufladzie sprawę zadekretowaną przez naczelnika na Beatę. Pismo przyszło pocztą i data na nagłówku zgadzała się z datą na kopercie. Data kwitująca odbiór przez kancelarię była oczywiście późniejsza. Bez daty na stemplu odbitej na znaczku nikt nie wiedział, kiedy naprawdę wysłano pismo. Gustaw wyrzucił kopertę i po dwóch tygodniach ukrył dokument w stercie papierów leżących na biurku Beaty.

Beata, porządkując biurko, natknęła się na pismo sprzed dwóch tygodni i uznała przeoczenie terminu sprawy za efekt swojego złego stanu psychicznego. Jednak gdy sprawdziła, kiedy wpłynęło do kancelarii, uznała, że to odwołanie od decyzji od początku i tak było „przeterminowane". Zostało złożone w urzędzie już po ustawowym terminie czternastu dni. Dlatego powinno być potraktowane jako nieaktualne. Odetchnęła z ulgą, przygotowała odpowiedź informującą o przekroczeniu terminu i wysłała do adresata.

I tu do akcji wkroczył Gustaw. Dyskretnie zwrócił uwagę naczelnikowi na pomyłkę koleżanki. Złamała procedurę i podstępnie podsunęła przełożonemu do podpisu niezgodną z prawem odpowiedź, narażając urząd na straty, procesy sądowe i ogromne nieprzyjemności. A szczególnie naczelnika. Nadawca to Stowarzyszenie Ekologiczne, żyjące z zaskarżania i odszkodowań. Z chęcią dobiorą się do urzędu! Czy koleżanka nie zauważyła malutkich dziurek po zszywkach w miejscu, gdzie musiała być przypięta koperta? Czy sprawdziła datę nadania listu? Nie. A przecież liczy się data nadania, a nie wpłynięcia!

Wezwana do naczelnika Beata wyjaśniła, że pismo nie miało załączonej koperty i wyglądało, jakby zostało złożone osobiście przez interesanta.

– A co pani zrobiła z kopertą? – spytał naczelnik, obrzucając niechętnym spojrzeniem jej wysoką sylwetkę obleczoną w wymiętą koszulę bez rękawów i wytarte dżinsy.

– Nie było żadnej koperty – tłumaczyła się Beata.

– Więc co pani z nią zrobiła? – spytał naczelnik.

– Nic z nią nie robiłam. Po prostu nie było jej od początku – powiedziała, dręczona wyrzutami sumienia. Przecież odnalazła pismo na spodzie papierów po upływie dwóch tygodni od daty zadekretowania na jej nazwisko.

– W kancelarii mają zapisane, że przyszło pocztą – odparł rozsierdzony naczelnik.

– Do mnie dotarło bez koperty.

– Ale tu są dziurki po zszywaczu! – wykrzyknął naczelnik z oburzeniem.

– Prawie niewidoczne – powiedziała poirytowana Beata.

– Ja widzę – oburzył się naczelnik.

– Bo wiedział pan, że trzeba ich szukać.

– Pani też powinna. To karygodne. Wyciągnę konsekwencje służbowe.

Przygnębiona Beata wróciła do pokoju i opowiedziała o wszystkim koleżankom i kolegom.

– Poślij go na drzewo – zaśmiał się niedbale Robert.

– Jak uważnie się przyjrzeć, to rzeczywiście można zobaczyć dziurki – zauważył Bartek.

– Skoro tak, powinnaś była sprawdzić, czy termin został dotrzymany – bezlitośnie podsumowała Justyna.

– Oczywiście! – wykrzyknął Gustaw. – Ale jeśli ktoś myśli o niebieskich migdałach, to w pracy od razu widać rażące zaniedbania.

Wydawało się, że sprawa na tym się zakończy. Jednak Gustaw czuwał nad niekorzystnym obrotem wydarzeń i zadbał o to, by do akcji wkroczył dział kontroli wewnętrznej urzędu.

Lato, gorące lato kwitło wszystkimi kolorami. Słońce rozleniwiało ludzi chodzących ulicami miasta. Płyty chodnikowe grzały w stopy przez cienkie podeszwy sandałów. Asfalt miejscami rozmiękał i w powietrzu unosił się zapach gorącej smoły.

Kilka dni po incydencie z satyrami Beata wracała do domu dręczona lekkim niepokojem. Może to miejsce wywołuje u niej halucynacje?

Przypominała sobie rozmowę z dziećmi. Dziewczynka wspomniała o koniu. Satyry miały kopyta.

„Może konia też sobie wymyśliłam?” – zastanawiała się. „A te dziwaczne dzieci… Czy ja rzeczywiście z nimi rozmawiałam?”

Zwykle przed powrotem do domu robiła zakupy na małym osiedlowym ryneczku. Lubiła szperać w skrzynkach z owocami i warzywami. Sprzedawcy na ogół byli bardzo uprzejmi, zachwalali towar i namawiali do próbowania i samodzielnego wybierania. Przyjeżdżali samochodami, które potem obstawiali skrzynkami z towarem, czasami rozpinali nad straganem wielkie kolorowe

parasole. Oprócz warzyw, owoców i jajek można było kupić kwiaty balkonowe, bukieciki z suszu, a nawet jakieś ozdoby do mieszkania.

Na koniec zakupów Beata zwykle podchodziła do małego stanowiska z pomidorami. Znajdowała tu swoje ulubione gatunki, a ich kształty i kolory wprawiały ją w zachwyt. W skrzynce zawsze leżało tylko kilkanaście sztuk i wyglądały, jakby zaledwie przed chwilą zostały zerwane z krzaka.

Sama sprzedawczyni była zachwycająca. Beata nie mogła pojąć, dlaczego ta niezwykła kobieta spędza dnie, siedząc na murku i zajmując się tak pospolitym zajęciem.

Cała jej powierzchowność wskazywała na artystyczną duszę. Miała długie rude loki spadające na ramiona, oliwkową cerę i wąskie, trochę skośne oczy. Zielone ze złotawymi błyskami.

Ubierała się w długie spódnice, luźne bawełniane bluzki, wszystko w tonacjach rudego brązu pomieszanego z zielenią i czerwienią.

„Powinna sprzedawać obrazy albo siedzieć tu i pisać wiersze o miłości i nicości" – dziwiła się za każdym razem na nowo Beata.

Dzisiaj zdecydowała się na dwa piękne żółte pomidory i jeden malinowy.

„Żółte są kwaśne, malinowe słodkie, będzie pyszna sałatka" – uznała.

– Dwa pięćdziesiąt – powiedziała ruda.

Beata podała banknot i podczas gdy ruda wydawała resztę, podziwiała jej malowniczy strój. Opuściła wzrok, by przyjrzeć się koronkowemu wykończeniu długiej spódnicy.

I nagle ogarnęło ją znajome przerażenie, które po raz pierwszy poczuła na widok śpiących w jej salonie satyrów.

Na wysuniętej na widok lewej stopie ruda miała zwykły drewniak z brązowej skóry. Natomiast na prawej, niemal schowanej pod spódnicą, Beata zobaczyła złoty sandałek ozdobiony kryształkami. Kryształki skrzyły się tęczowymi barwami, chociaż nie padało na nie mocne światło. Szczupłą kostkę prawej stopy oplatała ażurowa, nabijana opalami i turkusami złota bransoleta, przywodząca na myśl egzotyczną scenerię rodem z seraju.

Wylęknione spojrzenie Beaty napotkało spojrzenie rudowłosej. Zielone oczy zamigotały, jakby przechwytując jej myśli.

Beata drżącą ręką wzięła podaną resztę i odeszła.

– Zaczęło się – szepnęła do siebie.

Minęła starą wredną kwiaciarkę, której nie cierpiała za natrętne i hałaśliwe namawianie do zakupów wszystkich, którzy znaleźli się w promieniu pięciu metrów.

Żeby nieco ochłonąć, weszła do osiedlowego sklepiku i pokręciła się pomiędzy regałami, wybierając chleb i masło. Dławił ją od niedawna znajomy strach pojawiający się, ilekroć myślała o swoich halucynacjach.

„Wrócę i spytam ją” – pomyślała, nagle zdobywając się na odwagę.

Ruda sprzedawczyni pomidorów siedziała nadal na murku obok skrzynek. Zachowywała się trochę swobodniej, tak jakby już miała zbierać się do domu. Jedną rękę oparła o murek, w drugiej trzymała zapalonego papierosa. Zaciągała się głęboko, odchylając głowę i wydmuchując dym. Założyła nogę na nogę, prawą kiwając w powietrzu. Na obydwu miała zwykłe drewniaki wykończone brązową skórą.

Beata nawet nie podeszła bliżej. Ruda zobaczyła ją i uśmiechnęła się. Do siebie, a może do niej. Tajemniczo i przewrotnie, trochę złośliwie, jakby okazując zadowolenie z bezkarnie spłatanego figla.

Potem zebrała resztę pomidorów i zaczęła się pakować.

Beata, znów wytrącona z równowagi, powlekła się w stronę swojego bloku. Minęła grupę pijaczków stale wystających na ryneczku i weszła w uliczkę prowadzącą do jej budynku. Skinęła głową starszej sąsiadce mieszkającej z mężem na parterze w mieszkaniu po lewej stronie klatki schodowej.

– Szczęśliwa oblubienica – szepnęła do siebie, wspominając, jak czule odnosi się do siebie ta para. Kochankowie na przekór obowiązującym normom.

Dziwne myśli kłębiły się jej w głowie. Najsilniejszy był strach, ale była też ciekawość, zupełnie irracjonalne zainteresowanie szaleństwem, jakiego spodziewała się doświadczyć. Cóż będzie się z nią działo? Jaki będzie jej dalszy los? A może pewnego dnia nie da sobie rady, wejdzie na najwyższe piętro najwyższego budynku w mieście i pofrunie w niebyt?

W domu postanowiła zabić ponure rozmyślania ciężką pracą. Wymieniła wodę w akwarium z żółwiami. Włączyła muzykę na pełny regulator i zabrała się do szorowania wszystkiego. Odkręcony kran w kuchni napełniał obie komory zlewozmywaka wodą. Beata śpiewała razem z ulubionym piosenkarzem. Lubiła się uczyć na pamięć słów piosenek. Ulubieni wykonawcy byli jej kumplami. Często śpiewała z nimi w duecie.

Nagle woda w zlewozmywaku przestała odpływać. Z rur dobiegały dziwne odgłosy, bulgoty, a potem rozwlekłe wibracje i stukanie.

Przerażona Beata zakręciła kran i patrzyła bezradnie na mętną powierzchnię wody, która dopiero po kilku dobrych sekundach zaczęła powoli opadać.

Beata odetchnęła z ulgą, ale odechciało się jej słuchać muzyki. Wyłączyła radio i wróciła do kuchni, by sprawdzić, czy woda nadal opada.

Jednak niespodziewanie jej uwagę zwróciło coś innego.

Pierwszy raz, od kiedy się tu wprowadziła, ktoś zapukał do drzwi. Właściwie nie zapukał, a kilka razy uderzył. Tak mocno i zdecydowanie, że aż wydawało się nieprawdopodobne, by zwykłe drzwi mogły być źródłem dźwięków o takim strasznym natężeniu.

Szybko podbiegła i otworzyła. Na progu stał nowy sąsiad z dołu.

Widziała go już przedtem, ale niezbyt dokładnie. Teraz był wyraźnie zły i poirytowany.

– Zalała mi pani kuchnię, *Scheisse*[1] – powiedział, cedząc słowa z jakąś perfidnie wyniosłą nienawiścią.

Ton głosu doskonale pasował do jego wyglądu. Beata na pierwszy rzut oka określiła jego koloryt jako „maksymalnie sprany dżins". Wcale nie z powodu jasnoniebieskiej koszuli. Miał włosy popielatoblond i bladoniebieskie oczy, a przy tym już dość mocno opaloną twarz. Dzięki wrednemu uśmiechowi na wąskich wargach mógł łatwo wywołać odpychające wrażenie. Jednak bardzo regularne i atrakcyjne rysy oraz nienaganna sylwetka łagodziły wzbudzaną agresję.

– Proszę wezwać jakieś służby interwencyjne i oczyścić rury – zażądał. – Nie wiem, co pani wyprawiała z tą wodą, ale kuchnię mam całą zalaną. W dodatku to śmierdzi, *Scheisse!* – dodał po chwili.

Popatrzył na nią z niechęcią, jakby to za sprawą Beaty ścieki w kanalizacji uzyskiwały nieprzyjemny zapach. I zanim zdążyła zaprotestować czy powiedzieć coś we własnej obronie, odwrócił się i zbiegł bez słowa po schodach do swojego mieszkania.

Poczucie winy kazało Beacie zadzwonić po pogotowie lokatorskie i wezwać fachowca od awarii wodno-kanalizacyjnych.

Hydraulik, niewielki, grubiutki pan, nadzwyczaj dostojny i zarozumiały, pojawił się po godzinie. Sprawa wydawała się prosta. Chwilę znęcał się nad niedrożną kuchenną rurą, przepychając ją sprężyną. Potem rozsiadł się na kuchennym krześle, przetarł brudną szmatką spoconą łysinę i twarz i zaczął narzekać. Pogotowie lokatorskie, ryczałtem rozliczane przez spółdzielnię mieszkaniową, świadczyło usługi bezpłatnie. Oczywiście miał pensję, ale cóż to za pieniądze.

Dlatego gdyby w przyszłości coś się przydarzyło, on natychmiast pośpieszy z pomocą poprzez swój prywatny zakład. Zatrudnia tam bardzo dobrych specjalistów. W trudnych wypadkach interweniuje osobiście.

Poprosił o szklankę wody i z namaszczeniem wypełnił formularz zaświadczający o usunięciu awarii. Ochłonąwszy już zupełnie z ferworu roboty, uważnie obejrzał Beatę. Widać nie znalazł w niej nic interesującego, bo mruknął przeciągle:

– Noo, taki dynks.

Kiedy wreszcie wyszedł, ogarnął ją spokój, a także nieuzasadniony optymizm, że to już koniec kłopotów.

Wieczorem, kiedy weszła do łazienki, żeby wziąć kąpiel, usłyszała jednoznacznie brzmiące dźwięki dobiegające z łazienki sąsiadów z dołu. Zrobiło się jej gorąco z oburzenia. Zostawili ją z problemem usunięcia awarii, jakby była jakąś dozorczynią, a sami najspokojniej w świecie uprawiali seks w wannie!

Chichoty zagłuszane przez szum wody, pomruki, niewyraźnie brzmiące słowa dawały pojęcie o tym, co działo się piętro niżej.

Ochota na kąpiel przeszła jej jak ręką odjął, ale napuściła pełną wannę gorącej wody z nadzieją, że zanim ostygnie, sąsiedzi przeniosą się do innego pomieszczenia.

I rzeczywiście, pół godziny później mogła spokojnie i w ciszy poleżeć w pachnącej pianie.

Kiedy po kąpieli odprężona i już trochę śpiąca ułożyła się wygodnie w łóżku, ponownie usłyszała wściekłe stukanie do drzwi.

I znów był to rozsierdzony sąsiad z dołu. Tym razem zalała mu łazienkę.

[1] *Scheisse* (niem.) – przekleństwo.

4. Śledczy

Ostry dzwonek do drzwi wyrwał Beatę ze snu. Miała zamiar pospać dzisiaj troszkę dłużej. Wzięła pół dnia wolnego, bo zarejestrowała się do lekarza psychiatry. Profesora słynnego i drogiego jak piorun. Poprzednia wizyta u psychiatry zniechęciła ją.

„Taki psychiatra z przychodni od razu patrzy na ciebie jak na wariata. Nie mogłabym opowiedzieć komuś takiemu o satyrach" – podsumowała nieudane doświadczenie. „Muszę znaleźć specjalistę, który pochyli się nad moim przypadkiem. Konieczne jest naukowe podejście. To pozwoli mi zachować zdrowy rozsądek".

Dlatego wybrała profesora o znanym nazwisku i naukowych osiągnięciach. Wizyta została umówiona dzisiaj na dziesiątą, mogła więc spokojnie wylegiwać się w łóżku do ósmej.

W pierwszej chwili wzięła dźwięk dzwonka za budzik i usiłowała go wyłączyć.

„Co za diabeł o tej porze?" – zdziwiła się. „Pewno znowu kogoś zalałam. A może kurier przyniósł paczkę?"

Popatrzyła przez wizjer. Na klatce schodowej stało dwóch obcych mężczyzn. Przestraszyła się. Cóż to za jedni przed siódmą rano? Może konserwatorzy z administracji budynku. Ale w prochowcach, jak jacyś tajniacy z filmu?

W końcu otworzyła drzwi na szerokość łańcucha.

– Słucham, o co chodzi? – spytała ostrym tonem.

– Policja, proszę otworzyć – powiedział starszy z mężczyzn, wsuwając przez szparę niedomkniętych drzwi legitymację służbową.

Beata wpatrywała się w dokument z nadzieją, że ma do czynienia z prawdziwą policją, a nie z przebranymi włamywaczami. Mieszkała sama i w razie zagrożenia nikt nie przyszedłby jej z pomocą.

„Trudno, muszę otworzyć" – pomyślała z rezygnacją.

Wpuściła mężczyzn do środka.

– Pani Beata Smugowska? – spytał młodszy.

Potwierdziła.

– Mamy nakaz rewizji pani mieszkania – powiedział starszy i znów podsunął jej papiery do przeczytania.

– Rewizji mieszkania? – Beata wytrzeszczyła oczy. W najdzikszych snach nie przewidywała uczestnictwa w takich filmowych scenach.

Nagle zrobiło się jej gorąco i słabo. A jeśli to znowu halucynacje?

„Boże, Boże, co robić?"

Popatrzyła uważnie w twarze policjantów, usiłując przypomnieć sobie twarze satyrów. Opuściła wzrok na ich stopy. Mieli buty. Może przywiązali je do

kopyt. Płaszcze zasłaniały biodra. „Tamci byli jednak mniejsi i grubsi” – zadecydowała.

– Ale panowie nie jesteście od tych satyrów? – niepewnie spytała na wszelki wypadek.

Mężczyźni popatrzyli najpierw na siebie, a potem na nią.

– Kogo ma pani na myśli? – podchwycił natychmiast ten młodszy, zdecydowanie sympatyczniejszy.

– Nic, nic, ja tak sobie – zbagatelizowała.

– Proszę kontynuować, chodzi może o grupę ze Śródmieścia-Północ? – indagował nieustępliwie.

– Nie, o prawdziwe, ze starożytnej Grecji – ucięła rozmowę. – No, to proszę rewidować. Mam nadzieję, że nie zachowacie się panowie po chamsku i nie zrujnujecie mi nowego mieszkania.

– Z Grecji? Chodzi o przesyłki lotnicze? – Młodszy mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Proszę się pośpieszyć z tą rewizją, zamierzam wyjść o dziewiątej. Właśnie w związku z takimi wariackimi odwiedzinami jak wasze jestem umówiona do lekarza.

– Kim jest ten lekarz? – Oczy młodszego zalśniły zainteresowaniem.

– Psychiatrą, specjalistą od halucynacji! – triumfalnie obwieściła, patrząc na nich z mściwym uśmiechem, jakby prezentowała molom najnowszy stuprocentowo skuteczny środek zwalczający insekty.

– Specjalistą od halucynogenów? – nie poddawał się młodszy.

– Raczej od halucynogantów. Takich jak ja. Sfiksowanych starych panien, którym zwidują się policjanci na zmianę z satyrami.

Starszy skrzywił się z niesmakiem.

– Zaczynamy – powiedział sucho.

Beata chodziła od jednego do drugiego, patrząc im na ręce. Nie zdążyła uzbierać jeszcze wielu rzeczy, a starocie po rodzicach zostawiła ciotkom i sąsiadom. Mieszkanie było nowe i czyste, więc rewizja przebiegała bardzo szybko.

– To dziwne – zagadnął młodszy – że nie chce się pani dowiedzieć, dlaczego wydano nakaz rewizji pani mieszkania.

– Nie wiem, czy ta wiedza nie wpłynęłaby na moje zdrowie psychiczne. Czasami lepiej nie wiedzieć – powiedziała, właściwie sama do siebie. – Akurat teraz, przed wizytą u psychiatry, muszę uważać.

– Jest pani podejrzana o przechowywanie skradzionych przedmiotów i osób podejrzanych o udział w licznych przestępstwach. Przemyt, narkotyki, kradzieże. Niezła lista. A wygląda pani tak uczciwie, że doprawdy trudno uwierzyć. Mieszkanko też sympatyczne. Musiało kosztować sporo pieniążków. Sam bym

takie chciał. Rozwodzę się z żoną i za czymś się właśnie rozglądam. No, na takie luksusy mnie nie stać. Niby z czego uczciwy człowiek ma mieć, z pensji? Wszystko teraz cholernie drogie. Zna pani oczywiście poszukiwanego Adriana Komara?

– Od dziecka! – wykrzyknęła Beata. – Coś mu się stało? Zaginął? Ktoś go porwał? I szukacie go u mnie? O Boże, a ja myślałam, że to znowu te halucynacje.

– Będziemy musieli panią przesłuchać. Pojedziemy do komisariatu i złoży pani zeznania – powiedział starszy, wyraźnie niezadowolony z efektów rewizji.

Młodszy skończył opukiwanie podłogi i przez chwilę zawistnie podziwiał kafelki w łazience.

– Adrian Komar jest groźnym przestępcą i uprzedzam, że za zatajanie informacji grozi pani oskarżenie o współudział – obwieścił, z zachwytem obmacując materiał firanek w dużym pokoju.

– Zgłupiał pan? Adrian to syn mojej koleżanki, jeszcze dzieciak. Chodzi do liceum.

– Justyna Komar, matka poszukiwanego, zeznała, że w terminie, w którym dokonano przestępstwa, przechowywała pani u siebie poszukiwanego wraz z jego kolegami – powiedział bardzo surowo starszy.

– Justyna tak powiedziała? Przecież to moja koleżanka z pracy. Nie wierzę wam. Nie widziałam Adriana chyba ze trzy miesiące, może nawet pół roku, właściwie nie pamiętam, jak dawno temu!

– Więc proszę sobie przypomnieć – powtórzył starszy, patrząc na nią z niechęcią. – Pojedziemy do komisariatu, gdzie zostanie pani dokładnie przesłuchana.

Beata, nie poczuwając się do żadnej winy, specjalnie kazała czekać policjantom, aż wykąpie się i starannie ubierze.

Zeszli do zaparkowanego pod domem samochodu policyjnego. Po drodze mieli jeszcze zabrać jakiegoś notorycznego przestępcę skazanego na pięć lat więzienia, ale nie zastali go w domu.

„No tak – pomyślała Beata – niektórzy za nic mają wyroki sądowe przerażające uczciwego człowieka. Skoro ma posiedzieć kilka lat, to jeden dzień i tak nie robi różnicy. A ja jadę w zakratowanym wozie policyjnym i może mnie obejrzeć całe osiedle. Kompromitacja. Dobrze, że chociaż nie podróżuję w towarzystwie tego kryminalisty”.

Przesłuchanie okazało się wyjątkowo nieprzyjemnym przeżyciem. Oficer, który z nią rozmawiał, cały czas sugerował, że brała udział w skokach na hurtownie sprzętu elektronicznego, przechowywała w domu amfetaminę i ukrywała młodocianych przestępców.

Syn Justyny wyrastał w świetle tych insynuacji na groźnego gangstera. Najgorzej jednak wyglądała sprawa zeznań samej Justyny. Policjant nie chciał

pokazać Beacie kartki, z której czytał oskarżenia. Twierdził jednak stanowczo, że Justyna pod wszystkim się podpisała.

Sprawa wyglądała poważnie. Beata nie wiedziała, jak się zachować. Co jej naprawdę groziło? Czy ją oskarżą, czy muszą mieć jakieś dowody, zeznania innych świadków? Dlaczego przyczepili się właśnie do niej? Kto mógłby jej pomóc?

Policjanci unikali wyjaśnień dotyczących dalszego postępowania w sprawie.

– Będziemy panią jeszcze wzywać – zapewnili z posępnymi minami. – To dopiero początek.

Po godzinnym przesłuchaniu Beata wyszła z budynku komisariatu. Była już jedenasta. Na dworze przyjemnie świeciło słońce, ale ona zupełnie nie mogła nawiązać kontaktu z rzeczywistością. Patrzyła na żółte kwiatki rosnące na klombie wokół pomnika i nie docierało do niej, że są żywe. Wszystko wokół wydawało się sztuczne i nieprawdziwe.

Wsiadła do tramwaju i pojechała do pracy.

Całą drogę zastanawiała się, co powiedzieć Justynie. Była pewna, że policjanci nie mówili jej prawdy. Jednak z drugiej strony nie robili rewizji i nie przesłuchiwali jej bez powodu.

Wizyta u lekarza przepadła. Na szczęście wzięła pół dnia wolnego i nie musiała nikomu tłumaczyć się z nieobecności.

Ledwie weszła za przepierzenie do pokoju koleżanki, Justyna od razu wiedziała, o czym będą rozmawiały.

– Słuchaj, co ja przez ciebie przeżyłam – zaczęła z miejsca Beata. – Nieźle mnie wrobiłaś tymi zeznaniami. Faceci na policji cały czas machali mi nimi przed nosem.

– Jak to, sukinsyny pokazały ci moje zeznania? – z wściekłością zawołała Justyna.

– O to chodzi, że właśnie nie pokazały – wyjaśniła Beata. – Tylko ciągle mówiły, że powiedziałaś to, powiedziałaś tamto. Ja im oczywiście nie wierzyłam, ale za diabła nie wiem, czemu robili rewizję akurat u mnie.

Justyna odetchnęła z ulgą i rozpogodziła się.

– Ach, takie głupoty, wiesz, że policja robi z igły widły i zawsze się uczepi niewinnego. Koledzy Adriana wplątali się w jakąś aferę. Zresztą nie wiem, czy ci kiedyś wspominałam, że wyprowadził się z domu na trzy dni i mieszkał u dziewczyny. No wiesz, to jeszcze smarkula, pomyślałam, nie będę jej psuła opinii, więc powiedziałam, że nocował u matki chrzestnej, czyli u ciebie. Właśnie tej nocy jego wspaniali koledzy włamali się do hurtowni czy sklepu i ukradli jakieś komputery. Policja sprawdzała alibi całej klasy, a tu masz ci los, Adriana akurat nie było tej nocy w domu. Sama rozumiesz, musiałam coś powiedzieć.

Beata poczuła ogromną ulgę, niemal popłakała się z radości. Takie proste wytłumaczenie dla koszmarnych wydarzeń poranka.

– Chyba cię ucałuję – zawołała, obejmując Justynę. – Nie masz pojęcia, co ja ostatnio przeżywam. Chwilami sama nie wiem, na jakim świecie żyję. Może pozostałe sprawy też dadzą się prosto wytłumaczyć?

– O czym mówisz? – spytała Justyna, wpatrując się w nią intensywnie.

Gdy już całe napięcie opadło, Beata zapragnęła zwierzyć się komuś ze swoich ostatnich przeżyć. Od dawna nie były bliskimi przyjaciółkami. Justyna parokrotnie wykorzystywała ją w różnych rozgrywkach personalnych. W dodatku była wręcz patologicznie dwulicowa, w sposób, który zniechęciłby nawet świętego.

– Ostatnio mam jakieś halucynacje – powiedziała szeptem Beata. – Widzę jakieś osoby albo zwierzęta, których w rzeczywistości nie ma.

Justyna uśmiechnęła się radośnie.

– No właśnie – powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. – Wszyscy zauważyli, że coś jest z tobą nie w porządku. Nawet zastanawiali się, czy nie powinnaś trochę odpocząć.

– Nie mam już urlopu, wykorzystałam prawie cały na przeprowadzkę i urządzanie mieszkania.

– No to może byś przeszła na pół etatu albo na przykład do archiwum, tam jest spokojniej – podejrzanie dobrotliwie zasugerowała Justyna.

Jej ton z miejsca otrzeźwił Beatę.

– Nie ma mowy. Przecież muszę spłacać kredyt! Wiesz, ile wynosi miesięczna rata? Gdyby nie układ z Robertem, nie miałabym z czego żyć. To, że w zeszłym roku pożyczyłam mu pieniądze, które mi teraz oddaje, spłacając część kredytu, okazało się błogosławieństwem. Nie podejrzewając, że będę potrzebowała pieniędzy na kupno mieszkania, mogłam je wydać na coś innego, choćby na nowy samochód. Pół etatu czy pensja archiwistki mnie nie urządzają. Zresztą daj spokój, przecież jestem inżynierem, co miałabym robić w archiwum?

– Cóż, chciałam ci tylko pomóc – powiedziała urażonym tonem Justyna. – Czasami lepiej dobrowolnie się poddać, niż przeżyć publiczne upokorzenie.

– O czym ty mówisz? – Beacie zrobiło się nieprzyjemnie. Przeczuwała jakieś przykrości. Cała radość z wyjaśnienia porannego nieporozumienia ulotniła się.

– Beata, wzywają cię do działu kontroli – zawołał Robert, zaglądając za przepierzenie.

Ledwie Beata wyszła z pokoju, Robert przysiadł się do Justyny.

– I jak tam sprawa Adrianka? – zapytał zatroskanym tonem, w którym wyczuwało się złośliwość.

– Ten twój mecenas puści mnie z torbami – warknęła.

– Chciałaś najlepszego. Tadzio jest najlepszy, tyle że łasy na pieniądze. Już w przedszkolu zabiłby za kradzież jego ulubionego patyczka, taki był zawzięty. Cóż, moja droga, skoro żałowałaś synkowi kieszonkowego, zajął się biedaczek handlem narkotykami, żeby mieć na lody. A teraz wydasz na adwokatów. Coś za

coś, równowaga w przyrodzie musi być.

– Robert, wobec takiego bezczela jak ty nawet matka natura jest bezradna. – Justyna była coraz bardziej wściekła.

– Patrzcie, jaka święta, a cały dom miała pełny kradzionego towaru!

– Nie dom, tylko piwnicę. I nic mi nie udowodniono. Nie ma żadnych świadków. Twój adwokat zadbał o nasze niepodważalne alibi i o to, by rozważono odpowiedzialność zbiorową.

– Czyli, rybko, narzekasz, a w gruncie rzeczy jesteś ze mnie zadowolona. Najwyższy czas zająć się na poważnie własnym dzieciakiem. Wszyscy w mieście darzą szacunkiem twoją rodzinę. A były mąż należy do elity. Jakim cudem wychowaliście młodocianego dilera narkotykowego?

– Robert, teraz wśród młodych jest taka moda! W liceum, które dla Adriana wybrał Jerzy, należy mieć dobry samochód i handlować amfą czy innym paskudztwem. To jest w dobrym stylu. Na osiemnastkę Jerzy obiecał Adrianowi hondę, bo to obciach pożyczać samochód od matki.

– Szczodry tatuś.

– Akurat, ciągle spóźnia się z alimentami. I w ogóle płaci grosze.

Nagłe trzaśnięcie drzwi było zapowiedzią pojawienia się Gustawa. Wbiegł do pokoju i zatrzymał się na środku, usiłując zdyszanym głosem zakomunikować coś ważnego. Uspokoił oddech i wyjęczał:

– Stella jest w ciąży i wychodzi za mąż. Kategorycznie odmówiła dalszej współpracy. Co my teraz zrobimy?

Wieść była hiobowa, ale na twarzy Roberta zagościł szeroki uśmiech.

– No i proszę, a tacy byliśmy dumni z córeczki. Cóż, dziadku Gustawie. Przyjdzie się wycofać z interesu. Nie ma narzeczonej dla Juliana, nie ma twojej części spadku!

– Robert – oburzyła się Justyna – przecież to nieszczęście dla nas wszystkich. Dla ciebie też.

– Chodzi o zasady podziału.

Gustaw w jednej chwili zaczerwienił się jak burak i podbiegł do Roberta.

– Nie możesz się mnie pozbyć, generale od siedmiu boleści, bo za dużo wiem. Więc albo wymyślicie mi dobrze płatne zadanie, albo wezmę dolę wyłącznie za milczenie!

Robert odskoczył, wachlując się gwałtownie rękami, żeby rozproszyć zmasowany atak wody kolońskiej Gustawa.

Drzwi otworzyły się znowu. Wmaszerował Bartek z uradowaną miną.

– Kochani, sprawa posuwa się do przodu. Właśnie dzwonił Dominik z informacją, że staremu się pogorszyło. Pora spisywania testamentu nadchodzi wielkimi krokami. No, skąd te ponure miny? Przecież mówiłem, że plan jest idealnie prosty i skuteczny!

5. Propozycja

Poprzedniego dnia pod koniec pracy Beata została wezwana do naczelnika działu kontroli wewnętrznej.

Gruby, niesympatyczny mężczyzna w średnim wieku, o wyglądzie byłego pracownika biura śledczego, zaczął zadawać jej pytania na temat pisma sprytnie schowanego przez Gustawa.

Beata nie czuła się bez winy, ponieważ odnalazła pismo dopiero po kilku dniach od jego doręczenia. Jednak po dogłębnej analizie sytuacji nabrała podejrzeń, że ktoś jej to pismo schował, a potem podrzucił.

I to było najgorsze, ponieważ bała się swoich przeczuć, a przede wszystkim spostrzeżeń niepotwierdzonych przez otoczenie.

Może pismo było tam cały czas, a ona nie widziała go, tak jak z kolei widziała rzeczy, których naprawdę nie było?

– I nie próbowała pani dowiedzieć się, co stało się z kopertą? I obstaje pani przy tym, że nie było jej przy piśmie? – indagował naczelnik.

– Wielokrotnie już tłumaczyłam, że pismo ma pieczątkę kancelarii i nic nie wskazuje, że przesłano je pocztą, a nie złożono osobiście. Tego typu dokumenty nie wymagają żadnej opłaty skarbowej, więc nie nakleja się na nich znaczków skarbowych. – Beata próbowała zachować spokój.

Jej argumenty odbijały się jak od ściany.

Zanim naczelnik skończył przesłuchanie, jeszcze ze trzy razy wyraził swoje wątpliwości.

Powrót do pokoju nie poprawił Beacie nastroju. Nie czuła wsparcia kolegów. Wręcz przeciwnie, jakby za jej plecami zacierali ręce z radości, uradowani jej kłopotami. Kiedyś byli tacy solidarni i współczujący.

To wszystko wydarzyło się wczoraj, a dzisiaj od rana próbowała skupić się na pracy. Niestety nadal głowę miała wypełnioną dyskusją z naczelnikiem roztrząsającym fenomen dziurek po nieistniejącej kopercie. Próbowała analizować zajście w kontekście skutków postępującego obłędu.

Chociaż nieobecna duchem, w miarę upływu dnia nabierała coraz wyraźniejszego przekonania, że mocno zdenerwowany Robert ma do zakomunikowania coś ważnego. Zza swojego biurka rzucał jej zachwycone spojrzenia, jak uczeń niecierpliwie wyczekujący końca lekcji, by na przerwie podzielić się jakąś fantastyczną wiadomością.

W końcu, korzystając z chwilowej nieobecności reszty zespołu, uśmiechnął się uwodzicielsko i zagadnął niedbale:

– Mm, zwracam honor pięknej pani. Zostać damą serca najprzystojniejszego faceta w urzędzie to nie byle co.

Beata spojrzała na niego zaskoczona. Od dawna nie była dla Roberta

partnerką do prowadzenia tego typu rozmów.

– No, nie patrz na mnie wzrokiem zranionej sarny. Nie doceniłem cię. Facet zwariował na twoim punkcie.

– Jaki facet? – spytała niepewnie.

– Moim zdaniem jeden z dziesięciu najprzystojniejszych w urzędzie. – Dla Roberta, spędzającego znaczną liczbę godzin na flirtach w różnych pokojach, odpowiedź wydawała się jasna jak słońce.

– A ty zapewne jesteś na czele tej dziesiątki?

– *Ex aequo* na pierwszym.

– Z nim?

– Nie żądaj zbyt wiele. On raczej zamyka listę, ale i tak kobiety szaleją na jego punkcie. Zgaduj.

– Kierownik kadr?

– Zwariowałaś?! Ten macho dla ubogich? Ja mówię o kimś z klasą, czyje towarzystwo nobilituje, a nie kompromituje kobietę.

– Nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

– Trudno, więc dzisiaj ci nie powiem. Porozmyślaj trochę, to będziesz miała większy apetyt – szepnął, patrząc na nią z uznaniem.

– O czym ty w ogóle mówisz? Jakiś facet coś ci o mnie naopowiadał? Nic z tego nie rozumiem.

– Przecież ci tłumaczę, że jeden facet oszalał na twoim punkcie. Chodzę razem z nim na basen i tenis. W końcu tak go przypiliło, że nie wytrzymał i zwierzył mi się, że od jakiegoś czasu kocha się w tobie. Nie ma śmiałości wystartować, bo jesteś taka niedostępna. Więc powiedziałem mu, że chyba upadł na głowę, bo ty byś bardzo chętnie poleciała na byle jakie portki, a co dopiero takie ekskluzywne jak jego.

– No wiesz, Robert, nie spodziewałam się tego po tobie. Jesteś po prostu kawał chama! – oburzyła się. – A te bzdury wymyślasz, żeby mi dopiec, w dodatku udając życzliwość.

– Oj, nie bij, ja tylko żartowałem! – Robert teatralnie osłonił się ramieniem. – Oczywiście, że tego nie powiedziałem. Słuchaj, to wartościowy, mądry i przystojny facet. I rzeczywiście musiał się bardzo zaangażować emocjonalnie. Naprawdę bardzo poważnie podchodzi do sprawy. Jest sam. Dobrze sytuowany. Od dziesięciu lat rozwiedziony. Nie ze swojej winy. Nie ma dzieci. Nie pije, nie lata za babami. I daję słowo honoru, że od czasu rozwodu jesteś absolutnie pierwszą dziewczyną, która przyciągnęła jego uwagę!

Wracając do domu, śpiewała sobie w duchu różne wesołe kawałki o miłości, słowikach i innych głupotach.

„Najważniejsze, że znów jestem wśród żywych” – pomyślała. „I znów

jestem kobietą, dość młodą duchem jak na swój wiek. I mam wielbiciela. Rycerza. Prawie narzeczonego". Rozejrzała się z uśmiechem, pozdrawiając szpaki siedzące na drzewach okalających osiedlowy plac.

Wahała się, czy zrobić zakupy od razu, czy przeczekać upał i wyjść jeszcze raz wieczorem.

Ruda sprzedawczyni pomidorów nie objawiała już żadnych niezwykłych cech. Chociaż Beata, kupując u niej, wstrzymywała czasami oddech z obawy przed nieoczekiwanym widokiem, kończyło się najwyżej na złotych iskierkach sypiących się z oczu rudej. Jednak to było łatwo wytłumaczyć grą promieni słonecznych na rzęsach.

Znacznie bardziej irytująca okazała się z czasem kwiaciarka. Była to starsza niechlujna kobieta o siwoburych kudłach związanych gumką i sterczących jak rastafariańskie dredy. Nosiła dziurawe podkoszulki, ponakładane jeden na drugi, i brązowe za ciasne spodnie, spięte na brzuchu agrafkami. Siadywała przy dwóch wiaderkach z ciętymi kwiatami i kilku doniczkach pelargonii. Zdawałoby się, że do tego powinna ograniczać się jej aktywność. Tymczasem wystarczyło podejść do któregoś ze stoisk warzywnych chwilowo opuszczonego przez sprzedawcę albo zbyt długo wahać się z wyborem, a zaraz nie wiadomo skąd, gdzieś zza pleców, przy łokciu, a nawet w okolicy kolan niespodziewanie wyskakiwała zaczajona pomiędzy skrzynkami wredna twarz kwiaciarki.

– Świeżutkie, prosto z grządki – ze służalczo fałszywym uśmiechem syczała natarczywie, a Beata z dreszczem odrazy natychmiast odchodziła.

Taka reklama działała równie odstręczająco na innych kupujących. Na początku Beata zastanawiała się, dlaczego sprzedawcy nie przeganiają kwiaciarki. Z czasem zauważyła, że istniały pomiędzy nimi powiązania rodzinne i ustalona hierarchia, a pozycja kwiaciarki z nieznanych powodów była bardzo wysoka.

W końcu Beata zadecydowała, że zakupy zrobi wieczorem, kiedy słońce zajdzie i popołudniowy upał ustąpi miejsca rześkiemu powietrzu rozgwieżdżonej nocy.

Weszła do domu, czując rozpierającą radość z powrotu do przyjaznego dla niej miejsca. Zwidy nie zwidy, satyry czy haremowe bajadery, ale to tutaj właśnie jest jej forteca, zamek obwarowany przed resztą świata.

– Moje przywidzenia i moje satyry, i nic wam do tego – szepnęła do siebie. – Satyry to przecież w mitologii antycznej chłopy że hej. I w dodatku aż dwa! W sam raz dla takiej wygłodzonej starej panny jak ja. – Zachichotała, wspominając niesamowicie realistyczne halucynacje.

Wychodząc do pracy, zostawiła żaluzje opuszczone, a okna pozamykane. Dzięki temu w domu było chłodniej niż na dworze.

Chodziła po mieszkaniu, z zadowoleniem stąpając bosymi stopami po chłodnej podłodze.

Zjadła obiad, opowiadając Rolandowi o swojej dzisiejszej przygodzie. Ciekawe, czy tajemniczy wielbiciel lubi żółwie? Może też ma jakieś zwierzaki w domu. Roland wydawał się zupełnie zdrowy i staczał boje z Bernardem, najmłodszym z żółwi. Bitwy były dość łagodne, przypominały łajanie niezadowolonego rodzica. Widocznie Roland czuł się głową rodziny.

Ledwie pomyślała o kąpieli, zaraz zadrżała na myśl, co później stanie się z wodą z wanny.

W domu ostatnio stale pojawiał się problem z kanalizacją. Kapitalny remont budynku obejmował także wymianę wszystkich rur. Może zastosowane przekroje były niewystarczające, może w środku zostały jakieś zanieczyszczenia z budowy albo popełniono błąd podczas montażu? Tajemnica wciąż pozostawała nierozwiązana.

Zaledwie przedwczoraj toaleta, ostatnie pomieszczenie, z którego jeszcze nie zalała sąsiadów, dostarczyła dowodu, że wszystkie piony kanalizacyjne są wadliwe. Na szczęście woda, która nagle ostrym strumieniem wytrysnęła ze ściany na wysokości lustra w toalecie sąsiadów z dołu, pochodziła z umywalki, a nie z muszli klozetowej.

W dużym jak na toaletę pomieszczeniu stała pralka automatyczna. W umywalce Beata prała rajstopy, ściereczki i inne drobiazgi.

I właśnie woda z kilku prań spłynęła piętro niżej.

Tym sposobem Beata poznała obydwoje sąsiadów. On jak zwykle wściekał się, krzyczał i obrażał ją na różne sposoby.

Jego żona zachowywała spokój i traktowała wszystko z dziwnym dystansem, jakby to nie jej mieszkanie pokrywało się od czasu do czasu brudną wodą z kanalizacji.

Była wysoka, szczupła, około trzydziestki. Chodziła wyprostowana, z dumnie zadartą głową, nie racząc obdarzyć spojrzeniem pospolitych śmiertelników. Ciemnoblond włosy związywała w koński ogon. Pomimo upałów zwykle nosiła spodnie. Buty na wysokich obcasach jeszcze bardziej wysmuklały jej sylwetkę.

Przysłany przez spółdzielnię młody, niedoświadczony hydraulik, z jakiejś tajemniczej przyczyny lekko chwiejący się na nogach, zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego rury nie chcą słuchać praw grawitacji i zamiast kierować wodę w dół, tłoczą ją do góry. Jego rozmyte spojrzenie nie chciało skoncentrować się na przewodach kanalizacyjnych, lecz niespokojnie przemykało po półeczkach, wciskając się za zamknięte drzwi szafek. Jakby szperało w poszukiwaniu specyfików mogących jeszcze bardziej rozluźnić wątłe więzy łączące go ze światem realnym.

Owoce jego pracy były tak mizerniutkie, że Beata zadzwoniła do pierwszego hydraulika, prosząc o prywatną odpłatną interwencję.

Przyszedł sam. Ledwie zamknął za sobą drzwi, ściągnął czerwony przepocony podkoszulek, wytarł nim spocone ciało i włożył z powrotem. Podrapał się, ponownie obnażając pokaźny, włochaty brzuch. Chwilę zwlekał z przystąpieniem do pracy. Lubił sobie pogadać. Ponarzekać, pochwalić się, jaki to z niego gość i u kogo to nie pracował. Wręczył Beacie korbkę służącą do wprawiania sprężyny w ruch obrotowy i nakazał kręcić, gdy da znać. Rozmontował syfon i podejście, a potem krzyknął:

– Już! Pani kręci!

Beata posłusznie kręciła, ale i tak wciąż musiała wysłuchiwać okrzyków niezadowolenia. Hydraulik nie żywił dla niej szacunku, co dało się poznać po uwagach rzucanych mimochodem już w czasie pierwszej wizyty.

Po kilku minutach na skutek wspólnych wysiłków odpływ umywalki zaczął działać jak należy.

– Pani patrzy – powiedział dumnie, odkręcając i zakręcając wodę – spływa jak ta lala.

Potem rozsiadł się na kuchennym plecionym krześle, założył nogę na nogę i kiwając stopą w dziurawej skarpetce, z której wystawał duży palec, wygłosił krótką przemowę na temat polityki światowej, ze szczególnym uwzględnieniem banków. Na koniec wyjawił, co lubi, a czego nie znosi. Wyznał też, że gardzi pracą w spółdzielni mieszkaniowej i chyba podświadomie nie chce, aby coś, co według niego robił tu za darmo, mogło przynieść efekty.

Wychodząc z godziwą zapłatą w kieszeni, zapewnił, że kłopoty lada dzień się skończą.

– Lada dzień? Dlaczego nie od razu? – spytała Beata.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, mówiło jednoznacznie, że jako kobieta nie wywarła na nim na tyle zadowalającego wrażenia, by miał powody skutecznie popisywać się swoją niezaprzeczalną męskością. Po prostu szkoda czasu i atłasu.

To „lada dzień” zasiało niepokój w sercu Beaty. Z obawą myślała, czy będzie mogła się wykąpać. Może teraz kolej na zalanie wannowe?

Najbardziej intrygowało ją, jak udrażnianie rur może przeciwdziałać wypływaniu wody ze ścian i sufitów. Jeżeli rury są nieszczelne, w jaki sposób w ogóle funkcjonują?

Hydraulików to nie dziwiło. Może znali jakąś ukrytą przed mieszkańcami wadę instalacyjną?

Dzwonek do drzwi przerwał jej rozmyślania.

Zaskoczona niespodziewanymi odwiedzinami, poszła otworzyć.

– Proszę pani, piłka nam wpadła na pani taras – powiedział chłopczyk z naprzeciwka zdyszanym głosem.

– Już z rana – dodała jego siostra, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

– Zejdźcie na dół, znajdę piłkę i rzucę wam – powiedziała Beata, czując, że

nie powinna wpuszczać tych plotkarskich smarkaczy do mieszkania.

Najpierw widzą konie, a potem opowiadają niestworzone historie każdemu, kto chce słuchać. Ciekawe, co by wymyślili po obejrzeniu jej mieszkania? Żółwie mogą na przykład zmienić się w słonie albo dinozaury.

– Ta pani z naprzeciwka hoduje w wannie dwa hipopotamy – przemawiała piskliwym głosikiem, idąc na taras. – Dlatego zawsze zalewa wszystkich w całym domu!

Oczywiście mała kolorowa piłka, wpadając pomiędzy skrzynki z kwiatami, złamała kilka łodyg. Beata rzuciła ją dzieciakom grzecznie czekającym na trawniku przed domem.

Na tarasie mieszkania na parterze starsze małżeństwo zażywało popołudniowej sjesty. Z przymkniętymi oczami siedzieli w wygodnych, miękkich fotelach turystycznych i przez słomki sączyli koktajle z wysokich szklanek. Co jakiś czas z brzękiem dorzucali kostki lodu. Nagle pan, korzystając z nieuwagi pani schylającej się po truskawkę, wsunął jej kostkę lodu za dekolt stanika kostiumu kąpielowego. Pisnęła i zaczęła okładać go małymi piąstkami. On bronił się dzielnie, dyskretnie całując jej szyję i włosy.

Beata patrzyła z rozbawieniem na tę scenę.

„Dziwne – pomyślała – prawie emeryci, a zachowują się, jakby nadal mieli po szesnaście lat".

Pochyliła się nad skrzynkami. Gęste liście pelargonii zakryły uszkodzone gałązki.

W glinianej donicy o kształcie dużej misy hodowała wysokie egzotyczne trawy. Donica stała w zacienionej części tarasu, żeby ziemia dłużej trzymała wilgoć. Jedna kępa srebrnozielonej trawy dziwnie wyłamywała się z kompozycji i Beata już miała się zirytować na niszczycielskie dzieciaki, gdy jej wzrok padł na małe wyszczerbienie widoczne na brzeżku donicy. Rozgarnęła trawę i patrzyła, nie wierząc własnym oczom.

Dobry nastrój wywołany widokiem zakochanej pary w jednej chwili zmienił się w strach i przygnębienie.

Tuż przy krawędzi donicy na wilgotnej pomimo upału ziemi ujrzała odcisk kopyta.

Poczuła znajome ściskanie w gardle. Jakby ktoś chciał ją udusić, przygniatając mocno grdykę.

„Znów się zaczyna" – pomyślała ze strachem. „Widzę nieistniejący odcisk kopyta nieistniejącego satyra. Widzę to, czego w rzeczywistości nie ma. Tak objawia się obłęd. Któreś stadium. Kolejna faza. Powoli świat urojeń miesza się ze światem realnym, zacierając możliwość oddzielenia tego, co prawdziwe, od tego, co wylęgło się w mojej chorej wyobraźni. A co z rzekomym wielbicielem? Czy zechce zadawać się z wariatką? Zanim dowiedziałam się o nim, mogłam sobie

wariować do woli, nie miałam po co żyć. Teraz jest wreszcie fantastyczny powód, a ja do niczego się nie nadaję".

Łzy spływały spod powiek. Odechciało się jej robić cokolwiek. Weszła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Czuła się tak bezradnie, że nie wiedziała nawet, czy powinna o czymkolwiek myśleć. Każda myśl mogła być kolejnym krokiem w szaleństwo. Zaczęła liczyć od tysiąca w dół, żeby powstrzymać umysł przed tworzeniem nowych obrazów.

„Będę liczyła cały czas" – postanowiła.

Walczyła ze słowami układającymi się w zdania, przeganiając je kolejnymi liczbami. Przy czterystu odpłynęła w sen.

Obudziła się po trzech godzinach z lekko bolącą głową, ale za to w o wiele lepszym nastroju. Uczucie dławiącego strachu minęło. Poza tym była głodna.

Za oknem panował mrok, letni wieczór rozbrzmiewał głosami ludzi, którym nie śpieszyło się do domów.

Poczuła pokusę dołączenia do nich. Widziała już w wyobraźni, jak przechodzi obok różnych grupek skupionych wokół ławek i murków i słuchając ich rozmów, po części uczestniczy w ich życiu.

Nałożyła sandały, zbiegła po schodach i wyszła w mrok letniego wieczoru.

Wędrowała spacerkiem po asfaltowej uliczce prowadzącej do handlowego centrum osiedla. Spoglądała w górę na korony niskich drzewek jarzębiny rozświetlonych przez latarnie. Czuła się lekko i bezpiecznie. Upał minął, rześkie wieczorne powietrze wprawiło ją w wesoły nastrój. Pogwizdując, wyszła na otwartą przestrzeń placu.

Kilku stałych pijaków, od rana na warcie, dyskutowało z pasją o podatkach od lokat bankowych. Czuli się okradani przez państwo i dawali temu wyraz w po wielokroć powtarzanych ordynarnych słowach.

Beata zastanawiała się nad zachwianym poczuciem rzeczywistości mężczyzn żerujących na mizernych emeryturach starych matek.

Widoczne przez szklane ściany wnętrze sklepu rozświetlone żółtym światłem wyglądało jak słoneczne akwarium w ciemnym pokoju nocy. Przyjemnie było patrzeć na to z daleka, równie przyjemnie było wejść do środka.

Zrobiła zakupy i pochodziła trochę dla przyjemności pomiędzy regałami wypełnionymi dobrem wszelakim.

„Mogłabym zaprosić kogoś do domu na kolację i przygotować coś specjalnego" – pomyślała, rozważając wybór potrawy w zależności od mijanych właśnie artykułów. Pizza, sałatka z oliwek, chińszczyzna, spaghetti, kotlet schabowy z kapustą!

Wyszła z zakupami ze sklepu tuż przed zamknięciem i wolno, okrężną drogą wracała do domu. Była godzina dziewiąta wieczorem i zmrok jeszcze całkiem nie zapadł.

Chłopaki z deskorolkami popisywały się przed dziewczynami, wskakując na różne „elementy małej architektury”, jak fachowym terminem określiła w myślach ławki i schodki.

Zbliżała się do spacerującej z psem pary starszych ludzi. Pies średniej wielkości był bardzo szczupły i wprost niezwykle giętki. W światłach kolejnych latarni widać było, jak jego szaro-czarna sierść połyskuje metalicznie.

Beata wyminęła nieznaną parę. Odwróciła się, żeby z przodu obejrzeć pysk i zidentyfikować rasę ich dziwnego psa.

I znowu ogarnęło ją znajome przerażenie. Choć wzrostu cocker-spaniela, prowadzony na smyczy chudy zwierzak nie był psem, ale bardzo wysokim, długonogim kotem.

6. Spotkanie

Z samego rana Beata została wezwana do naczelnika. Spodziewała się, że znów będzie ją wypytywał o niewidzialne dziurki na piśmie ekologów, ale tym razem mile się rozczarowała.

– Proszę siadać – powiedział łaskawie. – Wspominała pani kiedyś o konieczności wdrażania nowych programów, o kursach i tak dalej. Więc proszę wypełnić to skierowanie i zanieść do kadr. Spełniam pani życzenie, chociaż jestem ostatnio niezadowolony z pani pracy.

Zachwycona chwyciła papiery i wyszła z gabinetu. Dopiero w pokoju zauważyła, że skierowanie nie dotyczy szkolenia z programu komputerowego, którego pragnęła używać, ale jakiegoś zupełnie nieznanego jej systemu archiwizacji danych. Chciała wrócić i wyjaśnić nieporozumienie, jednak na skierowaniu wyraźnie było wypisane jej nazwisko i adnotacja naczelnika.

„Co ich, do diabła, naszło z tą archiwizacją?" – pomyślała z wściekłością. „Któraś z rzędu osoba chce mnie wysłać do archiwum. Jestem inżynierem, a nie bibliotekarką!"

Skupiła się na pracy, planując, na złość i w ramach zemsty na naczelniku, pójść do kadr dopiero pod koniec dnia. Żałosna zemsta.

Powietrze wciąż było nagrzane od słońca przedzierającego się przez szpary opuszczonych żaluzji. Wiatrak szumiał, obracając się wokół własnej osi i powodując, że z blatów co jakiś czas spadały na ziemię pojedyncze kartki.

– Beata. – Robert przesyłał jej tajemnicze sygnały zza swojego biurka. Droczył się z nią tak już od dwóch dni. Kiedy zostawali sami, zaraz zaczynał opowiadać o tajemniczym wielbicielu. Umiał uwodzić i doskonale robił to również jako swat. Beata płonęła z chęci poznania człowieka, któremu wpadła w oko, który pragnął ją poznać, któremu najwidoczniej była potrzebna. Od śmierci rodziców nikt jej nie potrzebował, a od dziesięciu lat nie zainteresował się nią żaden mężczyzna.

Papierowy samolocik wylądował na blacie jej biurka. Rozprostowała go i przeczytała wypisane drukowanymi literami:

„Julian Wilamowski – Wydział Kultury i Sportu. Oczekuje na Twoją łaskawość o godzinie dwunastej w barku na dole. Stolik pod oknem. Okaż serce i pójdź! Błagam w jego i swoim imieniu".

Porozumiewawczo skinęła głową i wyszła z pokoju, udając się do toalety, żeby poprawić makijaż i fryzurę.

Czuła ogromną tremę. Nie spotykała się z żadnym mężczyzną od wielu lat. Zapomniała, co to seks. Zawsze wyczuwała, że Robert ją lubi, zapewne w rewanżu za uwielbienie, jakim kiedyś go darzyła. Zaufała mu wtedy tylko do pewnego stopnia. Gdzieś w głębi duszy zawsze wierzyła w tego jedynego, który miał przyjść

i uczynić ją damą swojego serca.

Dlatego wizja wielkiej miłości Juliana Wilamowskiego prezentowała się bardzo nęcąco. Pomimo że wywoływała przyśpieszone bicie serca, Beata miała wątpliwości, czy rzeczywiście chodzi o coś poważnego. A jeśli to tylko kaprys samotnego mężczyzny lub intryga koleżeńska starych chłopów, którzy nigdy nie dorosną? Mimo wszystko warto skorzystać z okazji. Nareszcie umówi się z kimś do kawiarni czy do kina. Sfruwała po schodach jak nastolatka. A co tam! Żyje się raz!

Tymczasem Robert podbiegł do telefonu, korzystając z nieobecności pozostałych pracowników naradzających się u naczelnika, jak rozwiązać sprawę Beaty. Wkrótce miał do nich dołączyć. Pilnował, by intrygi przeciw Beacie nie przyjęły zbyt drastycznego przebiegu. Był przeciwnikiem decyzji o zwolnieniu. Wciąż starał się o przesunięcie Beaty do pracy w archiwum. Nie chciał utracić kontaktu z nią z czysto praktycznych przyczyn. Musiał trzymać rękę na pulsie, kontrolować jej zachowanie.

Działając za plecami Bartka, przekonał Juliana do kolejnej próby, usiłując odzyskać utracone wpływy w intrydze testamentowej. Lada moment spodziewał się wybuchu awantury z powodu nieterminowych spłat kredytu mieszkaniowego Beaty. Zaciągnął u niej dług, a teraz nie dawał rady go spłacić. Jako inicjator spotkania z Julianem oczekiwał od Beaty ulgowego potraktowania. Zakochane kobiety stają się hojne. A on nieustannie wpadał w tarapaty finansowe. Cóż, zawsze wydawał więcej, niż zarabiał.

– Halo, Julian – wyszeptał w słuchawkę. – Jesteś już na miejscu? Pamiętaj, nie za ostro. Nie wyskakuj od razu z narzeczoną. Takie same zasady jak poprzednio. Najpierw parę razy zaprezentujemy ją staremu, a dopiero kiedy on wyrazi akceptację, ty się zadeklarujesz z pierścionkiem. Mamy za sobą już dwa niewypały i coraz mniej czasu. Kuj żelazo, póki gorące. Zaproś ją od razu, ale nie przedstawiaj jako narzeczonej. Rozumiesz, działaj szybko, ale ostrożnie. Cała nadzieja w tej zwariowanej Beacie. Przyszła? No to powodzenia.

Barek składał się z niedużej salki mieszczącej siedem stolików. Na szczęście Julian Wilamowski siedział blisko drzwi i na widok Beaty od razu wstał na powitanie. Tym sposobem najtrudniejszy według niej moment podejścia do stolika minął bezboleśnie w miłym zamieszaniu. Julian ucałował jej dłoń, obdarzył pełnym wdzięczności spojrzeniem i podziękował za przyjście.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale ponieważ wiem, że o tej porze jada pani kanapkę z białym serem i pija kawę, już zamówiłem, żeby nie trzeba było czekać w kolejce – wyjaśnił.

– Był pan pewny, że przyjdę? – spytała Beata, trochę zła.

– Nie, ale ja też lubię kanapki z białym serem, więc w razie czego zjadłbym obie.

Na kontuarze pojawiły się dwie filiżanki kawy i kanapki. Julian Wilamowski poszedł odebrać zamówienie. Beata skorzystała z okazji, by szybko ocenić go w roli swojego chłopaka.

Faktycznie, wyróżniał się korzystnie na tle innych mężczyzn. Co więcej, wyraźnie był zadowolony z roli wyalienowanego przystojniaka na tle pospolitych urzędasów.

Oczywiście trochę mu brakowało do miana superciacha. Przede wszystkim nie miał wdzięku, tak charakterystycznego dla Roberta. Był lekko niezręczny, trochę sztywny, bardzo zdystansowany. Przypominał jej zdjęcia Pierre'a Cardina z lat siedemdziesiątych. Chyba przez te okulary w grubej oprawce.

„Książę wśród pospólstwa" – pomyślała Beata. „Może zresztą tylko tak mi się wydaje. Potrafię czasami przypisać komuś nieistniejące cechy". Jej serce znów zatrwożyło się wspomnieniem satyrów i dziwnych kotów, ale zaraz odgoniła złe myśli, przejęta obserwowaniem Juliana.

Tymczasem ten przed chwilą zupełnie spokojny człowiek stracił całą pewność siebie i ze spuszczoną głową dolewał śmietankę, wsypywał cukier i w nieskończoność mieszał kawę, nie wiedząc, jak wydusić z siebie pierwsze słowa.

Beata, czując przewagę, wsparła łokcie na stoliku i przyglądała się mu z rozbawieniem.

– No, więc jest tak. – Julian Wilamowski uniósł nagle głowę i z determinacją siedemnastolatka na pierwszej randce powiedział: – Pani Beato, od pewnego czasu jestem bardzo zainteresowany pani osobą, to znaczy zaangażowany emocjonalnie, i gdyby pani się zgodziła, chciałbym, jeśli to możliwe, zaprosić panią do kina, teatru albo do kawiarni. A najchętniej do mojego domu. Oczywiście po to, by poznała pani moją mamę.

Beata poczuła falę gorąca aż po czubek głowy. Było wystarczająco gorąco, by się spocić i bez takich słów. Teraz czuła, jak materiał sukienki przykleja się jej do pleców.

„O rany, pewno jestem bordowa na twarzy. I nos mi się spocił. Muszę fatalnie wyglądać. I w dodatku ciągle się garbię. Dobrze, że Julian jest mojego wzrostu" – pomyślała z ulgą, odruchowo prostując plecy.

– Robert wspomniał mi, że straciła pani niedawno rodziców – kontynuował Wilamowski. – Ja mogę być lada moment w podobnej sytuacji. Bliska mi osoba jest w bardzo złym stanie zdrowia. To stary człowiek. Przyjaciel rodziny. Taki kulturalny, cudowny mężczyzna. On też jest mi bardzo bliski. Oczywiście w inny sposób niż pani. Och, jakże chciałbym, by i pani mogła go poznać. Bardzo proszę przyjąć zaproszenie!

Beata dla uniknięcia natychmiastowej odpowiedzi zaczęła wypytywać o szczegóły związane z chorobą. Rozmowa przeciągała się i obydwoje czuli

napięcie przed ostateczną odpowiedzią Beaty. Od razu zdecydowała, że się zgodzi, ale nie wiedziała, jakich słów powinna użyć i do jakiego stopnia wyrazić zainteresowanie.

Julian Wilamowski ponownie ruszył do kontuaru, żeby zamówić następne kawy.

Tym razem Beata patrzyła na niego zupełnie innym wzrokiem. Odczuwała zadowolenie posiadacza rzeczy wyjątkowej, nadzwyczajnej. Była wybranką losu, spotkało ją zupełnie nieoczekiwane szczęście. Nie żywiła jeszcze żadnych określonych namiętności do tego mężczyzny. Była na razie jego nową właścicielką. Patrzyła na postać stojącą przy barku, na błękitną koszulę, na lekko kręcące się, siwiejące włosy, na opaloną szyję.

Uśmiechnęła się do siebie i pomyślała: „To wszystko jest teraz moje". Poczuła ogromną radość, że żyje.

Tego dnia po pracy Beata marzyła o wypoczynku w azylu swojego mieszkania. Wszystko, czego pragnęła, leżało w granicach jej możliwości. I to właśnie było wspaniałe, że mogła spełnić swoje niewyszukane kaprysy. Odświeżająca kąpiel, słuchanie muzyki i rozmowa z żółwiami na temat wydarzeń tego dnia.

Niepomna groźby potopu odkręcała kolejne krany. Myła naczynia w zlewie kuchennym, prała delikatną bieliznę w umywalce w toalecie, napuściła wody do wanny, by przygotować sobie relaksującą kąpiel z wonnymi solami. Śpiewała przy tym głośno i pokrzykiwała wesoło w stronę żółwi zaintrygowanych dziwnymi dźwiękami, które wydawała.

Biegała po domu na bosaka, chłodząc stopy na parkiecie i kafelkach. Co jakiś czas zatrzymywała się przed lustrem, sprawdzając, czy może jej duży nos i wielki tyłek nie uległy zmniejszeniu pod wpływem niezwykłego spotkania. Niestety, na razie nic się nie zmieniło.

W upalnie lepkim powietrzu nawet po najmniejszym wysiłku ciało pokrywało się strużkami potu. Kontakt z letnią wodą był prawdziwą przyjemnością i przynosił ulgę. Beata planowała jeszcze ze dwa razy wskoczyć do wanny.

Ochłodziła się i przystąpiła do porządkowania księgozbioru złożonego głównie z książek dotyczących starożytnych cywilizacji oraz kolekcji fotografii dokumentujących wykopaliska i zbiory muzealne. Marzeniem Beaty był długi urlop w Egipcie, gdzie mogłaby z bliska obejrzeć miejsca, które od lat ją fascynowały.

Miała też kilka dobrych albumów malarstwa średniowiecznego i wczesnego renesansu.

„Ledwie się wprowadziłam, a zaczyna mi brakować półek" – pomyślała. Nie zaplanowała wystarczająco dużo miejsca na komputer i na swoje zbiory, urządzając

mieszkanie, jakby była dekoratorem pracującym dla obcej osoby. „Dlatego jest tu tak pięknie” – pomyślała. „Znając swoje potrzeby, człowiek zawsze idzie na ustępstwa i nie realizuje do końca początkowego projektu.

A ja urządziłam mieszkanko jak do filmu o kobiecie pięknej, sławnej, zamożnej i obdarzonej artystycznym smakiem. Chociaż żadna z tych cech nie dominuje w mojej osobowości na tyle mocno, bym w pełni identyfikowała się z wystrojem wnętrza. Czuję się tu jak w idealnym domu dla lalek, cudownym prezencie na szóste urodziny. Super, ekstra, pierwsza klasa!”

Skończyła porządkować książki i zabrała się do przeglądu ubrań.

– Rany, nie mam co na siebie włożyć! – zawołała z rozpaczą.

„Zgodziłam się na wizytę u Juliana, a tymczasem wszystkie moje rzeczy wyglądają jak z second handu po pięć złotych za kilogram. Same dżinsy, bluzeczki, koszulki, szorty. Jedyna sukienka po mamie, niestety akurat dzisiaj miałam ją na sobie. Tragedia. A on taki zadbany. Pedant, trochę zbyt sztywny” – pomyślała. „Nie spytałam, ile ma lat. Na pewno koło czterdziestki. Będę wyglądać przy nim jak jakaś przerośnięta harcerka, jeśli nie kupię sobie eleganckiej sukienki. Nie znoszę robić zakupów! Ciekawe, jaka jest ta jego nadzwyczajna mama? Wolny facet w jego wieku musi mieć jakąś ukrytą wadę. Zapewne synuś nadopiekuńczej, zaborczej mamusi, która przegania wszystkie potencjalne partnerki mogące zagrozić jej dominacji”.

Wzięła ostatnią kąpiel i zabrała się do przygotowywania kolacji dla siebie i żółwi. Tak jak one, oprócz mięsa chętnie zajadała zieleninę.

Zadzwonił dzwonek, więc zaciekawiona pobiegła otworzyć. Na progu stała sąsiadka z dołu, jak zwykle z charakterystycznym nieobecnym uśmieszkiem na twarzy. Kręciła w palcach długie włosy związane w koński ogon.

– *Porca miseria*[1] – jęknęła – woda leci! Nie wiem skąd, ale właśnie wróciłam do domu i w kuchni przy oknie jest kałuża. Trochę też leci po ścianie w łazience. Ale tylko troszeczkę, *poco un poco*[2]. Mnie to w ogóle nie przeszkadza. Zabawne, wypływa nie wiadomo skąd. Takie sobie czary-mary, ale ja z tym nie mam nic wspólnego. I nie wiem, jak na to zaradzić w prosty sposób. Może czymś zalepić? Plastrem?

Beata złapała się za głowę.

– Teraz znowu w kuchni!

Trzasnęły drzwi na dole i na schodach pojawił się Maksymalnie Sprany Dżins. Po chwili stał przed nią, rzucając wokół nienawistne spojrzenia. Choć zaróżowiony z wściekłości, nadal był atrakcyjny na swój wyblakły sposób.

– Niech pani powie temu hydraulikowi, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu – warknął. – *Mensch!*[3] Pani ze swoją dziurawą łazienką, kuchnią, kiblem i całą resztą działa mi już *genau*[4] na nerwy.

– Cóż – powiedziała Beata zniechęconym tonem – skoro nawet pieniądze nie

pomogły, zapewne jedynym rozwiązaniem musi być miłość.

– Miłość? – spytał zdumiony sąsiad.

– Gdyby pan hydraulik zakochał się we mnie bez pamięci, zapewne z miłości porządnie zreperowałby wszystkie rury, syfony i krany – wyjaśniła Beata z drwiącym uśmiechem.

Sąsiad sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Czyli on musiałby się zakochać, żeby pani przestała mnie zalewać? – zapytał zupełnie poważnie.

– Oczywiście – powiedziała równie poważnie Beata, myśląc jednocześnie, że ten diabelnie atrakcyjny facet jest kompletnie pozbawiony poczucia humoru.

– W takim razie dobrze. Niech mi pani da znać, kiedy będzie miał przyjść. Sprawimy, że się zakocha – powiedział, marszcząc czoło i kiwając głową. Po czym jak zwykle ostro ruszył do drzwi i wybiegł na klatkę schodową bez słowa pożegnania.

Żona uśmiechnęła się do Beaty, wzruszyła ramionami i podążyła za mężem.

[1] *Porca miseria* (wł.) – przekleństwo.

[2] *Poco un poco* (wł.) – troszeczkę.

[3] *Mensch!* (niem.) – przekleństwo.

[4] *Genau* (niem.) – całkiem.

7. Wizyta

Willa Tyberiusza Janowskiego, sądząc po jej architekturze, została zbudowana w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Tak jak inne domy wzdłuż ulicy Domaniewskiego, miała dwie kondygnacje i wysoki dach kryty czerwoną dachówką. Od czasów wojny parcele nie uległy żadnym podziałom i ogrody od frontu prezentowały się równie okazale, jak te za domem. Od strony ulicy do willi prowadziła szeroka ścieżka wspinająca się tarasowo w górę, ponieważ budynek stał na lekkim wzniesieniu. Schodki i ścieżkę z granitowych płyt porastały trawa i mech, ostatnio troszkę przesuszony z powodu długotrwałych upałów.

Dom zachował pierwotne piękne proporcje. Wielkie okna w pokojach frontowych wychodziły na ulicę. Od strony ogrodu z salonu na taras wiodły dwuskrzydłowe przeszklone drzwi, otwarte teraz na oścież. Tu właśnie ustawiono stół przygotowany do kolacji.

Beata i Julian okrążyli dom, wspięli się po ogrodowych schodkach i dotarli na taras, gdzie czekała na nich matka Juliana i siedzący na wózku inwalidzkim pan Tyberiusz Janowski.

Julian przedstawił Beatę jako koleżankę z pracy, ale Beata dostrzegła porozumiewawcze spojrzenie, jakie matka rzuciła starszemu panu.

Wzruszyła lekko ramionami, myśląc, że co ją to w końcu obchodzi. Sprawa z Julianem była zupełnie nieoczekiwana i prawdę mówiąc, jeszcze niezbyt wiarygodna, pomimo jego gorących zapewnień. Przyjemnie jest usłyszeć, że komuś bardzo na tobie zależy, szczególnie jeśli jesteś zupełnie sama na świecie i nikomu niepotrzebna. I w dodatku potrzebujesz wsparcia i pocieszenia.

– Och – powiedział pan Tyberiusz – jest pani prawie tak wysoka jak moja świętej pamięci żona. Byliśmy razem przez dziesięć lat. Cudowne czasy. Młodość!

– Doprawdy? – zawołała podekscytowanym tonem matka Juliana. – Cóż za zbieg okoliczności!

Beata lekko się zarumieniła. Chyba sprawy posunęły się za daleko. Nie chciała mieć kłopotów z czyjąś nadopiekuńczą matką.

– Zaraz podaję obiad! – zawołała kobieta. – Panie Tyberiuszu, zanim zaczniemy jeść, może obaj z Julianem pokażecie pani Beacie jakieś ciekawe eksponaty. Choćby tylko te w salonie. Jest tu mnóstwo pięknych rzeczy!

Julian przesunął fotel starszego pana do wnętrza mieszkania. Rzeczywiście, pokój był wypełniony muzealnymi eksponatami, których widok zaparł Beacie dech w piersi.

– O Boże! – zawołała, biorąc do ręki niewielki posążek ustawiony wraz z innymi na postumencie przy oknie. – To pozłacane czy wierna kopia?

– Kopia? To wszystko jest szczere złoto! – zawołała ze zgorszeniem matka Juliana, szybkim krokiem zmierzając w kierunku kuchni.

Beata spojrzała z domyślnym uśmiechem na pana Tyberiusza. Odpowiedział jej porozumiewawczym uśmiechem.

– Pozłacane – szepnął konspiracyjnie i mrugnął.

– Godzinami mogę oglądać zdjęcia oryginału. Muzeum nie eksponuje go zbyt często. Nawet zdjęcie trudno było zdobyć – powiedziała, wzdychając. – Ale pan, widzę, ma zupełnie niezwykłe hobby. Czy to tylko kopie obiektów starożytnych, czy zbiera pan po prostu perfekcyjne kopie?

– Zbieram kopie – odpowiedział, nie wiedzieć czemu nagle bardzo uradowany, pan Tyberiusz.

Julian z roztargnieniem przyglądał się posążkowi.

– Więc to jest kopia? – spytał niepewnie. – Od razu poznałem, ale wolałem nie mówić. Myślałem, że pan poczułby się rozczarowany, bo zawsze rozmawialiśmy tak, jakby to była cenna rzecz.

– Ależ jest! – zawołała zniecierpliwiona Beata.

– Podaję! Siadajmy do stołu – przerwała niezręczną sytuację mama Juliana, wnosząc na taras wazę z zupą.

Rozmowa przy obiedzie przebiegała bardzo miło. Beata z panem Tyberiuszem przez dwie godziny z małymi przerwami zagłębiali się w fachowe dyskusje na temat eksponatów z jego kolekcji, maestrii ich wykonania, warsztatu twórców i cenionych nazwisk. Choć rozmawiali bardzo konkretnie i otwarcie, dla pozostałej dwójki nie stało się jasne, że kolekcja pana Tyberiusza to zbiór falsyfikatów najwyższej jakości.

Jak każde hobby, zbieractwo może mieć charakter amatorski i przypadkowy. Może też stać się sztuką wysublimowaną, ocierającą się o profesjonalizm bez względu na to, czy dotyczy guzików o dwóch dziurkach, czy kopii dzieł sztuki.

Kopiowanie odbywa się na wiele sposobów, a dzieła mistrzów falsyfikacji zaczynają żyć własnym życiem, zyskując rangę dzieł sztuki falsyfikacji. Czasami nawet osiągają cenę wyższą od oryginału. Jak w przypadku starożytnych przedmiotów codziennego użytku, których oryginalną, acz pospolitą formę zastąpiono wersją współczesną, odtworzoną w o wiele kosztowniejszym materiale.

Falsyfikaty nie cieszą się estymą pospólstwa, jednak Beatę fascynował ten temat i spędziła wiele godzin nad fachową literaturą. Opiekując się rodzicami, niemal nie wychodziła z domu, a to sprzyjało pogłębionym studiom, które przenosiły ją do innego świata. No i jeszcze ten miły dreszczyk emocji, bo przecież najwybitniejsi fałszerze często wykorzystywali swe zdolności w sposób niezupełnie zgodny z prawem. Jakże jej brakowało odrobiny ryzyka w nudnym, bezbarwnym życiu!

Pan Tyberiusz był niezwykle zaskoczony, że spotkał osobę, z którą mógł swobodnie rozmawiać na temat swojego hobby. Jego niezbyt przyjazny dla otoczenia, prawdę mówiąc, wyjątkowo wredny sposób bycia i szacowny wiek

sprawiły, że już od dawna nie miał przyjaciół. W przypadku maniakalnego hobbysty przyjemność rozmowy na temat swojej pasji można porównać jedynie do miłosnej namiętności.

Tymczasem Julian i matka również prowadzili rozmowę, podczas której wymieniali między sobą zachwycone spojrzenia. Zupełnie przypadkowy wybór Beaty nagle okazał się spełnieniem ich największych marzeń.

Wizyta trwała do późnego wieczora. Szczęśliwie w tym roku nie było komarów i mogli spokojnie siedzieć w świetle ogrodowej latarni, podziwiając rozgwieżdżone niebo i słuchając cykania świerszczy ukrytych pośród krzaków.

Około jedenastej pan Tyberiusz poczuł znużenie, więc się pożegnali. Ponieważ przyjechali samochodem Juliana, Julian odwiózł Beatę do domu. Jednak sam z siebie nie wyraził chęci obejrzenia jej mieszkania, a Beata nie zaprosiła go, nie chcąc prowokować niezręcznych sytuacji.

Kładła się spać radośnie uśmiechnięta. Nareszcie wszystko zaczynało się układać. Strachy i halucynacje znikały wypierane przez oczekiwanie tego, co w jej życiu miało się dopiero pojawić. Wielka nadzieja na przyszłość.

Nazajutrz w pracy Robert pogratulował Beacie występu przed Tyberiuszem i matką Juliana. Słyszał, że bardzo się spodobała.

– Myszko – powiedział z uznaniem – ty się podobno znasz na starożytnych dziełach sztuki?!

Uśmiechnęła się i powstrzymała od komentarza. Robert, niestety, był trochę prostakiem. Wiedziała o tym od dawna. Potrafił dobrze się sprzedać i zrobić wrażenie na ludziach, dlatego postrzegano go jako człowieka z klasą. Cóż, kiedy w głowie miał pusto.

Beata oczywiście nawet nie przypuszczała, że reszta kolegów z pokoju z niepokojem obserwuje postępy jej romansu z Julianem.

Byli wściekli na samowolne działanie Roberta. Jego pozycja w „akcji spadkowej" niebezpiecznie wzrosła, ponieważ stał się teraz opiekunem i sternikiem „narzeczonej". Nie zamierzali wprowadzać Beaty w tajniki gry. Należało ją wykorzystać i wykluczyć. Zresztą wszystko wskazywało na rychłe przeniesienie Beaty do archiwum, jako niepełnowartościowej pracownicy zesłanej tam za karę. Za grzechy, których popełnienia jeszcze nie była świadoma.

Zrobiła sobie półgodzinną przerwę i zeszła do barku porozmawiać z Julianem.

Ich spotkania na terenie urzędu były rzadkie i dyskretne. I tak bardzo szybko zostali namierzeni przez żądną sensacji społeczność urzędu. Osoba Juliana od dawna budziła zainteresowanie. Szeptano, że tak naprawdę unika związków nie tyle z obawy przed kolejnym rozczarowaniem miłosnym, ile z powodu niechęci do kobiet w ogóle. Jednak nikt nie miał niezbitych dowodów na potwierdzenie tej

tezy.

Julian całe życie udawał przed matką, że żadna kobieta nie może się z nią równać. Jego nieudane małżeństwo definitywnie ugruntowało ten pogląd. Cóż, trudno znaleźć kobietę, która dałaby mu tyle dobra, ile otrzymywał w domu rodzinnym. Bardzo pochlebna i kusząca wymówka dla większości matek, a także powód, by pozbyć się resztek wątpliwości. Dlatego też manipulacje z fałszywą narzeczoną, organizowane na pokaz dla pana Tyberiusza, nie wzbudzały niepokoju matki. Nie współczuła też Beacie, chociaż dobrze wiedziała, jak skończy się ten oparty na oszustwie związek.

Podobną taktykę Julian stosował w pracy. Dawał do zrozumienia, że jego osobiste doświadczenia z kobietami były złe. I to nie z ich winy, po prostu klątwa przeznaczenia. Cóż, stracił nadzieję na poprawę tego stanu rzeczy. Nie przejawiał również specjalnego zainteresowania mężczyznami. Wypracował specyficzny, trochę nieporadny, lecz zarazem godny dżentelmena sposób traktowania obydwu płci. Takim zachowaniem maskował prawdziwe emocje, sprawiając jednocześnie, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni czuli się mile zaszczyceni jego uwagą.

W rzeczywistości był po prostu trochę oziębły emocjonalnie. Wszystkie krótkotrwałe romanse nawiązywał za granicą. Jeździł na nartach w Alpach, nurkował w Egipcie, w golfa grał w Szwecji. Korespondował, telefonował, chodził na tenis, na pływalnię i na lodowisko. Takie życie w pełni go satysfakcjonowało.

Dominik, brat Bartka, znał przypadkiem Hansa, młodego Niemca, z którym Julian korespondował już od kilku lat. Przypadkiem też uczestniczył w rozmowie Bartka o marnym losie Tyberiusza i jego majątku. Zestawienie tych dwóch informacji, pochodzących z dwóch różnych źródeł, nie mogło pozostać bez echa.

Dla współpracowników Beaty grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Dlaczego nie mieliby uszczknąć trochę z ogromnego spadku, mającego trafić w czyjeś sprytne, lepkie paluchy?

I chociaż w miarę upływu czasu intryga komplikowała się i wymagała coraz więcej zachodu, spiskowcy nie tracili entuzjazmu i wiary w siłę własnej przebiegłości.

Niezwykle urodziwy Dominik, wspierany przez zespół domorosłych psychologów, uwodził Juliana wszystkimi znanymi sobie sposobami, aż w końcu osiągnął zamierzony cel.

Julian, poddając się urokowi młodości i niefrasobliwego szaleństwa, podczas pewnego weekendowego wypadu dał się namówić na zawarcie małżeństwa w zborze Braci Tebańskich w Kopenhadze.

Ta, traktowana jako zabawa, ceremonia ślubna, niepociągająca za sobą żadnych skutków prawnych, odmieniła Juliana. Nagle zaczął marzyć o wspólnej przyszłości z Dominikiem. Najpierw nieśmiało, ale z czasem marzenia przybierały coraz konkretniejszą postać.

W tych rojeniach dom Tyberiusza stawał się ich wspólnym domem. Jego pierwszym własnym miejscem na ziemi, z dala od wpływów matki. Nie był tylko do końca pewien, czy zdoła pogodzić własne nadzieje z jej ambitnymi zamierzeniami.

I na tym, idealnym wręcz, pretekście opierała się druga część planu. Dominik z miejsca postawił twardy warunek, że nie pozwoli zaborczej mamusi zniszczyć ich uczucia i nie da się wyrzucić na ulicę z ich wspólnego domu. Wprowadzi się do Juliana tylko po sporządzeniu aktu notarialnego, na mocy którego zostanie współwłaścicielem willi.

Julian zgodził się uszczęśliwiony. Projekt umowy sporządzony został zawczasu przez zaprzyjaźnionego prawnika, który miał już przykre doświadczenia z własnym przyjacielem. Dlatego w treści aktu zgrabnie przemycił delikatne zastrzeżenia na okoliczność separacji, niewierności i takich tam drobiazgów dopisywanych zwykle gdzieś na końcu po łacinie i małymi literkami.

Zachowanie Juliana i Beaty wzbudziło wśród pracowników urzędu lekką sensację, ale stawiano raczej na interesy i sprawy zawodowe niż na uczucia.

Dzisiaj Beata w rewanżu za wczorajszą wizytę chciała zaproponować Julianowi spotkanie u niej. Nawet wymyśliła już wytworne, choć łatwe do przyrządzenia menu. Jednak Julian nie wykazywał zainteresowania tym pomysłem.

– Może kiedy indziej – wymigiwał się niezręcznie.

Beata poczuła przez moment obawę, że on po prostu boi się pozostać z nią sam na sam.

– Dobrze, może na przykład w przyszłym tygodniu. – Poddała się.

W drodze do domu analizowała powody jego niechęci.

„Pewnie jestem przewrażliwiona” – uspokajała samą siebie. „Może jest domatorem i nie lubi bywać w cudzych domach. A może uważa, że najpierw powinny być jakieś oficjalne zaręczyny. Taka wizyta mogłaby sugerować, że chodzi o sprawy łóżkowe. Właściwie powinniśmy chyba zrobić coś w tym kierunku. Ale najpierw trzeba lepiej się poznać” – pomyślała trochę spłoszona. „Ciekawe, jaki będzie nasz pierwszy raz?” Czytała gdzieś, że na początku nie należy sobie zbyt wiele obiecywać, kiedy dwoje dojrzałych ludzi próbuje intymnych kontaktów po latach abstynencji. „Musimy o tym porozmawiać” – zadecydowała, wchodząc z rozgrzanej upałem klatki schodowej do swojego znacznie chłodniejszego mieszkania.

Ledwie zdążyła schować zakupy do lodówki, zabrzęczał dzwonek przy drzwiach.

Na klatce schodowej stała Selena. Stała na jednej nodze, drugą czubkiem buta drapała się po kostce. Jak zwykle pogodna i lekko nieobecna duchem.

– Nie mam klucza do domu – powiedziała. – Nie chce mi się nigdzie łazić. Chętnie napiję się kawy.

– Proszę wejść. – Beata była zaskoczona jej bezpośrednim i bezceremonialnym stylem bycia.

Selena wśliznęła się do środka jak pies, zachwycony, że może wbiec do cudzego mieszkania i spenetrować miski z jedzeniem, korzystając z chwilowej nieobecności domowych pupili.

Szybko usadowiła się na krzesełku kuchennym, dając do zrozumienia, że jej się tutaj podoba i nie da się przegonić, zanim nie dostanie filiżanki kawy i jakiegoś dobrego ciasteczka.

– Miły dom – powiedziała. Założyła nogę na nogę i kiwała stopą obutą w pantofelek na wysokim obcasie.

Nagle Beata doznała uczucia *déjà vu*, jakby przeżyła już kiedyś emocje towarzyszące pojawieniu się Seleny, ale nie mogła umiejscowić tego faktu w czasie.

– Sama tu mieszkasz? Gdzie mieszka twój mąż? – spytała Selena, bezceremonialnie przechodząc na „ty".

– Nie jestem mężatką. I nie wiem, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż. Moja mama na starość miała z ojcem same kłopoty. Mężczyźni z wiekiem stają się bardzo marudni i uciążliwi. Warto teraz korzystać z życia, a na starość zająć się sobą – powiedziała Beata wyzywająco, z góry zabezpieczając się przed pełnymi wyższości radami szczęśliwej młodej mężatki.

– Moim zdaniem na starość najlepiej zająć się prostytucją – powiedziała z namysłem Selena, przyglądając się krzątaninie Beaty nalewającej kawę i rozpakowującej ciastka. – Biorąc pod uwagę możliwości i potrzeby obydwu stron – podkreśliła, dając do zrozumienia, że ta ocena sytuacji nie jest kaprysem chwili.

– Ależ masz pomysły. – Beata wybuchnęła śmiechem.

– Proszę, spróbuj zbić moje argumenty – kontynuowała bardzo poważnie Selena, zajadając ze smakiem belgijskie herbatniki. – Po pierwsze, ma się mnóstwo wolnego czasu. Po drugie, starość to często samotność, zatem wskazane jest nawiązywanie kontaktu z ludźmi. Po trzecie, wreszcie można sobie pozwolić na lekko pobłażliwy i pełen cierpliwości stosunek do młodych. Po czwarte, w tym wieku nie można już zepsuć sobie reputacji. No i po piąte, z oczywistych względów praktycznych, bo nie zachodzi się w ciążę.

– Ale jaki facet będzie miał ochotę na panienkę w wieku emerytalnym? – wykrzyknęła Beata, dając się wciągnąć w absurdalną dyskusję, chociaż argumentom Seleny nie można było odmówić zasadności.

– Trzeba to przewidzieć i przygotować grunt wcześniej – powiedziała Selena, a widząc całkowity brak zrozumienia w oczach Beaty, wyjaśniła dziwnym tonem, przywodzącym na myśl wykład akademicki: – Ach, *gente*[1], nie potraficie właściwie rozporządzać swoim życiem. Społeczeństwo dobrowolnie skazuje się na nudną i samotną starość. A macie takie niesamowite możliwości wynikające

z konstrukcji psychofizycznej! Przecież nie ma innych norm poza tymi, które sami wymyślicie na własne utrapienie.

– Kto, my? – spytała Beata.

– Ludzie z tej planety! – zniecierpliwiła się Selena, wykonując zamaszysty ruch filiżanką z kawą.

– A ty to nie ludzie z tej planety?

– W zasadzie masz rację, teraz też ludzie – prychnęła Selena.

Nagle dostała ataku śmiechu, tak gwałtownego, że niemal skręciła się w konwulsjach.

Beata, zarażona jej wesołością, też zaczęła się śmiać.

Po chwili Selena spojrzała na zlewozmywak i pogroziła mu pięścią.

– Znowu przecieka? Jak tam hydraulik, przychodzi? Reperuje, łobuz? Mój mąż go nienawidzi. Gunter *odia il idraulico mascalzone*[2]!

– Jesteś Włoszką? – zainteresowała się Beata.

– Trochę tak, a trochę nie – odpowiedziała Selena, podchodząc do okna i spoglądając w dół. – O, Gunter nadchodzi, mogę już wrócić do domu.

Odwróciła się gwałtownie i nagle potknęła się o coś. Beata ze zdumieniem zobaczyła, jak przesuwa dłonią po niewidzialnym kształcie, a potem wymierza czubkiem pantofla kopniaka w powietrze. Usłyszała pisk protestu czy bólu, a potem chichot Seleny zakończony włoskim, pełnym złośliwej satysfakcji wykrzyknikiem:

– *Piccolo gatto vagabondo*[3]! Miło tu u ciebie – dodała po chwili, już zupełnie spokojnie. – Tak swojsko. Chyba jeszcze wpadnę pogadać. Dobre ciasteczka, wezmę jedno dla Guntera. On takie lubi. – Powoli ruszyła do wyjścia.

Beata zamknęła za nią drzwi i wróciła do kuchni. Zaniepokojona podeszła do miejsca, gdzie Selena trafiła na niewidzialną przeszkodę, i zaczęła przesuwać dłonią w powietrzu, pełna obaw, że natrafi na coś przerażającego i… kosmatego.

Powoli zataczała ręką coraz odważniej, coraz większe kręgi.

W kuchni poza nią nie było nikogo ani niczego. Czy rzeczywiście była tu przedtem jakaś niewidzialna istota?

[1] *Gente* (wł.) – ludzie.

[2] Gunter *odia il idraulico mascalzone* (wł.) – Gunter nienawidzi łajdaka hydraulika.

[3] *Piccolo gatto vagabondo* (wł.) – mały kot włóczykij.

8. Kłopoty

Beata niecierpliwie czekała na okazję spotkania z Julianem. Zbiegła do barku i usiadła przy stoliku. Po pięciu minutach w drzwiach pojawił się Julian, jak zwykle spokojny i opanowany, obdarzający mijanych współpracowników uprzejmym uśmiechem.

Od razu przekazała mu nowinę, która wywarła na niej takie wielkie wrażenie.

– Pan Tyberiusz zadzwonił wczoraj i zaprosił mnie do siebie na dzisiejszy wieczór.

Julian udawał, że wiadomość sprawiła mu umiarkowaną przyjemność. Tymczasem w środku szalał z radości.

Zdążył opowiedzieć Tyberiuszowi, jaką wspaniałą dziewczyną jest Beata. Historia ze Stellą natchnęła go, jak przyśpieszyć, scementować i przypieczętować ich związek. Powiedział Tyberiuszowi, że Beata spodziewa się dziecka. Dowiedział się o tym niedawno, dlatego, chociaż nie we wszystkim się zgadzali i wahał się, czy związać się z nią na stałe – stąd te różne przypadkowe koleżanki, które przyprowadzał do domu – dziecko przesądziło sprawę. Tak więc można go traktować prawie jak mężczyznę żonatego, a Beatę jako jego żonę, a przede wszystkim matkę jego dziecka.

Jednak, ze względu na ogromną wrażliwość Beaty w tej sprawie, poprosił Tyberiusza o najdalej posuniętą dyskrecję. Nie należy poruszać tego tematu z Beatą, a już broń Boże nie wolno zdradzić, że Julian z nim o tym rozmawiał.

Pan Tyberiusz był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Jego skłonność do kłótni i trudny charakter uniemożliwiły przekazanie kolekcji jakiejś instytucji, bo żadna nie wydawała mu się godna tego zaszczytu. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że być może przyjdzie mu prosić przypadkowe osoby, by nie dopuściły do rozdrobnienia czy rozkradzenia kolekcji. Beata, jako przyszła współwłaścicielka jego skarbów, była nieoczekiwanym uśmiechem losu. Nie tylko zadba należycie o jego zbiory, ale zamiast wyprzedawać, jak spodziewał się tego po matce Juliana, powiększy je i wzbogaci o nowe eksponaty. Sporządził już listę przedmiotów, o które pragnął uzupełnić kolekcję, by stała się kompletna.

Sam nie dokończy tego dzieła, ponieważ jego lata, a może miesiące są już policzone. Rozmowa z Beatą pomoże ukierunkować ją na właściwe tory przyszłego działania. Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

Spotkanie w barku upłynęło w bardzo miłym nastroju.

Zanim Beata zdążyła wejść po schodach i wrócić do pokoju, Julian wyszedł na dziedziniec przed urzędem i półgłosem przez telefon komórkowy poinformował Roberta o rozwoju sytuacji. Intryga z ciążą Beaty rozbawiła Roberta.

– Łobuzie – zawołał – nareszcie się zdecydowałeś! Nie takie kobiety straszne, jak je malują!

– Ależ, Robert, to tylko kłamstwo. Mnie z Beatą nic nie łączy, uwierz!

– Więc może ja jestem ojcem?

– Nie ma żadnego dziecka, zrozum, wymyśliłem to dla Tyberiusza – zirytował się Julian. Był z natury poważny i niewinne żarciki odbijały się od jego statecznego umysłu jak groch od ściany. – Proszę cię tylko o jedno. Nie pozwalaj sobie na podobne żarty w obecności Beaty. Nie powinna wiedzieć, że zgodnie z wolą Tyberiusza zamierzam ją poślubić. Lada moment będę mógł się wycofać z tego kłopotliwego dla mnie związku, więc niech sobie kobiecina nie robi płonnych nadziei.

– Och, ty okrutniku jeden – zaśmiał się beztrosko Robert i odłożył słuchawkę.

Zadowolenie Beaty ze spodziewanej wizyty u Tyberiusza znikło w jednej chwili, gdy wchodząc na podest schodowy, wpadła prosto na naczelnika. Czarne, zlepione wilgocią włosy sterczały mu na czubku głowy jak u rozczochranego jeża. Spalone słońcem policzki i nos kontrastowały z chabrowym, przepoconym i wymiętym letnim garniturem.

– Nasza wydziałowa nieudacznica – powiedział, obrzucając ją niechętnym spojrzeniem. – I cóż dzisiaj spartaczyliśmy? – Skrzywił się, jakby zwietrzył jakiś nieprzyjemny zapach.

Beata poczuła falę gorąca i rumieniec wpełzający na policzki. Zdziwiona napaścią, nawet nie potrafiła wykrztusić słowa.

– I to ma być pracownik. Inspektor! – mruknął niby do siebie. Wyminął ją i kolebiąc się na boki, zaczął wspinać się po schodach.

Przez resztę dnia w pracy Beata była przygnębiona. Straciła ochotę na rozmowę z kimkolwiek. Miała przeczucie, że zwierzenia i szukanie wsparcia nie przyniosą spodziewanej ulgi, a wręcz przeciwnie, poczuje się jeszcze bardziej zaszczuta. Nawet nie próbowała wyjaśniać swojego położenia Julianowi. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle prostolinijnego, który nie uwierzy w dwulicowe zachowania i dręczenie bez powodu. Na pewno pomyśli, że rzeczywiście źle pracowała i zasłużyła na takie traktowanie.

Nie rozumiała, dlaczego nagle wszyscy odwrócili się od niej, a naczelnik i inni szefowie wykazywali taką agresję. Nigdy przedtem nie budziła w nikim niechęci ani wrogości. Nie wiedziała, jaką postawę powinna przyjąć. Walczyć, tłumaczyć się? Nikt nie chciał z nią rozmawiać. Jakby wszyscy wiedzieli, że jest nieuleczalnie chora na jakąś zakaźną chorobę. Znoszą jej niebezpieczną obecność ze skrajnym zniecierpliwieniem, wybuchając co jakiś czas irytacją, że zamiast taktownie odejść, nadal unieszczęśliwia ich swą obecnością.

Była pewna, że jej problemy psychiczne dotyczą wyłącznie sfery prywatnej

i nie rzutują na pracę. Stwierdziła to jednoznacznie, szczegółowo analizując przez kilka godzin wszystkie swoje zachowania. Była to zapewne gwałtowna reakcja na lata poświęceń i emigracji wewnętrznej, na jaką sama dobrowolnie się skazała, pielęgnując rodziców. Rozmawiała nawet z psychiatrą. Dopuścił taką diagnozę, choć zapisał jej całą baterię leków, głównie otępiających. Nie zamierzała ich brać, jeśli w przerwach pomiędzy nawrotami halucynacji będzie miała dobre samopoczucie. W przypływach dobrego nastroju śmiało, bez żadnych zahamowań odgrażała się satyrom, bajaderom i niewidzialnym dziwolągom. Uznała, że wyskakują z jej głowy w momentach, gdy zapomina o dawnym życiu z rodzicami. I będą to robić tak długo, dopóki nie zapanuje symetria między okresem jej życia jako osobowości skrępowanej i jako osobowości niezależnej. Za odzyskaną wolność będzie musiała zapłacić, ponieważ zbyt łatwo i zbyt gruntownie wyzbyła się niegdyś swojego ja.

Prawdę mówiąc, jedynie takie wytłumaczenie pozwalało jej normalnie funkcjonować, bez dławiącego przerażenia, że za chwilę już na zawsze zamkną się za nią wrota szpitala psychiatrycznego.

W dużej mierze zaczęła tak właśnie postrzegać sytuację dzięki Julianowi. Kiedy poczuła się dowartościowana jego zainteresowaniem i deklarowanym zachwytem, uwierzyła, że zasługuje na miłość. Postanowiła wziąć się w garść i zaczęła wszelkimi metodami walczyć z własną słabością.

Nieprzyjemna sytuacja w pracy podkopywała jej świeżo odzyskaną radość życia.

Z ulgą wracała do domowego azylu. Jak zwykle od parkingu szła wolnym krokiem przez alejki pośród drzew. Przysiadła na chwilę na ławce, obserwując dzieciaki bawiące się w piaskownicy i grupkę młodych ludzi w kostiumach kąpielowych biegających po trawniku i między krzakami.

Wszystkim doskwierał upał, ale dzieciaki i nastolatki korzystały z okazji, by z krzykiem i śmiechem ochlapywać się wzajemnie wodą. Przynosiły ją w butelkach i kubeczkach z osiedlowego hydrantu.

W cieniu dawało się nawet wytrzymać. Po południu lekki wiaterek zaczął poruszać delikatnie liśćmi drzew. Beata, od czasu kiedy zracjonalizowała swoje przywidzenia, znów czuła się tu jak u siebie. Otoczenie – domy, drzewa i trawniki – było przyjazne dla mieszkańców, którzy, zadowoleni z siebie i z urody tego lata, maszerowali obładowani zakupami, szwendali się z psami po krzakach albo statecznym, spacerowym krokiem przemierzali asfaltowe alejki.

Beata, wchodząc na klatkę schodową, wyciągnęła pocztę ze skrzynki. Odruchowo rozerwała kopertę z korespondencją z banku. Spodziewała się kolejnego wyciągu, tymczasem w środku było pismo zaczynające się od słów „Szanowna Pani Beata Smugowska”. A dalej lista sankcji za to, że zawiesiła samowolnie spłatę kredytu.

Zirytowała się. To jasne, że bank się pomylił. Większą część miesięcznej raty kredytu spłacał Robert w ramach zwrotu długu, który zaciągnął u niej parę miesięcy temu na piękne, ale piekielnie drogie autko. Robert nigdy nie kupował byle czego. Wolałby umrzeć, niż kupić samochód, jakim przeciętny zjadacz chleba wozi żonę i dzieci.

Szybko poupychała zakupy w lodówce, chwyciła za telefon i zadzwoniła do Roberta.

– Wyobraź sobie, ci idioci z banku przysłali mi pismo ponaglające do uzupełnienia kredytu. Tego, który ty spłacasz. Zdrowia mi do nich brakuje!

– Niestety mają rację – odezwał się skruszonym głosem Robert.

– To znaczy co?

– Rzeczywiście ostatnio nie spłacam.

– Od kiedy?

– Trzy miesiące?

– Mnie pytasz?

– *Sorry*, Beata, jestem spłukany. Zrozum. Dlatego ci załatwiłem tego fagasa, Juliana. Wiesz, inaczej nie kiwnąłbym palcem w sprawie, ale pomyślałem: nie mam kasy, więc jak dojdzie do groźby komornika, to on przecież narzeczonej pożyczy. W końcu nie takie znowu wielkie pieniądze. Na pewno ma w banku jakąś kapuchę na lokatach. Wygląda na dusigrosza. No, sama powiedz. Przecież nie będzie świnią. Jak chcesz, sam z nim porozmawiam. Nie złość się, dziewczyno. Wszystko da się załatwić.

Beata aż usiadła z wrażenia. Bezczelność Roberta zszokowała ją nie pierwszy raz, jednak do tej pory tylko opowiadał o swoich wyczynach. Teraz to ją wykorzystał bez skrupułów, w dodatku wmieszał w tę sprawę Juliana. Jej Juliana. Spokojnego, uczciwego, staromodnego dżentelmena.

– Lepiej porozmawiamy jutro w pracy – powiedział i odłożył słuchawkę.

Co tu zrobić? Skąd wziąć pieniądze? Co jej grozi, jeżeli nie ureguluje należności w terminie? Życie znów stało się zbyt trudne.

Odruchowo skierowała się w stronę akwarium. Zawsze opowiadała żółwiom o swoich problemach. Tym razem w akwarium także rozgrywała się tragedia. Roland prawie się nie ruszał. Była z nim u weterynarza. Raczej nie dawał szans na poprawę.

Dostała Rolanda od ojca w dzieciństwie. Razem poznawali zwyczaje żółwi, budowali wyspy i kryjówki. Roland reagował na imię. Miał zabawny charakter. Kiedy dokupili Bernarda i Heloizę, objął przywództwo w grupie. Przynajmniej tak to wyglądało. Po śmierci ojca długo tłumaczyła Rolandowi, co się stało i czym jest śmierć. Razem z żółwiem obchodziła też imieniny taty, kiedy mama umarła.

Teraz przyszła kolej na niego. Nie miała więcej bliskich istot. Istot, którym na niej zależało. Chyba że Julian.

Może Roland po śmierci wcieli się w Juliana. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Poszła do łazienki opłukać twarz. Nałożyła nowy makijaż. Chciała podobać się panu Tyberiuszowi. Zaprosił ją, a to chyba wyróżnienie.

Pan Tyberiusz reprezentował klasę. Przeczuwała, że na co dzień nie był sympatyczny i przebywanie w jego towarzystwie musiało być uciążliwe. Jej ojciec też potrafił być wredny. Ale pan Tyberiusz miał w sobie jakąś królewską wyniosłość, sprawiającą, że przy sporadycznym kontakcie człowiek miał wrażenie, że obcuje z kimś wybitnym. To odczucie, niepoparte żadnym dowodem, mogło z czasem rodzić irytację, jednak na razie było ciekawym doświadczeniem, wartościowym samym w sobie.

Planowała włożyć sukienkę, którą miała podczas pierwszej wizyty, jednak ostatecznie zdecydowała się na białą spódnicę, żółtą bluzkę i białe sandały. Włosy ujarzmiła spinkami. Wyglądała dziewczęco. Od czasu spotkań z Julianem zrzuciła kilka kilogramów i „wielki tyłek" nie był już tak beczkowaty i niezgrabny. Nabrał kształtów, stając się „sporym tyłkiem". Ale dopuszczalnie sporym.

Pan Tyberiusz rzeczywiście niecierpliwie oczekiwał jej przybycia. Kiedy zaparkowała przed domem i wysiadła z samochodu, zobaczyła, że wyjechał wózkiem na omszały podjazd i zaczął machać rękami, co zapewne miało znamionować radość z jej przybycia. Wzruszyła się.

„Dziwne – pomyślała – jeszcze niedawno w ogóle nie miałam pojęcia o istnieniu tych wszystkich ludzi. A dzisiaj są mi tak bliscy. I wydaje się, że już na zawsze pozostaną w moim życiu".

– Zapraszam na kawę – powiedział pan Tyberiusz, uruchamiając elektryczny silniczek wózka.

Na dworze było jeszcze jasno. Upał zelżał, jak zwykle wieczorem, więc zasiedli na tarasie.

– Pani Kaliny nie ma – powiedział z uśmiechem. – Dałem jej wolne od siebie na cały dzisiejszy wieczór. Nie miała nic przeciwko temu, bym spędził go z panią. Tak naprawdę nie jestem zupełnie unieruchomiony. Przy odrobinie wysiłku potrafię nawet samodzielnie przejść parę kroków.

Gadatliwość Tyberiusza była spowodowana wizytą Beaty. Rzadko teraz spotykał nowych ludzi. Napastliwy w dyskusji, zrażał do siebie wszystkich, z którymi miał okazję dłużej porozmawiać. Dziwiło go, dlaczego tak dobrze idzie mu z Beatą. Nie miał pojęcia, że wieloletnie zmagania z apodyktycznym i zgryźliwym ojcem uczyniły z niej mistrza w prowadzeniu dialogów z trudnymi rozmówcami. Taktyka niedomówień i uników pozwalała jej prowadzić dyskusję dowolnie długo i na każdy temat.

Niestety w pracy te umiejętności nie przydawały się teraz do niczego. Trudno rozmawiać z kimś, kto w ogóle nie chce prowadzić dialogu.

Pan Tyberiusz postawił sobie za cel przekonanie Beaty do zajęcia się jego kolekcją. Posiadał wiele wyjątkowo wartościowych eksponatów, ale też sporo takich o niewielkiej wartości rynkowej, za to stanowiących zamkniętą tematyczną całość. Był z nimi związany emocjonalnie. I bolało go serce na myśl, że kiedy znajdą się w rękach pani Kaliny i jej jedynaka, mogą szybko wylądować na śmietniku, bo każdy rzeczoznawca uzna je za bezwartościowe.

– Widzi pani – zaczął, decydując się na szczerość – ja i Kalina, to znaczy mnie i panią Kalinę łączyło swojego czasu, piętnaście, dwanaście lat temu, pewne uczucie i jeszcze, hm, coś więcej… Wtedy Kalina zajmowała się profesjonalnie, jako pielęgniarka, innymi emerytami, jednak ja wymogłem na niej wyłączność. Zawarliśmy porozumienie, oczywiście kiedy uczucia między nami już wygasły, że przepiszę na nią, a głównie na jej syna, majątek z domem i kolekcją włącznie. W zamian zobowiązana jest opiekować się mną do końca życia, którego nie zostało mi już zbyt wiele.

– Cóż – powiedziała Beata, myśląc o swoim niewesołym położeniu – to jest swojego rodzaju transakcja, jednak miło mieć gwarancję dobrej opieki. Sama chciałabym mieć pewność, że ktoś się mną zaopiekuje, gdy na przykład stracę pracę lub zdrowie. Co, obawiam się, wkrótce może nastąpić – zakończyła cicho.

Pan Tyberiusz uśmiechnął się domyślnie. Powstrzymywał się od chęci rozmowy o ślubie i dziecku. Właściwie przyszłość Beaty niewiele go obchodziła, co innego zabezpieczenie jego zbiorów.

Jak to maniak, w gruncie rzeczy uważał każdą minutę przegadaną na temat niezwiązany ze swoim hobby za oczywistą stratę czasu. Toteż w końcu niecierpliwość przeważyła i przeszedł do sedna.

– Pani Beato, widziała pani moją małą galerię na parterze. A teraz chciałbym pokazać pani to, co uważam za najcenniejsze. Przy schodach jest winda, przejdźmy tam. Zobaczy pani, co znajduje się w dwóch pokojach na piętrze.

Winda na piętro zaskoczyła Beatę. To przedwojenne urządzenie zostało zamontowane do komunikacji pomiędzy kondygnacjami, kiedy jeszcze kuchnia mieściła się w piwnicy, a w domu była służba. Pan Tyberiusz odziedziczył dom po bezdzietnym wuju, niegdyś dyplomacie. Willa została przebudowana przez Tyberiusza, który nie potrzebował w swoim, również bezdzietnym, małżeństwie kolumnowej sali balowej na parterze ani olbrzymiej kuchni w piwnicy.

Na piętrze znajdowały się cztery mniejsze pokoje i łazienki. Jeden pokój zajmowała pani Kalina. W dwóch kolejnych w amfiladzie mieściła się ulubiona część kolekcji pana Tyberiusza. Czwartym był mały salonik, w którym czasami domownicy jedli obiad lub zasiadali do podwieczorku złożonego z dietetycznych ciasteczek i filiżanki naparu z ziół.

– Oto moje prawdziwe królestwo – powiedział pan Tyberiusz, zatrzymując się przed wejściem do jednego z pokoi.

Beata weszła pierwsza, Tyberiusz wjechał za nią i z pełną satysfakcji miną zatrzasnął drzwi.

Była już prawie pierwsza w nocy, kiedy wymęczony śmiertelnie, ale szczęśliwy Tyberiusz odprowadzał Beatę do wyjścia. Spędzili razem ładnych parę godzin, w trakcie których to on głównie przemawiał, opowiadał i pouczał.

Teraz był podekscytowany i uradowany, ponieważ wizyta Beaty z nawiązką spełniła jego oczekiwania. A równocześnie strasznie wyczerpany, marzył tylko o tym, aby jak najprędzej położyć się do łóżka.

Równie zmęczona Beata dotarła do samochodu i rozejrzała się po uliczce oświetlonej żółtym światłem latarni. Było ciepło i przyjemnie. W większości domów ludzie już spali. Z niewielkiej willi naprzeciwko wyszło właśnie dwóch mężczyzn. Coś znajomego w ich sylwetkach kazało Beacie na chwilę wstrzymać się z wsiadaniem do samochodu.

Zbliżyli się do zaparkowanego przy krawężniku starego forda i w tym momencie w jednym z nich Beata rozpoznała wrednego śledczego, który rewidował jej mieszkanie. Pożałowała, że zatrzymała się i nie odjechała od razu, tym bardziej że śledczy również ją rozpoznał i obrzucił tak jadowitym spojrzeniem, jakby byli śmiertelnymi wrogami. Bez słowa wsiedli do samochodów i ruszyli. Każde w swoją stronę.

9. Testament

Tego dnia, jadąc do pracy, Beata nie miała żadnych złych przeczuć związanych z niemiłą atmosferą w wydziale.

Trzy dni temu rozmawiała przez telefon z panem Tyberiuszem. Był ostatnio bardzo słaby.

– Nadszedł chyba czas na spisanie ostatniej woli, Beato. Kolejna zmiana testamentu. Spadkobiercy rzucą się sobie do gardeł – powiedział cichym głosem na pożegnanie i zachichotał złośliwie.

Beata przestraszyła się, że może stracić nowego przyjaciela. Zaledwie się poznali. Polubiła jego zgryźliwy humor, imponował jej rozległą wiedzą w wielu dziedzinach i rozśmieszał obrazoburczym stosunkiem do wszystkich i wszystkiego.

Kiedy tylko zaczęła pisać odpowiedź na pismo zarządu w sprawie oczyszczalni ścieków, została wezwana do naczelnika.

– Pani Beato – powiedział, patrząc na nią srogo i potępiająco – otrzymałem odgórne polecenie redukcji etatów. Jest pani długoletnim pracownikiem i dlatego, pomimo licznych skarg na pani pracę i wniosku kontroli wewnętrznej o udzielenie pisemnej nagany z wpisaniem do akt, postanowiłem nie sięgać do ostatecznych rozwiązań. Dam pani jeszcze jedną szansę, bo wierzę, że szybko odzyska pani dawną kondycję psychiczną. W związku z redukcją etatów pan Dygasiński, dotychczasowy archiwista, odejdzie na emeryturę. Tak więc proponuję pani przeniesienie do archiwum na etat archiwistki. Brała pani udział w szkoleniu, więc ma pani odpowiednie kwalifikacje. Jeśli to pani nie odpowiada, proszę złożyć wymówienie. Decyzja należy do pani.

Beata wyszła z gabinetu naczelnika jak we śnie. Wróciła do pokoju i bez słowa usiadła za biurkiem.

Domyślne spojrzenia współpracowników omijały ją. Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Czuła się straszliwie upokorzona, a jednocześnie bezradna. Co mogła zrobić? Potrzebowała pracy i pieniędzy. Nie miała żadnych oszczędności. Musiała spłacić kredyt, którego nie spłacił Robert. Musiała za coś żyć.

Nie rozumiała, za co spotyka ją taka kara. Wszyscy popełniali mniejsze lub większe błędy. Ona zawsze była bardzo sumienna i zdecydowanie bardziej pracowita od kolegów.

W jaki sposób przekazać nowinę współpracownikom? Przyznać, że naczelnik chce ją wyrzucić, czy udawać, że to jej własna decyzja, i zachować twarz? Może oni domyślają się już czegoś?

Weszła za przepierzenie do pokoiku Justyny.

– Przechodzę do archiwum. To decyzja naczelnika – powiedziała wszystko za jednym zamachem.

– No coś ty! – zawołała Justyna. – Dlaczego? Chociaż wiesz, może to i rozsądna decyzja. Właściwie też chciałabym trochę odpocząć od naszej roboty. Będzie nam ciebie brakowało. Zresztą możesz w każdej chwili wpaść na kawę, przecież to tylko parę pokoi dalej.

– No nie – wyraził swoje zdziwienie Gustaw, który siedział przy komputerze Justyny, próbując odnaleźć jakieś pismo.

– Opuszczasz nas? – zawołał Robert, wbiegając za nią do pokoju Justyny. – Słyszałeś, Bartek? Beata odchodzi do archiwum.

– Cenny eksponat powinien znajdować się w archiwum – odpowiedział Bartek z ironią.

Ku zaskoczeniu Beaty reszta wykazała się taktem i nie ciągnęła tematu. Była im za to bardzo wdzięczna.

Jednak najbardziej chciała pożalić się Julianowi, bo obok współczucia mógłby wyznać jej miłość i zapewnić, że może na nim polegać w trudnych chwilach. „Zyskam okazję, by się wykazać" – pomyślała nagle, nawet z pewną radością. „Dobrze mieć bliską osobę, szczególnie gdy nam się nie wiedzie. Znalezienie takiej bratniej duszy graniczy z cudem. Nie sztuka być razem, gdy życie jest usłane różami. Doświadczę pocieszenia. Julian otoczy mnie ramieniem i powie: nie martw się, przecież jestem przy tobie".

Zanim wyszła z pokoju, na biurku Roberta zadzwonił telefon. Robert pochwycił z przejęciem słuchawkę i po chwili zrobił minę, jakby wziął do ust łyżeczkę miodu. Julian poinformował go, że pan Tyberiusz jest umierający, a także, że spisał ostatnią wolę. Świetne wieści, w dodatku będzie można wykluczyć Beatę z ostatecznej rozgrywki.

Pogrążona w myślach Beata zeszła do barku. Julian siedział przy stoliku z grobowo poważną miną.

– Usiądź, Beato – powiedział ponuro. – Muszę ci coś wyznać.

– Ja też – powiedziała Beata ze ściśniętym sercem.

– Najpierw ja. – Julian przewidująco nie pozwolił się ubiec. – Otóż po bezsennej nocy i pełnych cierpienia godzinach przemyśleń doszedłem do wniosku, że musimy zakończyć nasz związek, zanim będzie za późno i śmiertelnie się zranimy.

– Ależ, Julianie… – zaczęła Beata.

– Nie mogę cię skrzywdzić, jesteś zbyt wartościową kobietą, zasługującą na kogoś, kto potrafi dać ci prawdziwe uczucie. Ja nie nadaję się do małżeństwa. Zawiodłem moją pierwszą żonę, zawiodę i ciebie. Wybacz, że dałem się ponieść namiętności… Beato, poczekaj, porozmawiajmy…

Beata zerwała się z miejsca i odprowadzana zaciekawionymi spojrzeniami innych pracowników pobiegła do drzwi, a potem przez korytarz do toalety, gdzie zamierzała się wypłakać. Jednak zmieniła zdanie i popędziła po schodach do

swojego pokoju. Wpadła do środka, chwyciła torebkę i nie zwracając uwagi na pytania Justyny i Bartka, wybiegła na parking do samochodu.

Chciała uciec od tego miejsca i podłych ludzi. Tutaj zewsząd osaczało ją zło, tutaj raz po raz doznawała gorzkiego upokorzenia.

Nie pamiętała, jak dojechała do domu. Zatrzasnęła drzwi, siadła na kuchennym stołku i dopiero teraz postanowiła dać upust rozpaczy. Ale łzy nie przychodziły. Wszystkie nagromadzone emocje odczuwała tak boleśnie, jakby ktoś zadał jej rzeczywiste rany. Płacz przyniósłby ulgę, tymczasem cierpiała katusze. „Teraz naprawdę oszaleję" – pomyślała skrajnie przerażona. „Autoagresja występuje zawsze, kiedy nienawiść do ludzi, żal za doznane krzywdy i inne agresywne myśli zwracają się przeciwko człowiekowi, który je odczuwa. W skrajnych przypadkach mogą być przyczyną wylewu lub ataku serca. A ja po prostu zaraz zwariuję. Znajdą mnie zidiociałą, niepoczytalną, zwiniętą w kłębek. A potem zamkną na zawsze w jakimś domu opieki dla bezdomnych. Boże, pomóż… Woda mnie uratuje. Mięśnie zwiotczeją, napięcie opadnie, agresja rozpłynie się w wodzie! Trzeba wejść do wanny".

Pobiegła do łazienki i odkręciła kran. Ściągnęła ubranie i weszła pod strumień wody, chcąc jak najszybciej poczuć jej oczyszczające działanie.

– Jestem na świecie sama. Nikt o mnie nie zadba, nikt mi nie pomoże. A ja już nie wykrzeszę z siebie siły jak ci, którzy muszą być ostoją dla dzieci i matek staruszek – mamrotała z rozpaczą pod nosem, jakby czytała instrukcję obsługi dziurawej tratwy ratunkowej, zagubiona na środku oceanu. – Idealna ofiara to ofiara losu – zdefiniowała swój obecny status. – Na pochyłe drzewo każda koza skacze! Cholerne kozy! Niech was szlag! Przyjaciele z pracy, złodzieje moich pieniędzy, intryganci, oszuści matrymonialni i karierowicze żerujący na innych. Nikogo! Nie mam nikogo. Może pan Tyberiusz? Akurat. Zaraz okaże się, po co tak naprawdę jestem mu potrzebna. – „Piekło i szatany" – pomyślała i zaczęła płakać. – Dobrze jest, będę żyć. – Powitała łzy jak przełom w chorobie. – Będę żyć bez miłości, bez pieniędzy, bez przyjaciół. Trzeba iść do banku i dogadać się z nimi. Wezmę jakiś inny kredyt i spłacę dług. Spłacę mieszkanie. Robert chyba nie odda mi pieniędzy. Może jak stanę na nogi, zaadoptuję niepełnosprawne dziecko. Samotnym kobietom dają dzieciaki z problemami. Zdrowe idą do pełnych małżeństw.

Chwilę zamyśliła się nad tym paradoksem.

Dla utrzymania temperatury co jakiś czas dolewała gorącej wody. Po godzinie była gotowa wyjść z wanny i stawić czoło całemu światu.

Walenie do drzwi było głośniejsze od szumu wody.

Sąsiad! Tylko on potrafił wydobyć z tych drzwi taki huk, jakby nadciągali czterej jeźdźcy Apokalipsy.

Drżącymi rękami w pośpiechu wciągała bieliznę na lekko wilgotne ciało.

Otworzyła drzwi wejściowe. Sąsiad wdarł się do środka, klnąc. Odepchnął ją i wbiegł do łazienki.

– Aha! *Wasser, der Bad!*[1] *Mensch!* A miała załatwić hydraulika, żeby zreperował. Ale świnia! – krzyknął i wyciągnął oskarżycielsko rękę w stronę Beaty. – Miał się zakochać i co? Miał zreperować i co?

Beata poczuła strach. Cofnęła się pod ścianę. To wariat. Furiat. Zaraz ją uderzy.

– Mówiłem, żeby mnie zawołać, jak przyjdzie. Ja zrobię, żeby się zakochał. Ale nie, nie zawołała! A teraz znów potop. A ja nienawidzę, jak woda wypływa z sufitu, ze ściany i nie wiadomo skąd! Nienawidzę! Zaraz. Ja to zaraz zrobię. Niech mi pani da rękę. No już!

Złapał Beatę za rękę, szarpnął i pchnął pod przeciwległą ścianę. Docisnął ją łokciem do framugi drzwi, jednocześnie ściągając z palca obrączkę ślubną.

– Zaraz ci założę, okręcisz i powiesz tylko: zakochaj się. On się zakocha i wszystko naprawi! Proste? – Uśmiechnął się szeroko, uszczęśliwiony, i zaczął wciskać jej obrączkę na serdeczny palec.

– Co pan robi? – Beata była zszokowana. Wyrwała się i odskoczyła. – Nie chcę pańskiej obrączki! Wariat!

– Dobrze, nie obrączkę, jakieś inne kółko! Wiem, firanka!

Staromodna firanka w kuchni była zamocowana na stałe do metalowych kółek. Beata prała wszystko razem w pralce.

Wyblakły sąsiad, teraz czerwony z przejęcia, szarpnął za delikatny materiał. Drążek wypadł z uchwytów w ścianie.

– Mam, mam – pochwalił się, zadowolony z siebie. Wyrwał kółeczko z firanki z resztkami nitek. – Będzie dobre. No, pani założy.

Beata odruchowo schowała ręce za siebie.

– Nie.

– Nie? To ja ci sam założę, ty zalewaczko. – Chwycił Beatę za ramiona.

Wyrwała się i rzuciła do ucieczki. Niestety z sypialni nie było odwrotu. Sąsiad wpadł za nią i przewrócił ją na łóżko, obrócił twarzą do pościeli i docisnął kolanami. Wykręcił jej ręce, unieruchamiając.

„Boże, co za sytuacja. Co on mi teraz zrobi? Przecież drzwi były otwarte, mogłam wybiec na klatkę schodową. Jak teraz zacznę krzyczeć, jego żona tu przyleci i może powie, że go uwiodłam. A jak ten wariat mnie udusi?”

– Aaaaaaa, boli! – zawyła piskliwie.

– Już założony. Trzyma się dobrze. *Alles klar*[2]! – Sąsiad uwolnił ją, wyraźnie zadowolony. – No, to telefon do hydraulika i po kłopocie!

Pomachał jej ręką na pożegnanie i podśpiewując kolędę *O Tannenbaum, o Tannenbaum*[3], zbiegł po schodach do swojego mieszkania.

Beata stała, patrząc na wciąż otwarte drzwi wejściowe. Co to było? Atak

furiata, zaloty zboczeńca seksualnego?

„Każdy może wejść do mojego domu i poniewierać mną, a potem spokojnie wyjść. A jeśli następnym razem będzie chciał mnie pobić, to co zrobię? Pójdę na policję? Będą się śmiali.

Nie mam nigdzie bezpiecznego miejsca… Nikt mnie nie obroni”.

Dotknęła kółeczka od firanki wciśniętego na palec, spróbowała je ściągnąć. Siedziało mocno.

Wyskubując resztki nitek, podeszła do akwarium z żółwiami. Stała, przyglądając się ze smutkiem trwającemu bez ruchu Rolandowi. Chyba już nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Powoli odchodził do Żółwiej Krainy Cieni.

[1] *Wasser, der Bad!* (niem.) – woda, łazienka!

[2] *Alles klar* (niem.) – wszystko jasne.

[3] *O Tannenbaum* (niem.) – niemiecka kolęda o choince.

10. Tyberiusz

Beata została przeniesiona do archiwum ze skutkiem natychmiastowym. Gustaw zadbał o to, by mogli jak najszybciej uzyskać swobodę działania.

– Co za ulga, że jej tu nie ma – powiedział już nie wiadomo który raz, domagając się pochwał za tak mistrzowsko zrealizowany plan. – Rozpoczynamy kolejny dzień pracy w atmosferze wzajemnego zaufania i swobody wypowiedzi – kontynuował, wyciągając z teczki śniadanie przygotowane przez żonę. – Kanapeczka z szyneczką. Pycha.

„Ze Stellą nie wyszło, owszem, ale z Beatą poszło jak po maśle. Trzeba dbać o pozycję w grupie. To będzie ważne, kiedy dojdzie do podziału łupów. Powinienem zatrudnić się w dyplomacji" – pochwalił sam siebie, nie słysząc odzewu ze strony pozostałych współpracowników, zajętych poranną krzątaniną. „Mógłbym intrygować na wielką skalę. Naczelnik jest przekonany, że to on wymyślił redukcję etatów".

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Bartek. Był blady jak ściana.

– Słuchajcie – powiedział przerażonym tonem – Tyberiusz nie żyje.

– Brawo, nareszcie! – wykrzyknęli Justyna i Robert jednocześnie. – Coś taki zmartwiony?

Bartek zgarnął ich do pokoju Justyny. Tam teatralnym szeptem oznajmił, a właściwie prawie wykrzyknął, machając rękami przed ich zaskoczonymi twarzami:

– Słuchajcie, prostaki, on został zamordowany! Ktoś go udusił. Dziś w nocy!

– Ukradli kolekcję! – wykrzyknął Robert.

– Dzięki Bogu nie, podobno na pierwszy rzut oka nic nie zginęło – uspokoił ich Bartek.

Wrzawa, która wybuchła po tych słowach, zagłuszyła wejście Beaty.

Usłyszała, że dyskutują u Justyny, i była zadowolona, że jej nie zauważyli. Chciała zabrać kilka segregatorów, w których przechowywała różne papiery, nie tylko służbowe. Wolała, żeby nie sprawdzali, co przenosi do archiwum. Mogą się przyczepić. Z nimi nigdy nie wiadomo.

– A może to któreś z was nie mogło się już doczekać i pomogło staruszkowi opuścić ten padół ziemski? – usłyszała głos Roberta.

Zapadła cisza. Beata wstrzymała oddech.

– Dlaczego któreś z nas, cwaniaku, ty jesteś kawał chłopa, co to dla ciebie taki sparaliżowany dziadek. A forsy potrzebujesz chyba najbardziej! – wykrzyknął wściekle obrażony Gustaw.

– A ty może nie, świętoszku? Sprawnie wykopałeś Beatę, a teraz przyszła pora na Tyberiusza. Pieniążki przydadzą się na chrzciny. No i na ślub. A może ślubu nie będzie? – odparował Robert.

– Przestańcie – zawołała Justyna. – To na pewno nikt z nas.

– Chciałaś powiedzieć, że na pewno nie ty, co? – zaatakował nagle Bartek. – Z bezbronnym staruszkiem poradzi sobie nawet kobieta. A ciebie aż paluszki świerzbiły, żeby wcześniej coś buchnąć i zamienić na gotówkę. Myślisz, że nie wiem, że poszłaś tam kiedyś jako agentka ubezpieczeniowa i próbowałaś obejrzeć kolekcję? A może wybrałaś się tam wczoraj z synalkiem i jego szemranymi koleżkami? Mały wypadek przy pracy. Już ty wiedziałabyś, co przy okazji morderstwa drapnąć!

– Idiota, lepiej podpytaj braciszka. Każdy wie, że wszystkie męskie prostytutki to ćpuny i złodzieje.

– Dominik nie jest prostytutką – wysyczał Bartek – prędzej już ty…

Trzaśnięcie drzwi otrzeźwiło ich. Wbiegli do dużego pokoju. Nikogo nie było.

– Pewno jakiś zabłąkany petencina. Przestraszył się zamieszania i wolał prysnąć. Jeszcze i jemu by się przy okazji oberwało. Ale numer! – Robert roześmiał się beztrosko, jak gdyby przed chwilą nic się nie wydarzyło. – Słuchajcie – podsumował – kto zabił, ten zabił. Testament i tak spisany. Najważniejsze, żeby policja nie wyczaiła, że mamy w tym jakiś interes! Bo mogą nam pokrzyżować plany.

„Dobrze, że siedzę tu sama” – pomyślała Beata. „Można się schronić przed bandytami”.

Tyberiusz zamordowany. A tamci wszyscy byli zamieszani w spisek i tylko czekali na jego śmierć. Nie wyłączając Juliana. Nie miała co do tego wątpliwości. A zatem nie chodziło o miłość. Może miała być szpiegiem w domu Tyberiusza, a może chcieli, by wyceniła wartość kolekcji, zanim ją ukradną.

Właściwie poczuła radość. Nie porzucił jej. Nie kochał, nie przestał kochać. Nigdy mu na niej nie zależało. Udawał w imię interesu. Hurra! Co za ulga. Nie wyczerpała więc limitu na szczęśliwą miłość.

Biedny Tyberiusz. Musiały go dopaść demony zemsty z przeszłości. Raczej nie przypadkowy włamywacz, który zabija i zabiera z portfela pięćdziesiąt złotych na wódkę. Może nie cierpiał przed śmiercią? Strach przed mordercą jest gorszy od bólu.

Cały czas spędziła w swoim pokoju, wpisując do komputera dane z archiwum. Jej poprzednik nie miał cierpliwości do nauki systemów archiwizacyjnych.

Przyniosła kanapki z domu. Nie schodziła do barku. Znienawidziła to miejsce.

Jak zwykle kilka osób wpadło wypożyczyć materiały. Ci z innych wydziałów skrywali zdziwienie i współczucie. Wieści o postępku naczelnika rozeszły się szybko.

– Pani Beaciu – powiedziała szefowa geodezji – wzięłabym panią do siebie, tylko co ja zrobię z inżynierem środowiska. Gdyby była pani chociaż geografem…

– Prawdę mówiąc – odpowiedziała Beata, po raz pierwszy szczerze – wszystko ułożyło się wyjątkowo dobrze. To naprawdę szczęśliwy traf.

Cały dzień myślała o Tyberiuszu. Zastanawiała się, jakie miał życie, ile ludzi się przez nie przewinęło i czy znał mordercę. Nic nie zginęło. Skąd można być tego pewnym? Przecież każdy kolekcjoner ma swoje tajemnice.

„Roland też pewno niedługo umrze" – pomyślała, wracając do domu.

„Otaczają mnie śmierć, zdrada i samotność".

Jednak była to samotność niedoskonała. Ledwie Beata dotarła do półpiętra, dopadł ją przystojnie wyblakły sąsiad.

Odruchowo rozejrzała się, szukając drogi ucieczki.

– Mam mokre plamy na suficie, tam gdzie stoi pani pralka. Niech pani sprowadzi w końcu tego hydraulika!

„Sam sobie sprowadź, to twoje plamy!" – już miała krzyknąć i pobiec na górę, gdy nagle dodał błagalnie:

– Proszę bardzo, *Frau* Beata. Nie mogę ścierpieć wody. Taka fobia.

– Ale dlaczego pan sam z nim nie porozmawia? Pana na pewno by posłuchał.

– Hydraulików też nie cierpię.

– Kolejna fobia? – zdziwiła się nieszczerze Beata. – To może żona spróbuje.

– Proszę.

– Dobrze. Niech będzie, ostatni raz. Hydraulicy nie idą do nieba – powiedziała z przekonaniem.

– Do piekła też nie. – Skinął jej głową na pożegnanie i wszedł do swojego mieszkania.

Postanowiła załatwić sprawę od razu. Dzisiaj administracja pracowała do osiemnastej. Wykręciła numer działu technicznego.

Zgłosił się hydraulik we własnej osobie. Ale niestety już skończył pracę.

– A zresztą, po co ja będę u pani robił, jak cała robota zda się psu na budę. Naharuję się i w dodatku za darmo. Za taką fuchę biorę w swoim zakładzie lekko pięćset złotych.

– Boże, człowieku, to prawie jedna piąta mojej pensji! – wykrzyknęła. – Przecież płacę na fundusz remontowy w czynszu. I to nie ja psuję rury!

– A ja nie będę ich reperował do usranej śmierci! Żal pani zapłacić prywatnie, nich się pani utopi we własnych ściekach. Mnie nie zależy!

Pomyślała z rozpaczą, że nigdy już nie będzie mogła się wykąpać. A w pracy nie ma prysznica. Chociaż podobno kiedyś były. Szkoda, że zlikwidowali.

– Nie mam czasu – powiedział hydraulik.

Zanim rzucił słuchawkę, Beata zdążyła szepnąć:

– Zakochaj się we mnie, wredny chamie! – Przekręciła kółeczko od firanki, które nadal w żaden sposób nie chciało zejść z jej palca.

Przygotowała sobie obiad, zjadła, posprzątała. Poszła po zakupy. Wróciła. Cały czas odwlekała moment, w którym będzie musiała podejść do akwarium, żeby nakarmić żółwie.

Jednak wieczorem sypnęła suszony pokarm na liść sałaty i stanęła przed domem wodnych przyjaciół.

Roland był martwy. Wiedziała to. Ale przecież mógł jeszcze się ocknąć. Nie pochowa go, nie mając pewności. Jest upał, zapach na pewno przyniesie odpowiedź. Przyniosła porcelanowy pojemnik wypełniony wodą. Na warstwie gąbki delikatnie ułożyła Rolanda. Zostawi go tutaj, da mu jeszcze szansę.

– Jutro będzie wiadomo. Wtedy urządzę pogrzeb. W tych krzakach pod domem, żeby miał do nas blisko – wytłumaczyła pozostałym żółwiom.

Większość snów, które śniła tej nocy, dotyczyły Tyberiusza. Nie było w nich grozy morderstwa. Beata, chyba instynktownie chroniąc się przed strachem, założyła, że scena śmierci rozegrała się w gronie starych przyjaciół, późniejszych wrogów. To był jakiś inny zwariowany starzec dręczony urazą sprzed lat. W żadnym razie nikt z jej kolegów z pracy. Tyberiusz ze snu oprowadzał ją po swojej niebiańskiej kolekcji, jakby zdążył ją stworzyć jeszcze za życia. Miał chytre błyski w oczach i sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tym pozagrobowym dowcipem.

Telefon wyrwał Beatę ze snu, w którym właśnie przemierzała liczne sale galerii Tyberiusza.

– Słucham, Beata Smugowska – przedstawiła się, żeby z miejsca rozwiać wątpliwości pomyłkowego rozmówcy.

– Pani Beato, to ja. – Usłyszała poważny głos, który wydał się jej znajomy. Jednak o tak wczesnej godzinie? Jeszcze nawet nie świtało. – Nie poznaje mnie pani? To ja, hydraulik.

– Hydraulik?!

– Przemyślałem pani sytuację i nie mogę pozostać obojętny na krzywdę, która panią spotkała. Jeśli ma pani chwilę, to przyjadę i od razu wezmę się do roboty. Im wcześniej, tym lepiej, dziewczyno!

– Jest druga w nocy? – spytała niepewnym głosem.

– A co za różnica? To jak, przyjeżdżać?

– Proszę zadzwonić jutro – powiedziała, odkładając słuchawkę.

„Pomylił mnie z jakąś swoją panienką” – pomyślała. „Pewno jest pijany i źle wykręcił numer. Nasłuchałabym się, gdyby przyjechał i odkrył pomyłkę”.

„Napiję się kompotu” – postanowiła. „Kompot jabłkowy palce lizać. Zostawiłam światło w dużym pokoju?” – zdziwiła się.

W dużym pokoju dwa satyry stały przy akwarium i przyglądały się żółwiom.

Jeden z nich, niższy i grubszy, wyciągnął Rolanda z pojemnika, szeroko otworzył buzię i włożył go do ust.

– Jest martwy. Nie żyje – powiedziała spokojnie Beata.

Przyłapany na gorącym uczynku satyr szybko wyjął Rolanda z buzi. Potem wskazał palcem na siebie i energicznie kręcąc głową, dawał do zrozumienia, że to nie jego wina, że to nie on zepsuł żółwia.

– Wiem – powiedziała Beata. – Myślę, że jest martwy już od jakiegoś czasu.

Satyr wziął jeszcze raz żółwia w kosmatą dłoń i przyjrzał się mu uważnie. Potem chuchnął na niego, polizał skorupkę i włożył do akwarium. Beacie wydało się, że żółw poruszył w powietrzu łapkami.

Drugi satyr wyraźnie czuł się zakłopotany. Poszturchiwał niecierpliwie pierwszego i próbował dać mu do zrozumienia, że pora iść. Wreszcie pierwszy zrobił przepraszającą minę, a nawet jakby ukłonił się niezgrabnie. Następnie obydwaj ruszyli w stronę drzwi balkonowych. Wyszli na taras, zaszeptali coś do siebie w niezrozumiałym języku i po chwili z niewielkim łoskotem zeskoczyli, znikając w ciemnościach.

Beata przez chwilę obserwowała bezmyślnie firankę chwiejącą się na wietrze, potem zgasiła światło i wróciła do sypialni. Wsunęła się pod kołdrę i wyłączyła lampkę nocną.

Rano, zanim zadzwonił budzik, rozdzwonił się telefon.

– To znowu ja – powiedział hydraulik. – Czy mam przyjechać teraz, czy ma pani inny pomysł? Ja się dostosuję. U mnie kobieta ma decydujące słowo.

– Proszę pana – zaczęła tłumaczyć – dodzwonił się pan do mieszkania Beaty Smugowskiej przy ulicy Zakole dwadzieścia trzy!

– No to świetnie – ucieszył się. – Znaczy, zobaczymy się u pani. Bo potem moglibyśmy pójść do kawiarni albo do restauracji. Po robocie oczywiście. Przepraszam, po pracy, chciałem powiedzieć. He, he.

– To znaczy, przyjdzie pan po szesnastej? – spytała niepewnie.

– No dobra, niech już będzie po szesnastej – odparł nadąsanym tonem. – Przyniosę piwo, po co tracić na restaurację. Zdzierają z człowieka.

– Dobrze – zgodziła się Beata. Nie miała pojęcia, czy on wie, z kim rozmawia i czy w ogóle jest przytomny. „Kompletna delirka” – pomyślała.

Ponowny dzwonek telefonu wyciągnął ją z łazienki. Była pewna, że to znów hydraulik.

– Pani Beata Smugowska? – uprzejmie spytał nieznajomy męski głos. – Reprezentuję kancelarię mecenasa Tylżyckiego. Bardzo proszę o kontakt z naszą kancelarią, najlepiej dzisiaj po południu. Sprawa dotyczy testamentu zmarłego niedawno pana Tyberiusza.

11. Pierścień

„Koszmar z tym hydraulikiem” – pomyślała Beata, jadąc do pracy. „Wydzwania zapity facet, a ja się czuję winna, że nie jestem jego narzeczoną. Zapewne taki majster-klepka ma wiele narzeczonych w domach dotkniętych niemocą kanalizacyjną. Czy bezradność może popchnąć do flirtu z takim prostakiem? Chyba tak. Kto wie, co ja zrobię za chwilę?

Jestem bezbronna wobec napastliwości sąsiada. To nie przelewki, facet sponiewierał mnie w mojej własnej sypialni. Może następnym razem mnie pobije. Pozwalam się szarpać i upokarzać, ponieważ czuję się winna i bezradna.

A może spróbować w jakimś innym zakładzie usługowym? Może nie wszyscy hydraulicy są tacy beznadziejni?

Ciekawe, czy to kółko od firanki w końcu da się ściągnąć z palca? Siedzi mocno, rzeczywiście jak jakiś magiczny pierścień. Pierścień do zniewalania hydraulików. Ciekawe, kogo jeszcze?”

W holu urzędu jak co rano wpisała się na listę i poprosiła o klucz. Za kontuarem siedział nowy, młody strażnik. Szukał długo na tablicy, a potem w szufladzie, jakby klucz do archiwum bawił się z nim w chowanego.

W końcu znalazł, rzucił klucz na blat i nawet nie patrząc na nią, pośpiesznie zwrócił się do następnych czekających w kolejce. Doświadczeni strażnicy błyskawicznie odnajdywali właściwe numery na tablicy.

– Kochaj mnie – szepnęła Beata, przekręcając na palcu kółeczko od firanki. Nowy strażnik, słuchając podpowiedzi zniecierpliwionych urzędników, szukał kolejnych kluczy.

Wstydziła się swojego zachowania, ale nie mogła się powstrzymać. Obcy człowiek był najwłaściwszym kandydatem do przeprowadzenia testu.

W archiwum urządziła wszystko po swojemu. Jej skrupulatnej naturze służył taki rodzaj pracy. Uciekła od niechęci byłych współpracowników, schroniła się tu przed demonami wychylającymi swe głowy z różnych miejsc otaczającego ją świata. W domu satyry, sąsiad, hydraulik. W pracy naczelnik, byli koledzy, Julian, może za chwilę ktoś jeszcze wyciągnie zdradziecki sztylet.

Nastawiła ulubioną muzykę, nalała wody na herbatę do czajnika, włączyła komputer.

– Panie Tyberiuszu, tak właśnie wyglądają moje sprawy – powiedziała, kierując spojrzenie ku sufitowi. – Dzwonili z informacją, że uwzględnił mnie pan wśród spadkobierców. Jestem zaskoczona, czyżby któryś z dwuznacznych klejnotów pańskiej kolekcji przypadł mi w udziale?

Rozłożyła listę dokumentów i zaczęła wklepywać do komputera kolejne pozycje.

– Roboty z tym przenoszeniem danych do archiwum jeszcze na dwa

miesiące – mruknęła do siebie.

Do dwunastej zdołała przygotować materiały do wypożyczenia dla kilku osób.

Punkt o dwunastej zadzwonił telefon. Wredny śledczy, który przesłuchiwał ją w sprawie syna Justyny, jadowitym tonem zaprosił Beatę Smugowską do rozmowy w komisariacie.

– Wystawię pani zaświadczenie o wezwaniu – powiedział niezrażony zapewnieniami, że jest zajęta pilną robotą.

– Ale ja w dalszym ciągu nic nie wiem o Adrianie i jego kolegach. Rozmawiałam z jego matką, podobno to jakieś nieporozumienie…

– Nieporozumienia – prychnął w słuchawkę śledczy – zdarzają się tylko w bajkach i powieściach dla kobiet. Mniejsza… Tym razem chodzi o coś poważniejszego, moja pani. Chodzi o morderstwo. O ile mi wiadomo, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, należy pani do spadkobierców Tyberiusza Janowskiego?

– Chyba tak, nie jestem pewna. – Ton zaskoczonej Beaty zabrzmiał nieco teatralnie, chociaż nie kłamała.

– No tak, niektórzy nie wiedzą, skąd się wzięły ich pieniądze. Taki gatunek. Czekamy na panią teraz, tu w komisariacie.

„Boże – pomyślała – czy oni wszyscy powariowali? Rozwiązał się jakiś worek z plagami egipskimi?”

Zadzwoniła jeszcze do administracji osiedla, żeby odwołać wizytę hydraulika. Nie wiadomo, ile czasu zajmie jej śledczy, a potem kancelaria mecenasa Tylżyckiego. I w jakim nastroju wróci do domu. Załamanie nerwowe to niezbyt sprzyjająca okoliczność podczas rozmowy z chamskim macherem.

Ociągając się, poszła zwolnić się u naczelnika na resztę dnia. Wolała powiedzieć, że wezwano ją w sprawie szkolenia dla archiwistów, niż wyznać prawdę.

Naczelnik nie czynił przeszkód. Chwilowo wyczerpał mu się zapas złośliwości.

Kiedy pośpiesznie przemierzała hol w kierunku wyjścia, strażnik, który podawał jej rano klucz, wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać. Otworzył usta, ale w końcu nic nie powiedział i cofnął się zakłopotany.

Szczęśliwie miasto było całkowicie przejezdne, nawet w centrum wszystkie światła przejechała za jednym zamachem. Do komisariatu dotarła w dwadzieścia minut.

Śledczy powitał ją kwaśnym uśmiechem. Przerzedzone blond włosy, przydługie, jej zdaniem, jak na policjanta, pociemniałe od potu, przylegały mu do głowy wilgotnymi strąkami.

– Od łyczka do rzemyczka – zażartował. – Niedawno włamanie, a dziś już morderstwo. Robi pani karierę.

– Ja właściwie bardzo słabo znałam pana Tyberiusza – powiedziała Beata.

– Tym bardziej to intrygujące, że umieścił panią w swoim testamencie. I w dodatku zaraz potem umarł.

– Poznałam go przez Juliana Wilamowskiego, to syn opiekunki pana Tyberiusza. Okazało się, że mamy podobne zainteresowania, i chyba dlatego coś mi zapisał. O ile to prawda. Dzisiaj dzwonili z kancelarii mecenasa Tylżyckiego, mam się z nimi skontaktować w tej sprawie. Naprawdę nie wiem nic więcej.

– Zapisał pani spadek, bo mieliście podobne zainteresowania?!

– Przecież nie wiadomo, czy w ogóle coś mi zapisał, czego się pan czepia? – zirytowała się.

„Jeśli nic mi nie zapisał albo na przykład bezwartościowy drobiazg, naprawdę wyjdę na idiotkę" – pomyślała ze złością, nauczona smutnym doświadczeniem.

– To ja jestem ciekawy, dlaczego pani osoba wciąż się pojawia przy okazji ostatnich przestępstw. Więc może spytam wprost: co robiła pani w nocy szesnastego, gdy został zamordowany pan Tyberiusz Janowski?

Nie trzeba dodawać, że żadne zapewnienia Beaty o całkowitym braku powiązań z miejscem zbrodni nie przekonały śledczego. Wyraźnie pragnął udowodnić jej winę, i to w jak najkrótszym czasie. Siłą lub podstępem.

Początkowo Beata nie zamierzała wracać do pracy, ale po namyśle zdecydowała się wpaść tam i zadzwonić do prawnika.

„Na centrali na pewno podsłuchują" – doszła do wniosku po chwili wahania. „A niech tam, zadzwonię też do Juliana. Gdyby chciał mi coś powiedzieć na osobności, w pracy będzie dobra okazja. A przecież chyba powinien ze mną porozmawiać. Ta cała banda moich pseudoprzyjaciół powinna mi wyjaśnić, o co tu, do licha, chodzi".

Na jej biurku w archiwum stał bukiecik bratków.

„Cóż to?" – pomyślała zdziwiona. „Tajny klucz oddałam w portierni. Czyżby ktoś poza mną miał pozwolenie na wejście do archiwum?"

Zadzwoniła do portierni. Strażnik z drugiej zmiany przysięgał, że nikt poza nią nie brał dzisiaj klucza.

Troszkę się zasępiła. „Czyżby znów halucynacje? Poczekamy do jutra. Może kwiaty znikną".

Wykręciła numer Juliana.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oznajmił oficjalnym tonem.

– Sprawa nie dotyczy tej waszej głupiej intrygi matrymonialnej – odpowiedziała ostro. – Podobno pan Tyberiusz uwzględnił mnie w testamencie. Czy wiadomo ci coś na ten temat?

– Nie – prawie warknął. – I nie sądzę, żeby tak było. Jeszcze coś?

– Nie – odparła, wściekła, że do niego zadzwoniła. – Więc teraz naprawdę

zakochaj się we mnie – wymamrotała, przekręcając kółeczko od firanki na palcu i rzucając słuchawkę.

„Ależ byłoby cudownie, gdyby zadziałało!" – pomyślała mściwie. „Już ja bym ci pokazała, gdzie raki zimują, padalcu".

Zeskanowała kilka dokumentów. Przygotowała dwie dokumentacje do wypożyczenia na jutro. Jej wzrok ciągle zatrzymywał się na wazoniku z bratkami. Raz nawet ukryła się za półkami i wyjrzała bardzo szybko, mając nadzieję, że przyłapie bratki na niebycie. Daremnie. Były i nawet pachniały.

Wyszła z pracy punktualnie. Na parkingu pozdrowiła ją uprzejmie Justyna. Tym razem Beata postanowiła nie wypytywać o Tyberiusza.

Pojechała prosto do kancelarii Tylżyckiego. Duży zespół adwokacki mieścił się na dwunastym piętrze nowoczesnego, przeszklonego niebieskimi taflami budynku biurowego.

„Zapewne płacą spory czynsz" – pomyślała.

– Pani Beata Smugowska – powitała ją miła dziewczyna w sekretariacie. – Proszę chwileczkę poczekać. O, mam, sprawa spadkowa: Tyberiusz Janowski. To w poniedziałek, dwudziestego drugiego o dziesiątej. Przyślemy pisemne wezwanie, ale dobrze, że przyszła pani osobiście. Mamy teraz gwarancję skutecznego powiadomienia. Jest pani pierwsza! – dodała z zadowoleniem, jakby spodziewała się za to jakiejś premii od szefa.

Beata, trochę rozczarowana zwłoką w wyjaśnieniu tajemnicy testamentu, postanowiła wrócić prosto do domu.

„Zakupy zrobię w naszym samie albo wcale nie zrobię. Zjem czerstwy chleb i usmażę sobie mrożone placki ziemniaczane.

W tym upale nawet lepsze byłyby na zimno".

„O Boże! – przypomniała sobie nagle Rolanda – może dobrały się do niego muchy? Och, oby nie, zaraz urządzę mu pogrzeb. Tylko dojadę. W dodatku zapomniałam, że satyry wrzuciły go do akwarium.

O, mój biedny przyjacielu! Wybacz mi. Naprawię zaniedbanie!"

Aż się spociła, biegnąc z parkingu do domu.

„Jeśli sprawy będą wyglądały źle, urządzę pogrzeb od razu.

Jeśli dobrze i Rolanda nikt nie nadgryzł, najpierw się wykąpię. Naleję wodę do dużej miednicy, ustawię na podłodze w łazience i będę polewać się kubeczkiem. Nie pozwolę zakłócić żałobnej atmosfery wrzaskami zalewanego sąsiada. Tego chama. Psiakość, wysyłam chyba jakieś niezdrowe fluidy. Otaczają mnie same chamy. Przyciągam ich z całego miasta!"

Weszła do odrobinę chłodniejszego niż klatka schodowa mieszkania. Żaluzje rozpraszały światło słoneczne. Panował przyjemny półmrok.

Podeszła do akwarium. Roland wdrapywał się na brzeg. Zapewne usłyszał, że wróciła.

Poczuła łzy radości pod powiekami. „Jak to dobrze, że dałam mu jeszcze szansę. Kochany mój!”

Delikatnie położyła zwierzątko na dłoni.

– Dostaniesz coś rewelacyjnego do jedzenia. Jutro ci kupię, co tylko chcesz!

Pogłaskała Rolanda po pancerzu i położyła obok Heloizy. Reszta żółwiej rodziny wyraziła swoje zadowolenie z tego stanu rzeczy.

– No, to się kąpię – powiedziała uszczęśliwiona.

Dźwięk dzwonka zmroził jej krew w żyłach.

– Sąsiad!

Podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza. Jakaś paczka, kwiaty i ręce. Otworzyła powoli.

– No, to jestem! – wykrzyknął uradowany jej widokiem hydraulik. – Trochę się tu pokręciłem, bo mi powiedzieli, że pani nie będzie w domu do szesnastej. Ale widzę, że pani idzie, to ja hyc, bo miałem wszystko przygotowane: kwiatki, piwko, kurczaczek, i jestem! Co, dziwi się pani? Ja nigdy do kobiety z pustymi rękami nie przychodzę. A co dopiero, jak mi tak która podpasuje jak pani!

Hydraulik miał nadzieję rozgościć się, popić, pojeść, poflirtować, ale Beata z obawy, że to pierwszy i zarazem ostatni gest dobroczynności z jego strony, wyprosiła natychmiastową reperację rur w łazience i toalecie. Hydraulik zrzucił z siebie podkoszulek i spodnie. W samych majtkach, troszkę nieprzystosowanych do publicznych występów ze względu na znaczne zużycie, wcisnął się pod wannę.

– Sprawa jest prosta – powiedział. – W tych mieszkaniach od czasu modernizacji jest taki dynks. Trza wiedzieć. Jak się wie, wszystko jest proste.

– I pan wie? – spytała z nabożnym podziwem.

– A jak!

„To dlaczego, baranie, od razu nie naprawiłeś?” – pomyślała z wściekłością.

– Chłopaki zrobiły to z głową. Z takiego figla można i pięć lat przeżyć, zanim się ktoś skapuje! Ale dla pani Beatki ja po znajomości załatwię sprawę od ręki. Roboty to tu będzie jeszcze co nieco, ale już pani nie będzie zalewać tego wyblakłego z dołu, przynajmniej nie z łazienki. Jutro kuchnia, potem zabierzemy się do drobniejszych spraw. Kto to widział, żeby taka piękna kobieta musiała sobie zaprzątać główkę kanalizacją. – Ze wzruszenia łamał mu się głos, więc zgasił pożar uczuć piwem.

Beata zauważyła pod ścianą czwartą opróżnioną puszkę.

– W przyszłą sobotę pójdziemy do jakiejś restauracji. Trzeba nie tylko tak po domowemu, jak na co dzień. U mnie kobieta musi być wyprowadzana do ludzi, żeby wiedziała, że chłop nie żałuje na nią pieniędzy! – przemawiał z dumą, właściwie sam do siebie.

Beata wyłożyła kurczaka na talerz i przez grzeczność zjadła kawałek. Co jakiś czas wbiegała uszczęśliwiona do dużego pokoju i cichutko pokrzykiwała,

dzieląc się swym szczęściem z żółwiami:

– Reperuje! Będę mogła się kąpać! Sąsiad mnie nie zabije!

Zaciskała pięści z radości i podskakiwała jak dziecko. Żółwie uśmiechały się, dzieląc jej radość.

Wizyta trwała do dziesiątej wieczorem.

– Na dzisiaj to wszystko – powiedział hydraulik, wciągając spodnie i podkoszulek i przeglądając się w lustrzanej ścianie korytarza. – Niewielki brzuszek jest – ocenił, klepiąc się po wydatnym, włochatym brzuszysku. – Ale poważny chłop powinien mieć brzuch. Przynajmniej od razu wiadomo, że mu się dobrze powodzi – perorował. – Pani Beatka taka kobieca, jak cukiereczek. I bioderka, i biuścik pierwsza klasa. Troszkę wysoka, a ja trochę tęższy, zgrana z nas para, pasujemy do siebie – podsumował z przekonaniem.

Sięgał Beacie poniżej ramienia, jednak gotów był przymknąć oczy na te niedostatki. Uczucie pokona każdą niedogodność.

Kiedy w końcu wyszedł, Beata pozamiatała okruchy tynku i kafelków. Wytarła tłuste plamy z umywalek i usiadła w kuchni ze szklanką mleka i piernikami.

„Wątpię, że to zasługa kółeczka – pomyślała – może po prostu wróciła dobra passa. Po pierwsze, pan Tyberiusz, choć Julian jest przeciwko mnie, zostawił mi coś na pamiątkę, po drugie, Roland ozdrowiał, a mnie się przyśniło, że to satyry go ożywiły, po trzecie, zjawił się hydraulik i rzeczywiście zreperował rury. I nie za sprawą pierścienia, tylko po prostu zwyczajnie – jakaś kobieta go przegoniła i nie miał z kim się napić piwa.

Jednak nie zaprzestanę magicznych praktyk. Podobnie działają fetysze i amulety. Wierzymy w ich moc, a one dodają nam wiary w siebie. Stajemy się silniejsi i dokonujemy czynów, które przedtem wydawały się niemożliwe.

Tak. Tak to właśnie z tym Magicznym Pierścieniem z Firanki musi być”.

12. Figurka

Beata zaczęła wierzyć w powrót dobrej passy. Następne dni przyniosły wiele niespodzianek. Spadek rozwiązał jej problemy finansowe. Otrzymała od Tyberiusza pieniądze wystarczające na pełną spłatę mieszkania oraz cztery eksponaty z jego kolekcji.

Wieczorami ustawiała je przed sobą i zastanawiała się, dlaczego właśnie te. Myślała o nich również przed zaśnięciem, licząc, że Tyberiusz odwiedzi ją we śnie i coś podpowie. Nadaremnie.

O dziwo, podczas odczytywania testamentu Julian zachował się bardzo przyzwoicie. Odniosła nawet wrażenie, że w przeciwieństwie do swojej matki nie miał obiekcji co do jego zapisów. W pewnej chwili rzucił nawet Beacie przepraszające spojrzenie, jakby żałował, że nie są już wspólnikami w tej grze.

W pracy naczelnik przestał ją gnębić, a dawni współpracownicy wyglądali na zaaferowanych pracą lub jakąś fuchą i zupełnie nie zwracali uwagi na otaczający ich świat.

Najdziwniejsze, że w archiwum miejsce bratków zajął pokaźny bukiet róż. Beata nie dzwoniła więcej do portierni, nie chcąc prowokować losu. Odpowiedź mogłaby naruszyć jej świeżo odzyskaną trzeźwość umysłu i wiarę w dobrą passę.

„Zobaczymy, co będzie dalej" – zadecydowała. „Może poszukam nowej pracy. Za lepszą pensję. Teraz, kiedy już spłata mieszkania nie stanowi problemu, potrzebuję pieniędzy jedynie na jedzenie, czynsz i benzynę. Jestem wolnym człowiekiem. Najważniejsze jest zdrowie i stałe źródło dochodów.

Prawdę mówiąc, w tej chwili w archiwum mam jak w niebie" – podsumowała ze zdziwieniem. „Ładny pokój, ludzie mili, bo czegoś ode mnie potrzebują, najnowszy system archiwizacji w dobrym komputerze. I nawet świeże kwiaty w wazonie!"

Wzięła naręcze dokumentacji oczyszczalni ścieków, zamknęła drzwi na klucz i skierowała się do dawnego pokoju. Justyna dzwoniła z rana z prośbą o materiały, a Beata miała ochotę wypytać Roberta o śmierć Tyberiusza. Robert był zawsze najlepiej poinformowany.

Kiedy weszła do pokoju, zastała tam Juliana. Stał na środku, reszta zespołu skupiła się wokół niego.

Nie zdążyła się wycofać.

– Wejdź, wejdź – powiedział Bartek zapraszająco, jak gdyby znajdowali się w jego prywatnym pokoju, a nie w urzędzie, do którego mógł w każdej chwili wtargnąć niezadowolony petent.

Na widok Beaty twarz Juliana rozjaśniła się.

– No, witaj – zawołał – moja partnerko w podziale spadku! Miło ze strony Tyberiusza, że pomyślał o tobie. Prawdziwy dżentelmen starej daty, nieprawdaż?

– Nieprawdażżż? – przedrzeźnił go z emfazą Bartek. – Doprawdy, idealny narzeczony z tego Juliana! Niedoszły żonkoś! I mamy może uwierzyć w szczerą radość, że ktoś skubnął jego kawałek tortu?

– Nie rozumiem, Bartku, dlaczego interesujesz się moimi sprawami. Ja nie wnikam w twoje.

– Jesteś najlepszym przyjacielem mojego brata, więc siłą rzeczy muszę wnikać w to i owo. – Bartek z trudem pohamował złość, ale i tak wyczuwało się, że chętnie powiedziałby Julianowi do słuchu.

– Z twoim bratem mam inne układy, a z Beatą inne – odpowiedział urażonym tonem Julian. – Na miejscu Tyberiusza zapisałbym jej nawet połowę spadku. Przecież miał podstawy przypuszczać, że się pobierzemy, a wtedy byłaby po jego śmierci współwłaścicielką całego majątku z kolekcją włącznie. I wiecie, co wam powiem? – zwrócił się nagle do wszystkich. – Właściwie żałuję, że tak się nie stało! Może właśnie Beata byłaby najwłaściwszą opiekunką jego galerii.

– Ależ, Julianie! – Beata, strasznie zawstydzona, przerwała ciszę, która zapadła po tym wybuchu emocji. – Chyba sobie pójdę.

Położyła stos dokumentacji na biurku i wybiegła z pokoju.

Idąc korytarzem, słyszała wrzawę, która wybuchła po oświadczeniu Juliana. Sama była zaszokowana jego postawą, a co dopiero reszta bandy! Uśmiechnęła się.

Czasami tak bywa. Ktoś zrobi komuś świństwo, a potem mu głupio. Ostatecznie nic go nie kosztowało wypowiedzenie kilku miłych słów pod adresem Beaty.

Jednak altruizm Juliana przestraszył pozostałych. Szczerość brzmiąca w jego słowach groziła ruiną ich wielomiesięcznych wysiłków. Obawiali się utraty wpływu Dominika. Miłość, wiadomo, dzisiaj jest, a jutro zostają po niej tylko zgliszcza.

– Znowu ta Beata! – zawołała Justyna. – Nie ma na nią siły. Czy ktoś może wie, w jaki sposób posłać ją do diabła? Gustawie, zrób coś!

Gustaw bezradnie wzruszył ramionami.

Robert nie odzywał się. Kiedy dotarła do niego wiadomość o zapisie w testamencie – Tyberiusz wyraźnie wspomniał o spłacie kredytu na mieszkanie – Robert poczuł niejasny lęk. Ofiary jego lekkomyślności nigdy nie korzystały z niebiańskiego wsparcia. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, że nie powinien więcej zadzierać z Beatą. Bezpieczniej będzie pożyczyć od kogoś pieniądze i na wszelki wypadek od razu zwrócić jej całą sumę.

– Już ja ją załatwię – powiedział wściekłym głosem Bartek. – Już ona mnie popamięta, cwany kurwiszon jeden, kocmołuch, Behemot…

Wiedział, że naczelnik jest w terenie i nie wróci przed czternastą. Wszedł do jego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. W sekretariacie nikogo nie było, bo Anula zeszła odebrać pocztę.

Sięgnął po słuchawkę telefonu. Przez chwilę układał w głowie, co powinien powiedzieć.

„Nie wiem, czy to istotne, panie komisarzu, ale…" – tak zacznie. A potem złoży zeznanie. „Po pierwsze, jakieś dwa, trzy miesiące temu Beata ni z tego, ni z owego zaczęła wypytywać mnie i Roberta o Tyberiusza i chciała, żebyśmy zapoznali ją z Julianem. Po drugie, uwodziła pana Tyberiusza, obiecując, że się nim zaopiekuje, a on, dało się wyczuć, nie pozostał na to obojętny. Po trzecie, wszystko odbywało się przez telefon, na moich oczach, bo wtedy pracowaliśmy w jednym pokoju. Po czwarte, udawała narzeczoną Juliana, a przecież Julian jest homoseksualistą i nie interesuje się kobietami. Zatem uknuli razem jakąś intrygę. Wiadomo, że pierwsze małżeństwo Juliana było fikcją, zwykłym interesem, sposobem na kupno jednego dużego mieszkania i zamianę na dwa mniejsze! Po piąte, kiedy Beata dowiedziała się, że Tyberiusz spisał testament, była pewna, że odziedziczy fortunę. To jej zależało na jak najszybszej śmierci pana Tyberiusza. Może ją i lubił, ale wiadomo, łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Kobieta jest wielka i silna jak dragon, co dla niej taki wątły dziadek. I po szóste, niech ją pan, do cholery, zamknie, panie komisarzu policji!"

Beata przesiedziała dwie godziny, wprowadzając do komputera kolejne materiały. Kserowała i skanowała półka po półce. Czuła się niezwykle ważna, zamieniając dziesiątki lat działalności ludzkiej utrwalonej na papierze na ulotny zapis cyfrowy, który można przetworzyć, przesłać lub powielić w ciągu ułamka sekundy. I równie szybko unicestwić jednym wrednym wirusem, prawdziwą zarazą naszej epoki.

Kiedy wstała, lekko zesztywniała od siedzenia w tej samej pozycji, właśnie zadzwonił telefon.

– Pani Beata? – odezwał się młody męski głos pełen energii i jakiejś zabawnej skwapliwości. – I jak się pani podobają kwiaty?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Może bezpiecznej będzie milczeć.

– Zdziwiła się pani, co?

– Z kim mówię?

– A, to tajemnica! Na razie nie powiem. Fajna z pani dziewczyna, jutro też coś pani przyniosę.

– Jest pan normalnym facetem, nie jakimś antycznym satyrem czy czarodziejskim niewidzialnym stworzeniem?

– Ale ma pani fajne poczucie humoru! – wykrzyknął nieznajomy i dusząc się ze śmiechu, odłożył słuchawkę.

„Mówi z lekkim regionalnym akcentem" – pomyślała. „Młody człowiek. No jasne. Strażnik. Oni mają wszystkie klucze. Kółeczko, rany boskie, zaczarowane kółeczko. Hydraulik, strażnik. I Julian". Usiadła ponownie przed komputerem.

Jako dziecko nie raz marzyła o czarodziejskich pierścieniach. Na

wszechwładne czarodziejstwo, na niewidzialność, na produkcję słodyczy, na spełnianie życzeń. A jak się zachować, kiedy już ma się taki pierścień?

Trudno uwierzyć w jego moc.

Oparła się wygodnie. Podłożyła ręce pod głowę i zamyśliła się.

Wychodząc z pracy, z uśmiechem oddawała klucz w portierni. Jej strażnik kończył zmianę przed trzecią. Teraz stał tam duży, gruby mężczyzna w średnim wieku.

Przyjechała do domu. Zostawiła samochód na parkingu i poszła po zakupy. Kupiła też żółte pomidory u rudowłosej sprzedawczyni.

Nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło. Wredna kwiaciarka wymieniała garść drobnych na banknoty w samie spożywczym.

„Właściwie teraz ja też należę do ich dziwnej, nieziemskiej familii. Mam pierścień, więc nie jestem już zwykłą osobą. Mogę rozkochać w sobie każdego! Jak jakaś czarodziejska syrena ze skały. Giń, piękny podróżniku!" – pomyślała Beata, ustawiając się w kolejce do kasy.

W domu zajrzała do żółwi. Wszystkie powitały ją, wdrapując się na sztuczną skałę.

– Słuchajcie – zapytała, nagle tknięta przeczuciem – czy były tu jakieś satyry? Tacy faceci, włochaci, z różkami i kopytkami. Nie tacy jak pan hydraulik, który chciał was spuścić z wodą w toalecie, tylko greckie satyry z mitologii.

Żółwie odpowiedziały, że nie puszczą pary z ust, dopóki nie dostaną sałaty. Ale chodziło im chyba o sałatę lodową, bo po zwykłej nadal milczały.

Beata była zadowolona z działań hydraulika. Usunął wszystkie usterki, zamontował nowe cichutkie wentylatory. Wymienił stłuczone przez siebie kafelki, poprawił wyciąg przy kuchence i skrócił rurę gazową, dzięki czemu mogła uzupełnić brakujący kawałek kuchennego blatu.

I wszystko odbyło się w ramach usuwania usterek przez spółdzielnię, czyli za darmo! Beata miała nadzieję, że hydraulik zje szóstą pieczoną kurę i wypije trzydziestą piątą puszkę piwa już w mieszkaniu innej bezradnej kobiety. Nawet przez sekundę pomyślała, czy nie posłać go do Justyny, bo nie raz słyszała o jej problemach z jacuzzi, ale zarzuciła ten pomysł. Im dalej od dawnych kolegów, tym lepiej.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

„Niestraszny mi sąsiad" – pomyślała Beata, która ostatnio brała kąpiel w dowolnej chwili i bez żadnych przykrych konsekwencji.

Na klatce schodowej stał śledczy.

– Proszę – powiedziała Beata. – Czyżby coś się wyjaśniło?

– Poniekąd, poniekąd – odparł, swoim zwyczajem rozglądając się uważnie po mieszkaniu. – Jakie kosztowności odziedziczyła pani po zmarłym Tyberiuszu Janowskim? Jak sądzę, te cztery rzeczy. Jak sądzę, warte majątek. Wystarczy

popatrzeć na tę złotą figurę. Ciekawe, ile waży?

– Wszystkie są fałszywe – wyjaśniła.

– Fałszywe?

– Pan Tyberiusz zbierał falsyfikaty.

– Coś podobnego! Wszystko jest bezwartościowe?

– Tego nie powiedziałam. Tylko że w jego zbiorach wszystkie eksponaty są kopiami. A kopie też mają swoją cenę, szczególnie wśród kolekcjonerów kopii.

– Więc ta figurka nie jest ze złota?

– Jest pozłacana, nawet miejscami cieniutka warstwa się starła i prześwituje jakiś ciemniejszy metal.

– Ale pieniądze pani dostała.

– Tak, równowartość pięciomiesięcznej spłaty kredytu mieszkaniowego.

– No proszę, pół roku temu nieznajomy, a tu nagle taki prezent od niemal obcego mężczyzny.

– Sama się dziwię. Jednak kiedy opowiedziałam mu o moich problemach finansowych, zaproponował pożyczkę, więc właściwie…

Nie wiadomo, czy śledczy miał coś do powiedzenia, czy wpadł tylko, żeby ją nastraszyć. Zadawał pytania, a ona, odpowiadając, stawiała się w niekorzystnym świetle. Nawet małe hantle, pamiątka po ojcu, sugerowały, że Beata dba o kondycję fizyczną, tak potrzebną do duszenia staruszków.

– Nie sądzę, żeby pana Tyberiusza zabiła osoba słaba lub przypadkowa – powiedziała Beata. – Wspomniał kiedyś, że pozwala się wozić na wózku wyłącznie z powodu lenistwa. W rzeczywistości, gdy zostawał sam, potrafił poruszać się o własnych siłach.

– Coś takiego – zdumiał się śledczy. – Powiedział to pani? Po co?

– Nie wiem, może się przechwalał. – Beata miała go już dość.

– A dlaczego udawała pani przed Janowskim narzeczoną Wilamowskiego, skoro to homoseksualista?

– Pan Tyberiusz był homoseksualistą? – uprzejmie zdziwiła się Beata. – Nie ma to dla mnie większego znaczenia.

– Julian jest – poprawił ją śledczy.

– Ach, tak, teraz rozumiem, dlaczego ze mną zerwał. – „I o co chodziło Justynie, gdy mówiła o bracie Bartka. Wszystko jasne” – dodała w myślach.

– Pani to ma przygotowaną odpowiedź na każde pytanie. Niewinny człowiek byłby przynajmniej zaskoczony. Jedno pani powiem. – Śledczy wbił w nią nieprzyjazne spojrzenie. – W spisie eksponatów wymieniona jest złota figurka. Więc jeśli ta nie jest złota, to gdzie ona jest?

– I spodziewa się pan, że odpowiem?

– Prędzej czy później tak. Już my się postaramy znaleźć prawdziwe motywy morderstwa. A jak jest motyw, sprawca też się znajdzie.

Śledczy wyszedł, a Beata odłożyła skarby pana Tyberiusza na półkę. Na razie nie rozstawiała ich po mieszkaniu. „Z pewnością raźniej czują się we czwórkę” – pomyślała.

Następnym gościem był Julian. Beata spojrzała na niego nowymi oczami. Rewelacje wygłoszone przez niego dziś rano, podparte rewelacjami wygłoszonymi przez śledczego, wytrąciły ją z równowagi. Miała mętlik w głowie.

– Siadaj, może kawy? Był tu przed chwilą ten śledczy, który uparł się zrobić ze mnie morderczynię.

– Co za idioci, moim zdaniem to był zwykły rabunek. Złodziej na pewno coś wziął, może na przykład pieniądze z szuflady. Ludzie zabijają dla paru groszy na wódkę. Prawdopodobnie coś go spłoszyło i nie przeszukał domu. Nie każdy jest zaraz koneserem sztuki, żeby połakomić się na obrazy.

Po wygłoszeniu tych kilku zdań Julian zamilkł i nie wyglądało na to, że ma jeszcze coś do powiedzenia.

„Jednak przyszedł tu z jakiegoś powodu” – pomyślała Beata.

– Wiesz, prędzej czy później dowiesz się o tym, Beato – zaczął trochę stropiony. – Nie wiązałem się z kobietami, ponieważ właściwie są mi obce.

– Obce?

– Nie żyłem dotychczas w fizycznym związku z żadną kobietą.

– Preferujesz mężczyzn. – Postanowiła ułatwić mu zwierzenia.

– Można to tak ująć. Przynajmniej tak było dotychczas.

– Dotychczas?

– Może nie znałem siebie do końca? Może miałem głęboko skrywaną traumę z powodu nadopiekuńczej matki? Może twoja chłopięco zgrabna, delikatna i smukła sylwetka o wprost nieziemsko doskonałych proporcjach nawróciła mnie na tradycyjne upodobania? Sądzę, że nie bez powodu wybrałem właśnie ciebie. Chociaż później stchórzyłem z obawy, że…

Niestety, Beata nie dowiedziała się, jakie obawy wzbudziła w Julianie, bo niecierpliwy dzwonek do drzwi zapowiedział nowego gościa.

Hydraulik wszedł do jej mieszkania jak do siebie. Nie ściągnął podkoszulka od progu tylko dlatego, że miał zajęte ręce.

Widok eleganckiego i zadbanego Juliana wstrząsnął nim dogłębnie. Sprawiał wrażenie osobiście urażonego urodą przystojnego gościa.

– Pan w jakiej sprawie? – spytał, obrzucając Juliana nienawistnym spojrzeniem.

– A pan? – odbił piłeczkę Julian.

Przecież jeszcze niedawno był oficjalnym narzeczonym Beaty. Dał wyraźnie do zrozumienia, że są parą, a sprzeczki i nieporozumienia zdarzają się we wszystkich związkach.

– Ja, proszę pana, tu reperuję – powiedział hydraulik, wyciągając na stół

kolejną pieczoną kurę i pewnym ruchem sięgając do kredensu po talerz. – Reperuję w tym domu – powiedział dobitnie – jak we własnym!

13. Oświadczyny

Zagadnięty o kwiaty strażnik przyznał się od razu. Miał w sobie tyle prostego i szczerego uroku, że Beata poczuła się jak czternastolatka podrywana przez licealistę.

Ledwie zrobiła sobie herbatę i włączyła komputer, delikatne pukanie zapowiedziało kogoś, kto nie wiedział, że do archiwum się dzwoni.

Beatę wciąż zadziwiał system zabezpieczeń przy wejściu. Karta, kody, hasła. W archiwum przechowywano dokumentację, którą w rzeczywistości każdy mógł wypożyczyć, zdekompletować czy skopiować.

Gościem okazał się strażnik. Zdemaskowany, poczuł się wyzwolony z więzów tajemnicy.

– Ja tak na chwilkę dosłownie, kolega mnie zastępuje. Wie pani, jak tylko panią zobaczyłem, pomyślałem sobie: ta babka ma krzepę. Ja lubię takie mocne dziewczyny, bo chociaż silne i wysportowane, w środku tęsknią za chłopakiem, który by się nimi zaopiekował. A ja mogę każdemu dołożyć, jak mi tylko podskoczy. Wszystko trenowałem: karate, kickboxing, aikido, o co tylko pani zapyta. Jak ktoś pani dokuczy, to ja mu mogę tak dokopać, że drugi raz nie spróbuje. Proszę tylko powiedzieć, to będzie miał przechlapane.

– Śledczy Adam Zych – powiedziała Beata bez zastanowienia.

Śledczy zjawił się przedwczoraj z nakazem rewizji i zabrał do komendy cztery eksponaty z kolekcji, które zapisał jej pan Tyberiusz.

– Śledczy, to znaczy policjant? – Strażnik zasępił się trochę.

– Żartowałam – powiedziała ugodowo Beata.

– No nie – zaprotestował strażnik. – Jeśli obiecałem nastukać facetowi, to załatwię sprawę, prędzej czy później – powiedział chełpliwie, choć Beata wyczuła w jego głosie lekkie zawahanie.

„Nie jest, dzięki Bogu, kompletnym idiotą” – pomyślała.

– To był test na inteligencję. – Uśmiechnęła się. – Mężczyzna nie powinien kompletnie tracić głowy. – Pozwoliła sobie na prowokację. W końcu pierścień dawał jej wielką moc.

– No to fajnie, ale jakby trzeba było, wystarczy słowo. Kwiaty zrywam w ogródku mojej babci. Jutro przyniosę takie niebieskie dzwoneczki, nie wiem, jak się nazywają. Aha – rzucił już przy drzwiach – ja mam na imię Patryk. I nie żaden pan, tylko Patryk.

– Przemyślę to – odpowiedziała powściągliwie.

Jego zainteresowanie może się z czasem okazać kłopotliwe. Ludzie zaczną w końcu gadać, że strażnik ciągle przesiaduje w archiwum. Wystarczy jej problemów z hydraulikiem. Wszystko zreperowane, wymienione, pomalowane, a ten wciąż chce przychodzić. Ostatnio zasugerował nawet, że zostanie na noc. Nie

przyjął pieniędzy, a ona wolałaby nie mieć u niego takiego kłopotliwego długu wdzięczności.

Magia Czarodziejskiego Pierścienia, czyli kółka od firanki, została udowodniona. Beata była rozbawiona swoimi możliwościami, chociaż zaczynała się zastanawiać, co począć z afektami tych przypadkowo wybranych mężczyzn.

Hydraulik, w rzeczywistości osobnik niezbyt sympatyczny, zachowywał się jak kawaler, ale z pewnością miał żonę i dzieci.

Julian był homoseksualistą.

Strażnik imieniem Patryk niedawno otrzymał dowód osobisty i zamierzał zaciągnąć się na statek jako steward, dlatego zasugerował, znacząco patrząc na Beatę, że dobrze byłoby przedtem się ożenić.

„Zachowuję się trochę jak król Maciuś Pierwszy. Mam władzę, a nie potrafię rozsądnie z niej skorzystać.

Poczekam, aż historia z Tyberiuszem szczęśliwie się zakończy, i wtedy poukładam sobie sensownie życie".

Świadomość, że każdego wroga może zmienić w przyjaciela, dodawała jej pewności siebie.

Popatrzyła na okładkę kolorowego czasopisma pozostawionego przez inspektorkę z architektury.

„Taki Brad Pitt. Czy mogłabym zadzwonić do niego i powiedzieć, żeby się we mnie zakochał? Ciekawe… Albo pojechać gdzieś, gdzie przyjeżdżają miliarderzy. Albo najpiękniejsi modele na świecie. Tyle że nie mogę nigdzie się ruszyć, bo śledczy zaraz wyśle za mną pościg. Jak się wścieknę, to i jego zaczaruję".

Tak w głębi ducha nie wierzyła w moc kółeczka. Czuła się przytłoczona nieoczekiwaną liczbą zaskakujących wydarzeń, które jej się ostatnio przytrafiały. Brak bliskich osób, którym mogłaby się zwierzyć, które wsparłyby ją radą, dzięki czemu nabrałaby dystansu, sprawiał, że miotała się jak liść na wietrze od jednego incydentu do drugiego.

Nie rozumiała, dlaczego ktoś nagle zaczynał darzyć ją miłością (jak strażnik) lub nienawiścią (jak śledczy). Przecież nie prowokowała ani do agresji, ani do miłości. Nie popełniła przestępstwa, ale i nie poddała się też żadnym zabiegom upiększającym w salonie kosmetycznym czy fryzjerskim.

Jej samotność nie była przypadkiem. Niezbyt łatwo nawiązywała kontakty. Nie fantazjowała o podbojach i przygodach miłosnych. Sądziła, że stabilny żywot, jaki wiedli rodzice, jest i dla niej jedynym właściwym programem. Jeśli jednak miałoby się stać inaczej, powinna w pojedynkę, w spokoju i z godnością odegrać scenariusz, który przeznaczenie zazwyczaj rozpisuje na dwoje.

Z drugiej strony jej zajadle zgryźliwy ojciec i wredne dzieciaki ciotki podważały przymioty życia rodzinnego.

„Przereklamowane” – podsumowywała zazwyczaj takie rozmyślania, sięgając pamięcią do wspomnień. „Może zapiszę się na jakieś studia i zajmę się pracą naukową. Chciałabym pojechać do Egiptu, zobaczyć na własne oczy zabytki starożytności. Jak tylko wyjdę na prostą i ureguluję swoje sprawy, podejmę decyzję co dalej”.

Archiwum było doskonałym miejscem na snucie takich rozważań. Po godzinie siedzenia przy komputerze wstawała i przez dziesięć minut spacerowała między półkami. Słyszała, że jeden facet umarł od siedzenia przy komputerze przez dwadzieścia cztery godziny w tej samej pozycji. Teraz, kiedy często spędzała tu sama długie godziny, łatwo było zapaść w bezruch przed ekranem.

Następne dziesięć minut przeznaczyła na zaniesienie Robertowi dokumentacji dotyczącej lokalizacji stacji benzynowej w sąsiedztwie przedszkola.

W swoim dawnym pokoju zastała Juliana. Czerwony na twarzy z tłumionej złości, na jej widok przerwał w pół słowa spór toczony z Bartkiem.

– Jest Beata, więc zakończmy sprawę ostatecznie! – wykrzyknął.

– Ja tu na sekundkę, to dla ciebie, Robert – szybko powiedziała Beata, gotowa natychmiast umknąć.

– A właśnie że zostań, Beato. I zostań moją żoną. Beato, proszę, tym razem poważnie przy świadkach, wyjdź za mnie!

– Ależ, Julianie, przecież ty jesteś homoseksualistą! – karcąco powiedziała Justyna.

– No właśnie – równie karcąco odezwali się jednocześnie Gustaw i Bartek.

– I mam to gdzieś – odparował Julian.

– Nie chcę się wtrącać – odezwał się Robert – ale Beata ma już adoratora, który codziennie przynosi jej kwiaty.

– Jak to? – Julian był wyraźnie zbity z tropu. – Masz już kogoś, Beato?

Pozostali posłali Robertowi spojrzenia pełne wdzięczności.

– Wychodzę stąd – stanowczo powiedziała Beata i nie udzielając żadnej odpowiedzi, wybiegła z pokoju.

Julian przez dwie minuty mierzył ich groźnym spojrzeniem, aż w końcu również wstał i wyszedł.

– Julian się z nią ożeni – powiedziała Justyna. – Widzę to w jego oczach.

– Dominik przyznał, że Julian od czterech dni nie chce się z nim spotykać. – Bartek był załamany.

– Jeśli nie wrobimy jej w to morderstwo, na nic cała robota. Wiecie, może ona rzeczywiście go udusiła? No, przecież Julian całkiem oszalał. Pewno już wcześniej jej się oświadczył. Stuknęła starego jak nic – powiedział z przekonaniem Gustaw.

Tego samego zdania był śledczy, który późnym popołudniem zadzwonił do drzwi Beaty.

– Ekspertyza figurki wykazała – powiedział, przeszywając Beatę wzrokiem – że jest jednak szczerozłota. A nie pozłacana, jak pani mi tu opowiadała.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Beata. – Przecież ona waży chyba ze dwa kilo! Poza tym oryginalna, złota, znajduje się w Nowym Jorku w prywatnych rękach. Była nawet wystawiana gościnnie w British Museum.

– Coś dużo pani wie o tych kosztownościach – powiedział jadowicie śledczy i aż pobladł z wściekłości. – Mówiłem, że prędzej czy później odkryjemy motyw morderstwa. I nie myliłem się. Radzę pani przyznać się już teraz. To będzie okoliczność łagodząca, chociaż według mnie pani zasługuje na najwyższy wymiar kary. Ludzie z chciwości popełniają najpodlejsze czyny. A pani co, źle może było? Niezależna, żadnych dzieci na utrzymaniu, ładne mieszkanie, stała praca. Po co sięgać po cudze?

– Chyba pan zwariował! – wykrzyknęła Beata. – Ja nie mam nic wspólnego z tym morderstwem! Nawet mi przez myśl nie przeszło, że to złota figurka.

– Nie będę tracić czasu. Następnym razem przyjdę z nakazem aresztowania – zapowiedział śledczy i skierował się do wyjścia.

Beata zamknęła za nim drzwi i stała przez chwilę bez ruchu. Potem gwałtownie nacisnęła klamkę i wybiegła na klatkę schodową.

– Panie komisarzu! – zawołała za nim.

Z uśmiechem satysfakcji zatrzymał się na podeście i powoli, teatralnie się ociągając, zaczął wchodzić z powrotem po schodach.

– Słucham? – spytał oficjalnym tonem.

– No, już chyba nic – powiedziała Beata przepraszająco. I przekręcając kółeczko na palcu, wyszeptała: – Kochaj mnie.

Śledczy, jeszcze bardziej wściekły, zbiegł ze schodów, nie oglądając się za siebie.

Wyszedł przed budynek i skierował się do samochodu. Tego samego, którym odjechał, kiedy spotkali się w okolicy domu pana Tyberiusza.

Beata powierzyła swój los pierścieniowi. Dotychczasowe doświadczenie pozwoliło jej zasnąć spokojnie tej nocy.

Rano promienie słoneczne wdarły się do sypialni, zapowiadając kolejny upalny dzień lata. Obudziła się wypoczęta i dość zadowolona.

Weszła na bosaka do łazienki, przejrzała się w lustrze, potem postanowiła zajrzeć do żółwi.

Na sofie i na fotelu w wielce swobodnych pozach spały dwa satyry.

– No tak – powiedziała Beata – pierścienie, satyry, bajadery i tak dalej. Jesteśmy w domu.

Odwróciła się i poszła z powrotem do łazienki. Tym razem zamknęła za sobą drzwi.

„W końcu głupio by było, gdyby mnie taki satyr zastał siedzącą na sedesie”

– pomyślała.

Już ubrana, przygotowała śniadanie. Poruszała się bardzo cicho, starając się nie zagłuszyć delikatnego pochrapywania dobiegającego z dużego pokoju.

Zjadła kanapkę z twarożkiem, a potem ustawiła na tacy spodeczek z ciasteczkami i dwie filiżanki herbaty.

– Herbatka – powiedziała, stawiając tacę na stoliku w salonie. Uśmiechała się pogodnie, jakby częstowanie ich śniadaniem należało do codziennego rytuału.

Satyry zerwały się z jednocześnie. Chciały rzucić się do ucieczki, ale kiedy ich wzrok padł na tacę ze śniadaniem, zawahały się.

„Łakomczuchy – pomyślała – i tu was mam".

– Wychodzę do pracy – powiedziała, wsypując pokarm dla żółwi do akwarium.

Pogłaskała małych przyjaciół po pancerzach i opuściła pokój, pozostawiając satyry w rozterce.

W pracy wszystko przebiegało jak co dzień. Strażnik zostawił kwiaty, ale sam nie pojawił się.

Prawdopodobnie dał jej czas na ocenę wiersza, jaki napisał i pozostawił na kartce opartej o wazon.

Te piękne kwiaty
są dla Beaty.
Niech mnie polubi,
bom serce zgubił,
czekając na nią.

Patrzcie, państwo! Beata była pod wrażeniem. Wydawał się chłopakiem o nieskomplikowanej osobowości, dalekim od wyrażania uczuć poprzez poezję.

Tymczasem Bartek przeżywał katusze.

Wcześnie z rana zadzwonił do niego śledczy.

– Wie pan – powiedział niby to dobrotliwie, ale z wyraźnie wyczuwalną groźbą – zastanawiałem się nad zgłoszonymi przez pana sugestiami i coś mi tu nie pasuje. Używa pan wyraźnie osoby pani Beaty Smugowskiej jako zasłony dymnej, by ukryć jakieś fakty. Odnoszę wrażenie, że pan nie mówi mi wszystkiego. Więc po pierwsze…

Po tym telefonie Bartek postanowił zadziałać radykalnie. Za jednym zamachem ukręcić łeb dwóm hydrom. Trzeba jej wybić z głowy Juliana i *vice versa*. Beata powinna natychmiast zniknąć, nie informując śledczego, dokąd wyjeżdża. Takim postępkiem potwierdzi swoją winę.

Nie jest łatwo znaleźć w urzędzie ustronne miejsce, gdzie można by swobodnie porozmawiać przez telefon.

Wyszedł z budynku i przebiegł po pasach na wysepkę przystanku

tramwajowego. W silnym słońcu od razu się spocił. Wyciągnął telefon komórkowy. Trzeba działać szybko, dopóki nikogo nie ma na przystanku.

– Słuchaj, Dominik, musimy na jakiś czas usunąć Beatę. Wszyscy pomyślą, że prysnęła przed policją. Ukryjemy ją na tej starej działce po dziadkach, wiesz gdzie. Trzeba tylko przygotować domek, żeby nie rozpoznała miejsca. Zasunąć okiennice, jak na zimę. Zabrać różne klamoty po babci. Na to odludzie pies z kulawą nogą nie zajrzy. Potem wypuścimy ją w jakimś innym miejscu i nie będzie wiedziała, gdzie była.

14. Nowi przyjaciele

Jednak naczelnik nie zapomniał o niej.

– No i jak tam w archiwum? – zagadnął niby dobrotliwie, mijając Beatę na korytarzu.

– Wdrażam nowy system archiwizacyjny i przenoszę całą dokumentację do komputera – odpowiedziała pogodnie.

– Wprowadzanie do komputera. Do komputera… – wymamrotał.

Naczelnik znany był ze swej niechęci do nauki czegokolwiek, a w szczególności obsługi komputera. Nie wiedział nawet, gdzie jest klawisz „Enter". Jego komputer został włączony tylko raz, rok temu, kiedy informatyk zainstalował nowy program. Naczelnik nie zgodził się też, by Wydział Ochrony Środowiska miał, poza pocztą i wewnętrzną siecią, swobodny dostęp do internetu. Chociaż pozostałe wydziały korzystały z tego dobrodziejstwa od zawsze.

– To właściwie robota dla kogoś młodego. – Popatrzył na nią krytycznie. – To znaczy, dla kogoś znacznie młodszego, chciałem powiedzieć. No, jeszcze się zastanowię, co z panią zrobimy. Potrzebne są radykalne rozwiązania. Bezrobocie wśród młodych to poważny problem społeczny!

I poszedł, kołysząc się na boki na krzywych nogach.

Taki obrót sprawy wywołał natychmiastową reakcję Beaty.

– Panie naczelniku! – zawołała.

Grubas obrócił się niechętnie.

– Która godzina? – spytała, od niechcenia przekręcając na palcu kółeczko i szepcząc cichutko do siebie.

– Nie wiem – odpowiedział i wszedł do swojego gabinetu.

– Ale ja wiem – zachichotała. – To godzina twojej zguby, buraku!

Chociaż kółeczko było Pierścieniem Miłości, Beata używała go do rozwiązywania bieżących problemów niemających z miłością nic wspólnego.

– Wszystko staje się łatwe, kiedy ludzie cię kochają – podsumowała. – Prawdziwą miłością zajmę się potem, kiedy już wybrnę z kłopotów.

Biorąc pod uwagę, że jako właścicielka złotej figurki stała się kobietą majętną, owo „potem" zapowiadało się wręcz bajecznie.

Rano, zaraz po wizycie strażnika, telefonicznie, jak robił to ostatnio codziennie, zapowiedział się Julian.

Beata wolała, żeby odwiedzał ją w pracy. Jego wizyta u niej w domu, podczas której doszło do konfrontacji z hydraulikiem, mocno wytrąciła ją z równowagi.

Zdawała sobie sprawę, że Julian, nawet gdyby nie był homoseksualistą, nie zainteresowałby jej jako potencjalny partner. Był zwyczajnie nudny. Zbyt poważny, pozbawiony poczucia humoru i przyziemny. W gruncie rzeczy zajmował

się wyłącznie pielęgnacją swojego wyglądu.

Opowiadał o zmianach poczynionych w domu Tyberiusza. O tym, które stare szafy zastąpił swoimi. Jak ustawił meble w pokojach, których zamierzał używać. Z jego słów Beata zorientowała się, że chociaż planował urządzić w przyszłości część domu dla niej, na razie miał stałego lub dochodzącego współmieszkańca. Domyśliła się, że był nim Dominik.

Sprawę kolekcji pozostawiono na później. Julian z matką chcieli najpierw wycenić wszystkie eksponaty. Dlatego musieli znaleźć uczciwego eksperta. Teraz zbiory zmagazynowano w pokojach na poddaszu, z wyjątkiem tych, które już poprzednio zdobiły pokoje w różnych częściach domu.

Beata nie próbowała tłumaczyć, że ekspert ekspertowi nierówny. Wartość tych eksponatów zależy nie od wagi czy materiału, z którego je wykonano, lecz od ich ceny na rynku falsyfikatów.

Julian zwykle wpadał na kwadrans na kawę. Snuł nudne opowieści o meblach, szufladach i bieliźnie pościelowej. Co jakiś czas zerkał na Beatę z uśmiechem zadowolenia, jakby podziwiał sam siebie za nowo odkryte upodobania. Czasami pozwalał sobie na bardziej poufałe gesty, ale Beata, znając prawdę i sama będąc z natury osobą powściągliwą, w porę go hamowała.

Większą przyjemność sprawiały jej kuksańce, podszczypywania i niby przypadkowe dotknięcia Patryka.

Domyślała się, że tak samo zachowuje się w stosunku do swoich koleżanek. Należał do mężczyzn lubiących fizyczny kontakt z kobietami, nie tylko z tymi, które mu się szczególnie podobają. Mówiąc dokładniej, podobała mu się większość, ale nie robił nic na siłę, nie prowokował, czekał spokojnie, co przyniesie los.

Wobec hydraulika zachowywała duży dystans. Drzwi do sypialni trzymała zamknięte, w dużym pokoju na sofie rozłożyła książki. W trakcie jego wizyt zawsze wynajdowała sobie absorbujące zajęcia. Albo czytała poważną literaturę naukową i robiła notatki w laptopie, albo szorowała garnki czy prasowała i sprzątała. Zresztą już po drugiej wizycie zagroziła, że jeśli będzie się do niej zalecał, zrezygnuje z jego usług.

Wreszcie miała go serdecznie dość i zaczęła udawać, że nie ma jej w domu. Nie była to metoda skuteczna, bo w końcu za którymś jego podejściem i tak musiała otworzyć. Tyle że przynajmniej przedtem zdążyła zawsze trochę się zdrzemnąć lub poleżeć na tarasie.

Dla większości ludzi towarzystwo hydraulika byłoby nie do przyjęcia. Jednak Beata nie miała jeszcze przyjaciół i nie usiłowała ich zdobyć. Wtargnięcie kłopotliwego obcego człowieka w jej poukładany świat chroniło ją przed kompletnym zasklepieniem się w odosobnieniu.

Natarczywość hydraulika była jak kara i memento. Nieustające

przypomnienie, że jak najszybciej musi jego obecność zastąpić obecnością innych, ciekawszych i wartościowych przyjaciół.

Tymczasem przekorny los sam podsuwał Beacie nowych znajomych. Satyry pod jej nieobecność panoszyły się po mieszkaniu jak we własnym gaju oliwnym.

Nie umiała wytłumaczyć, skąd się pojawiały i gdzie znikały. W każdym razie dla innych mieszkańców musiały być niewidzialne, bo dotychczas nikt nie wezwał policji ani nie zadawał jej żadnych pytań.

W urzędzie archiwum stało się teraz jej drugim domem. Świetnie radziła sobie z klasyfikowaniem dokumentacji. Zadzwoniła nawet do instytutu z pytaniem, czy nie organizują jeszcze innych szkoleń, które mogłyby w przyszłości ułatwić jej znalezienie nowej pracy.

„Może powinnam studiować informatykę?" – zastanawiała się.

Kolejną osobą, która od dwóch dni natrętnie ją odwiedzała, był Bartek. Wpadał na chwilkę pogadać i odpocząć od rozgardiaszu wywoływanego przez hałaśliwych petentów. Szczególnie uskarżał się na Słowika. Słowik był znany również Beacie. Właściwie znano go w całym urzędzie. Od lat miał tu sprawy, niemożliwe do rozwiązania bez małych ustępstw z jego strony. A na te ustępstwa, choćby i korzystne dla siebie, nie chciał się zgodzić. Przybywał więc z kolejnym podaniem, w którym groził, nakazywał i pouczał. Bo pouczanie również było jedną z jego pasji.

Problem polegał na tym, że był nie tylko niezrównoważony psychicznie, ale miał też posturę King Konga. Czasami, tocząc pianę z ust, grzmiał jak sam gromowładny Zeus. Innym razem ogarniał go morderczy szał i pędząc po korytarzu, próbował dopaść umykającego w popłochu naczelnika lub którąś z przerażonych sekretarek. Słowik, Dzień Sądu Ostatecznego – tak przezywano go w urzędzie.

– Ach, ten Słowik – zaczął Bartek. – *By the way*[1], Julian nadal chce się żenić? Spotykacie się?

– Wpada tu czasami – odpowiedziała Beata, nie rozwijając tematu.

– A jak tam układa ci się w domu? Balujesz często? Masz już jakieś towarzystwo?

– Co to za przesłuchanie? – zirytowała się Beata.

– Tak się zastanawiałem… Ciągle sama w domu. Masz teraz luz po śmierci rodziców, rozejrzyj się, poszukaj przynajmniej koleżanek na babskie ploty. A może już gdzieś latasz?

– Bartek, nie twój interes.

– Przecież chcę ci tylko doradzić, czego się wściekasz?

Wątpiła w Bartkową bezinteresowność.

I rzeczywiście. Zbierając informacje, Bartek dopracowywał swój misterny plan.

Dzwonek zwiastujący nadejście osoby zainteresowanej przejrzeniem dokumentacji przerwał inwigilację. Bartek z ociąganiem wstał z krzesła.

– No, to idę.

– No, to idź – poparła decyzję Beata.

Wcisnęła przycisk otwierający drzwi.

Na progu pojawiła się zwalista postać pana Słowika.

– Pan inspektor Nosicki – ucieszył się na widok Bartka. – Poszukuję właśnie pana naczelnika. Ale skoro go nie ma, to ja sobie porozmawiam z panem, panie Nosicki! – dodał już sroższym tonem.

Beata, zadowolona z kwaśnej miny Bartka, pośpiesznie zamknęła za nimi drzwi.

Wracając do domu, nie czuła się zestresowana. Nie przejmowała się poranną napaścią naczelnika. Jutro okaże się, czy pierścień zadziałał.

Wcale nie chciała, żeby ci ludzie zakochiwali się w niej. Wystarczyłoby, żeby przestali się czepiać. Naczelnik nie miał żadnego powodu do zwolnienia jej z pracy. Skąd w niektórych bierze się potrzeba dokuczania innym? Prowokuje ich bezbronność potencjalnych ofiar? Odczuwają potrzebę demonstracji siły?

Upał tego lata zadziwiał wszystkich. Równie wysokie temperatury odnotowano ostatnio w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Przekręcała klucz w drzwiach z nadzieją, że za chwilę odnajdzie dobrodziejstwo chłodu panującego w mieszkaniu dzięki opuszczonym żaluzjom.

W wyobraźni czuła już pod stopami zimny dotyk kafelków na podłodze w łazience. Jednak po wejściu do mieszkania natychmiast zapomniała o upragnionym chłodzie. Dzisiaj satyry nie opuściły swoich legowisk.

„Co się dzieje?” – pomyślała, patrząc na dwóch kudłatych facetów siedzących na podłodze z głowami wspartymi o sofę i zajadających suszone figi.

Zrobili trochę skruszone miny, powzruszali ramionami, pomamrotali coś do siebie, ale nie sprawiali wrażenia, że zamierzają zniknąć.

Weszła z groźną miną do pokoju. Zmarszczyła brwi i rozłożyła ręce w geście znamionującym oburzenie.

– Co wy tu jeszcze robicie?

Z góry zakładała, że mówią w języku antycznej Grecji, więc nawet gdyby zaczęła na nich krzyczeć, i tak by nie zrozumieli.

Niższy i grubszy satyr, który wyleczył Rolanda, wskazał palcem na pustą filiżankę i pogładził się po brzuchu.

– Herbaty? – spytała Beata. – Czekacie na herbatę i potem sobie pójdziecie? No dobrze, niech i tak będzie. W taki upał zachciewa im się gorącej herbaty. Też coś.

Zdjęła sandały i na bosaka weszła do kuchni.

Satyry obserwowały ją z zaciekawieniem, nie ruszając się z podłogi.

Włączyła czajnik, wyciągnęła filiżanki z szafki. Poukładała zakupy w lodówce. Wyjęła jabłko z koszyka i ugryzła. Ten dźwięk wywołał zainteresowanie w dużym pokoju. Położyła jeszcze dwa jabłka na plecionej tacy. Niech tam. Zaparzyła herbatę.

Satyry zerwały się z podłogi.

Beata postawiła tacę na stole i odwróciła głowę, wyraźnie zakłopotana.

Niższy siorbnął herbatę i skrzywił się. Pokręcił przecząco głową.

– Powinna być z cytryną i cukrem – domyśliła się. – Już przynoszę. – Z ulgą wyszła do kuchni.

Satyry były nagie!

Przedtem, zafascynowana samym faktem ich istnienia, nie zwróciła uwagi na szczegóły anatomiczne. Zresztą gęste, ciemne owłosienie i ciemna karnacja doskonale maskowały ten fakt. Ale teraz nie było żadnych wątpliwości. W jej pokoju znajdowało się dwóch nagich facetów. Z różkami na głowie i kopytkami zamiast stóp, ale mimo to bez wątpliwości byli to faceci!

Pokroiła cytrynę na plasterki i zabrała z kuchni cukierniczkę.

– Proszę – wrzuciła po plasterku do filiżanki – ile łyżeczek cukru?

Spojrzenie łakomych oczu podpowiedziało jej, że gdzieś między trzy i cztery. Dorzuciła też po jeszcze jednym plasterku cytryny.

Siorbanie usatysfakcjonowało ją. Dawno nikt nie był tak zadowolony z efektów jej działania. Poczuła się jak wielka dama goszcząca na herbatce dwóch naprawdę znamienitych gości.

– Usiądźmy – zaproponowała.

Wybrała fotel. Niższy satyr zajął sofę, wyższy – drugi fotel.

– Może powinniśmy się sobie przedstawić – rozpoczęła konwersację, sięgając po filiżankę. – Ja jestem Beata. Beata – powtórzyła, wskazując na siebie palcem.

Popatrzyła kolejno na każdego z nich.

– Enean – odpowiedział wyższy.

– Emoen – odezwał się niższy.

„I to by było na tyle” – pomyślała Beata. „Nie przewiduję zwierzeń ani dyskusji”.

Wskazała dłonią w kierunku żółwi. Skłoniła głowę, potem wskazała na Emoena i powiedziała:

– Dziękuję.

Emoen i Enean wskazali palcem na herbatę, skłonili głowy i powiedzieli jednocześnie:

– Dziękuję.

Siedzieli i popijali herbatkę. Było miło. Beata czuła się przyjemnie rozleniwiona.

Satyry chyba miały wprawę w spędzaniu czasu na przyjemnym nicnierobieniu i cieszeniu się wolno upływającymi minutami. Tak potrafią chyba tylko małe dzieci. Beata pierwszy raz w dorosłym życiu czerpała przyjemność z faktu samego istnienia tu i teraz, w tej przestrzeni i w tym czasie.

Za uchylonymi drzwiami balkonowymi gruchały gołębie. Słychać było głosy dzieci bawiących się w piaskownicy i siedzących na ławkach dorosłych, którzy rozprawiali o błahostkach. Czasami ktoś skarcił lub przywołał dziecko, poza tym spokój.

Beata siedziała w fotelu, z nogą założoną na nogę, kiwając bosą stopą i popijając herbatę.

Satyry rozsiadły się wygodnie. Głowy ułożyły na oparciach sofy i fotela, co jakiś czas popijały łyk herbaty, demonstrując przy tym, jak bardzo im smakuje, machały raciczkami nogi założonej na nogę.

Prawdziwa popołudniowa sjesta.

Dzwonek do drzwi nie zrobił na całym towarzystwie wrażenia.

– Hydraulik – powiedziała lekceważąco Beata.

Satyry pokiwały twierdząco głowami, z minami również wyrażającymi lekceważenie.

Siedzieli nadal w milczeniu.

Dopiero kiedy zaczęło zmierzchać, a Beata poczuła lekką senność, uniosła się z fotela i powiedziała:

– Chłopaki, czas na was. Zapraszam na jutro. Możecie wpaść z samego rana. Pa, pa. – Pomachała dłonią.

Chłopaki podniosły się zgodnie.

– Pa, pa. – Odmachały uprzejmie i wyszły na taras.

Mały rumor, któremu nie towarzyszyły okrzyki zdziwienia czy przestrachu, utwierdził Beatę w przekonaniu, że wizyty satyrów są jej prywatnym przeżyciem transcendentalnym.

I nie analizowała już więcej związków przyczynowo-skutkowych, chociaż na stole pozostały dwie jak najbardziej materialnie puste filiżanki po herbacie.

Kolejny dzwonek do drzwi przyniósł niespodziankę. Beata spodziewała się nieustępliwego hydraulika, tymczasem za drzwiami stał śledczy.

W pierwszej chwili nie poznała go. Właściwie wyglądał nawet interesująco.

Znikły obwisłe i rzadkie wąsiki. Włosy, umiejętnie przystrzyżone, nabrały bujności. Wymięte polo zastąpił sportową koszulą z krótkim rękawem. Spodnie zapewne pożyczył od szwagra, bo trudno było jego samego podejrzewać o tak wyrafinowany gust.

Beata uśmiechnęła się domyślnie.

Miłość czyni cuda.

– Pani Beato – zaczął bardzo poważnie już od progu.

Wprowadziła go do pokoju, gdzie przysiadł sztywno na fotelu, omiatając odruchowo wzrokiem trzy puste filiżanki.

– Pani Beato, ostatnio wiele myślałem nad pani rolą w tej przykrej sprawie morderstwa Tyberiusza Janowskiego. Pojawiły się nowe okoliczności i w ich świetle muszę pani postawić jedno zasadnicze pytanie. Proszę sobie jeszcze raz przypomnieć swoje zeznania, może coś istotnego umknęło pani uwadze? – spytał, patrząc na nią jak w obraz.

I to w jakiś bardzo piękny obraz.

[1] *By the way* (ang.) – przy okazji.

15. Porwanie

– Wpadłem tylko na chwilkę – powiedział hydraulik, stając w drzwiach. – Pracuję dziś do osiemnastej i pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę, czy wszystko działa.

– Działa – odpowiedziała Beata. – Działa bardzo dobrze.

– Zerknę do łazienki. Wczoraj wpadło mi do głowy, czyby nie wymienić tych dwóch kafelków w narożniku i nie wstawić na ich miejsce dwóch kształtek ceramicznych z półką. Widziałem, jak kolega takie zakładał. Może na ten przykład piaskowego koloru. Pasowałyby w sam raz. Albo niebieskie. Teraz modne wszystko w stylu śródziemnomorskim.

Hydraulik przejawiał niezmordowany upór w potrzebie modernizacji i konserwacji mieszkania Beaty.

„Chyba pokutuje za życia – pomyślała Beata – za to, jak mnie traktował, zanim użyłam pierścienia".

– Przemyślimy to jutro – odparła.

– Jutro. No dobrze – zgodził się potulnie i spoglądając tęsknie w stronę kuchni, podszedł do drzwi wejściowych. Obiadek byłby dobrym pretekstem, żeby zostać dłużej.

Zamykając za nim drzwi, usłyszała jakiś hałas na klatce schodowej. Weszła do kuchni i wyjrzała przez okno na ulicę.

Starsza para z dołu uczyła się jeździć na wrotkach. To zapewne oni tak hałasowali. Schodzili po schodach z głośnym tupotem, trzymając się poręczy.

Pani widocznie była bardziej zaawansowana, bo radziła sobie o wiele lepiej. Pan bez przerwy balansował na granicy upadku. Asekurowali się wzajemnie, jedno chroniło drugie. Jak zwykle przekomarzali się przy tym, poszturchiwali i obejmowali pieszczotliwie. Beata pokręciła głową, czując ukłucie zazdrości. Wyglądali, jakby poznali się dopiero miesiąc temu.

Podobno historie miłosne zdarzają się nawet w domach starców.

„Właściwie dziwne, że tak rzadko. Starość to najwłaściwsza pora na romanse" – pomyślała Beata. „No bo co tu robić z taką ilością wolnego czasu?"

Selena wyraziła podobną opinię, ale Beata nie pamiętała dokładnie, o co chodziło.

Wróciła do domu zaledwie pół godziny temu. Cieszyła się, że ma już za sobą wizytę hydraulika.

Teraz popołudnia i wieczory spędzała z satyrami.

Przygotowała obiad. Tylko dla siebie, bo nic z jej menu poza zieloną sałatą i rzodkiewkami nie interesowało satyrów. Ostatnio nie wiadomo dlaczego była przekonana, że polubią frytki. Niestety pudło.

Więc nakładała na talerz porcję obiadu dla siebie, a na dwa pozostałe

zieleninę dla satyrów.

Po obiedzie następował obrządek parzenia herbaty.

Satyry nie były koneserami żadnego konkretnego gatunku. Zwykła angielska z torebki w pełni je satysfakcjonowała. Najważniejsze okazały się cytryna i cukier.

Mistrzem ceremonii został Emoen. Co prawda niższy, ale za to silniejszy, wywalczył sobie to prawo w pojedynku na pięści.

Najpierw wlewał wodę do filiżanki, przyglądał się, jak nabiera barwy. Potem kroił obraną ze skórki cytrynę, wymierzał, jakiej grubości plasterek zapewni właściwy kolor i smak. Potem dosypywał cukru, nigdy nie mogąc się przy tym powstrzymać przed skosztowaniem herbaty z każdej szklanki. Czasami do którejś dolewał wody albo dodawał cytryny.

Beata odniosła wrażenie, że poza figami, które czasami przynosili, i sałatą nie znają żadnej przetworzonej żywności. Trochę bała się proponować im wino z obawy przed bachanaliami, które przecież są satyrom przypisane. Co będzie, jak zaczną pląsać po osiedlu w dwuosobowym korowodzie, wywijając kopytkami i namawiając dziewczyny i kobiety do odgrywania bachantek?

Przygotowała sobie porcję kluseczek.

Skrzypnięcie drzwi balkonowych zapowiedziało przybycie gości.

Uśmiechnęła się. Żółwie na pewno wypełzły na wysepkę, wyczekując osobnego powitania. Podczas wizyt satyrów przejawiały bardzo dużą aktywność.

Emoen podszedł do akwarium i wziął Rolanda do ręki. Zerkając kątem oka, upewnił się, że Beata go obserwuje. Chwilę spoglądał gdzieś w kierunku sufitu, po czym włożył żółwia do ust, udając, że chce go zjeść.

– Emoen! – zawołała karcąco Beata.

Satyr wzruszył ramionami, wypluł Rolanda i położył z powrotem do akwarium. Enean postukał w pancerze pozostałych i obrządek powitania został zakończony.

– A może ubierzecie się w moje szorty? – spytała Beata.

Satyry popatrzyły na nią z zainteresowaniem.

Pobiegła do sypialni.

Wciąż ją peszyło towarzystwo dwóch zupełnie nagich mężczyzn.

Byli trochę niżsi od niej. Mocno zbudowani, umięśnieni, choć z lekką warstwą tłuszczyku na brzuchach.

Przyzwyczaiła się już do widoku ich kosmatych pup, silnych ud i szerokich klatek piersiowych, pokrytych pierścieniami lśniących czarnych loczków.

Jednak gdy w podskokach przemierzali drogę z kuchni do pokoju lub przyjmowali zbyt swobodne pozy, rozwalając się na sofie czy fotelu, czuła zakłopotanie. Próbowała więc namówić ich, by zasłaniali się fartuszkiem, ręcznikiem czy kocykiem.

Każda z tych rzeczy początkowo budziła ich zaciekawienie. Posłusznie

przepasywali się, ale po kwadransie czy dwóch już siedzieli na ręczniku lub wiązali fartuszek kuchenny pod brodą jak śliniaczek, na zmianę zasłaniając i odsłaniając nim twarz. Pokładali się przy tym się śmiechu. Często kończyło się to walką na pięści lub zapasami w stylu klasycznym.

Szorty Beaty, zielono-błękitne i biało-czarne, wzbudziły zachwyt.

Jednak dwadzieścia minut później, kiedy już pili herbatę, Enean wstał nagle, ściągnął szorty i włożył je na głowę.

Emoen przyjrzał mu się z akceptacją i zrobił to samo.

Dla odmiany nie podniósł nogawek w górę jak Enean, lecz podwinął, wystawiając na wierzch różki.

Obydwaj bardzo z siebie zadowoleni, przez resztę wieczoru co jakiś czas poszturchiwali Beatę, domagając się wyrazów uznania.

Ostatnio do rytuału należało również wspólne oglądanie telewizji.

Satyry mamrotaniem komentowały obserwowaną akcję. Jednak na ogół przyjmowały wszystko z zadowoleniem, akceptująco pomrukując i potakując. Od czasu do czasu głębokim skinieniem głowy obydwaj zgodnie dawali do zrozumienia, że to, co widzą, jest całkowicie po ich myśli.

Za oknem zaczęło zmierzchać. Emoen i Enean troszkę się zdrzemnęli i Beata pomyślała, że dopadła ich senność z powodu spadku ciśnienia. Czyżby zanosiło się na deszcz?

– Już prawie ciemno – powiedziała. – Pora się zbierać i zmykać.

Wstali jak zwykle z ociąganiem.

– Pa, pa. – Pomachała im.

– Pa, pa – odpowiedzieli, znikając za drzwiami tarasu.

Mały rumor na trawniku pod domem jak zwykle rozśmieszył Beatę.

Na wieczór zaplanowała analizę warunków podłączenia do internetu proponowanych przez operatora telewizji kablowej. Teraz, kiedy spłata kredytu nie stanowiła problemu, mogła sobie pozwolić na taki wydatek.

Nalała mleka do szklanki i rozłożyła dokumenty umowy na kuchennym blacie.

Zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała niski, ale bardzo przyjemny kobiecy głos.

– Pani Beata Smugowska? Mamy tu mały problem. Dzwonię z domu przy ulicy Kochanowskiego dwa. Pani znajomy, Julian Wilamowski, zasłabł na przyjęciu, które zorganizowaliśmy jako rocznicowe spotkanie klasowe. Wie pani, ludzie z liceum Krasickiego. Julian podał pani numer, ponieważ nie chce niepokoić matki. Ona od razu zaczęłaby histeryzować. Zabawa trwa, a wszyscy już sporo wypili. Czy mogę liczyć, że podrzuci go pani do domu?

– Dobrze, przyjadę – powiedziała Beata bardzo zdziwiona prośbą Juliana. Nic nie wspominał o spotkaniu klasowym. Może to kolejna próba zwrócenia jej

uwagi.

Zgodnie z instrukcją zaparkowała w pobliżu wąskiego przesmyku pomiędzy ogrodzeniami dwóch domków jednorodzinnych prowadzącego na ulicę Kochanowskiego.

Ulica była oświetlona, ale akurat tutaj panowały ciemności.

Weszła pomiędzy wysokie żywopłoty.

Napastnicy byli zamaskowani, ale i tak niewiele by zobaczyła, bo od razu zarzucili jej na głowę jakiś worek, a pod żebrami poczuła twardą lufę pistoletu.

– To tylko porwanie, nie zrobimy ci krzywdy – usłyszała zduszony szept. Najwyraźniej ta informacja miała ją uspokoić.

Zresztą zanim zdążyła otworzyć usta do krzyku, poczuła dziwną woń, ogarnęła ją słabość i straciła przytomność.

Obudziła się w nieznanym pomieszczeniu. Rozejrzała się wokół. Pokój w małym domku. Drzwi do łazienki uchylone, okno zabezpieczone zamkniętą okiennicą, drzwi wejściowe, do których podeszła z wahaniem, zamknięte na klucz. Szarpnęła energicznie za klamkę. Poczuła lekki strach. Była uwięziona. Paliły się dwie lampy u sufitu i boczny kinkiet nad stolikiem. Na blacie zobaczyła dużą kartkę z brystolu zapisaną trochę kulfoniastym charakterem pisma: *Pani Beato, chcemy dać* p*ani nauczkę. Usiłuje* p*ani poślubić geja w celu zawłaszczenia spadku, który ma zostać przeznaczony dla naszej organizacji zwalczającej homofobię. Nie dopuścimy do tego i jeśli nie zostawi* p*ani w spokoju Juliana Wilamowskiego, następnym razem może Pani mieć dużo większe kłopoty niż dwudniowe porwanie. Te dwa dni proszę wykorzystać na przemyślenia. W razie nieposłuszeństwa nie zawahamy się posłać Pani tam, dokąd odszedł nasz wspólny przyjaciel Tyberiusz.*

Beata była zdumiona. Nigdy w życiu nie wpadłaby na pomysł, że za porwaniem może stać organizacja gejowska.

„Hm, nie orientuję się w temacie, ale wydaje mi się, że geje są raczej łagodnymi facetami, więc mogę czuć się w miarę bezpiecznie. Zapowiedzieli dwudniowe porwanie, zatem pozostaje mi uzbroić się w cierpliwość. Na zewnątrz ktoś na pewno obserwuje dom".

Podeszła do okna. Przez szpary w deskach okiennic przeświywały jakieś pojedyncze światełka. Im dłużej patrzyła w ciemną przestrzeń, tym silniejsze odnosiła wrażenie, że przy domu jest ogród.

Odnalazła łazienkę z prysznicem, umywalką i WC. Była też lodówka z zapasem konserw, jabłka, pomidory, pieczywo w plastikowym pojemniku.

Był telewizor, a na półkach kilka książek i stosik gazet.

„Ciekawe, co można powiedzieć o guście i charakterze gospodarzy, przeglądając ich książki. Tu z pewnością mamy do czynienia z przypadkowym zbiorem. Cóż, zobaczmy" – pomyślała Beata i zaczęła przeglądać kolejne tomy.

Jednak to nie literatura stała się kluczem do rozwiązania zagadki. Odpowiedź

przyniósł mały stary słowniczek angielski z dedykacją na pierwszej stronie:

Bartłomiejowi Nosickiemu za udział w konkursie o nagrodę kierownictwa kolonii letnich w Pogorzelicy.

Beata wybuchnęła śmiechem. Bartek porywacz! A to słynny domek na działce położony na terenach przeznaczonych pod trasę szybkiego ruchu. Dawna działka babci, niechciana przez wnuki. I oto, proszę, przydała się na coś!

16. Odkrycie

Nieobecność Beaty w pracy została zauważona przez kilka osób. Oczywiście wszyscy jej wielbiciele byli poważnie zaniepokojeni. Strażnik pierwszy przybiegł do jej dawnego pokoju i spytał, czy nie jest przypadkiem chora. Może była u lekarza i przyniosła zwolnienie? Nie chciał dzwonić do kadr, bo gdyby chodziło o zwykłe spóźnienie, narobiłby jej kłopotu.

– Nie mam pojęcia, co się stało – powiedział swobodnym tonem Bartek. – Może utknęła w korku.

– Może miała wypadek! – wykrzyknął z niepokojem Julian, który też ich odwiedził. Zastawszy zamknięte drzwi do archiwum, przyszedł zasięgnąć informacji u starych znajomych.

– Nie przesadzaj – odezwała się Justyna. Irytowało ją to nagłe zainteresowanie Beatą przejawiane przez tylu różnych mężczyzn.

W południe, zmęczeni ciągłym nękaniem z powodu nieobecności Beaty, zadzwonili do niej na komórkę i do domu. Nikt się nie zgłosił.

Około trzynastej nieśmiało zajrzał do pokoju naczelnik.

– Pewno nie wiecie – zapytał, rozglądając się po pokoju – gdzie się podziewa pani Beata?

– Nie przyszła dzisiaj. I nawet nie raczyła zawiadomić dlaczego – pośpieszył z odpowiedzią Bartek.

– No właśnie – dodał Gustaw. – Może robi tak częściej, ale dzisiaj akurat wszyscy to zauważyli. Do archiwum czasami przez cały dzień nikt nie zagląda.

– Na pewno nie ostatnio – sprostowała Justyna. – Ostatnio ciągle tam przesiadują jej wielbiciele. Drzwi się nie zamykają.

Naczelnik, i tak czerwony z natury, poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Nie przesadzaj – prychnął Robert. – W końcu dla niej to zesłanie. Bardzo przeżyła tę degradację.

– Naprawdę? – Naczelnik zaczął się obficie pocić.

– Fakt. – Justyna zaatakowała również. – Myślałam momentami, że zupełnie jej odbija. Zachowywała się jak wariatka.

– Odbija? – wycharczał naczelnik. – Ale chyba nie chciała sobie czegoś zrobić?

– Ma pan na myśli samobójstwo z rozpaczy? – podgrzał atmosferę Robert. – Tego właśnie nie wiadomo. Wpadła w straszną depresję.

– Boże, może powinienem ją przywrócić na stanowisko! – wykrzyknął naczelnik.

– No nie – prawie wysyczał Gustaw.

– Jeśli jeszcze żyje – powiedział smutnym głosem Robert.

Naczelnik złapał się za głowę, wyraźnie zrozpaczony. Z przygnębioną miną

ruszył do drzwi.

Bartek udawał powagę, ale w środku zanosił się śmiechem. „Pierwszy dzień. Zobaczymy, co powiedzą pojutrze!”

Przed końcem pracy, korzystając z okazji, że został sam, wykręcił numer śledczego.

– Nie wiem, co o tym sądzić – zaczął, udając zatroskanie. – Pani Smugowska nie przyszła dzisiaj do pracy i w domu też jej nie ma. Cały dzień dzwoniliśmy. Telefon nie odpowiada. Chyba nie wyjechała za granicę – dodał po chwili, żeby śledczy nie poszedł równie błędnym tropem, co naczelnik.

Po tym telefonie śledczy od razu pojechał do domu Beaty. Poprosił przez domofon sąsiadów o otwarcie drzwi. Na górze przez chwilę stukał i dzwonił do jej mieszkania. Potem zaczął wypytywać sąsiadów, kiedy widzieli ją po raz ostatni.

– W nocy, kiedy mama kazała mi spać – powiedziała dziewczynka, wychylając się zza spódnicy matki. – Słyszałam, jak wyszła z domu.

– Ty już spałaś – zdementował starszy braciszek. – Poza tym widujesz konie chodzące po schodach.

– Nieprawda. One nie chodzą po schodach, tylko wyskakują przez balkon – sprostowała dziewczynka.

– Ostatni raz widziałam panią Smugowską – powiedziała sąsiadka – dwa dni temu. Ale ja pracuję, mąż wraca wieczorami, a dzieci są cały dzień u teściów.

– Rozmawiała przez telefon, a potem wyszła. W nocy – ciągnęła dalej opowieść dziewczynka. – Konie powiedziały „pa, pa” i wyskoczyły przez balkon.

– No tak. – Śledczy pokiwał głową.

„Konie” – podsumował, stojąc sam pod drzwiami Beaty i zastanawiając się, co dalej zrobić.

Wydawało mu się, że jednak ktoś jest w mieszkaniu. Chyba usłyszał jakiś hałas, jakby szmer czy szuranie. Możliwe, że dobiegło go z innego mieszkania.

Już miał zbiec po schodach, kiedy usłyszał czyjeś kroki. „Spytam jeszcze tego sąsiada i idę stąd” – postanowił.

Korpulentny mężczyzna w podkoszulku, ze skórzaną torbą na ramieniu, obrzucił śledczego niechętnym spojrzeniem. Zapach pieczonego kurczaka sugerował, że w torbie znajdują się nie tylko narzędzia.

– Pan do pani Smugowskiej? – spytał śledczy. – Zgłaszała usterkę? Wczoraj, a może dzisiaj rano?

– A co pana to obchodzi, po co ja przyszedłem do pani Smugowskiej? Pan z policji, czy co?

– Z policji – potwierdził śledczy.

– Dowcipniś. Moja sprawa, kiedy i po co przychodzę do pani Beatki. I nikomu nic do tego.

Hydraulik odsunął śledczego, usiłując sięgnąć do dzwonka.

– Pani Smugowskiej nie ma – powiedział śledczy prowokacyjnie.

– Sam sprawdzę – warknął hydraulik, ze złością przepychając się z młodszym, lepiej ubranym i słodko wyperfumowanym mężczyzną.

Zapewne doszłoby do walki, gdyby nie hałas, który rozległ się po dźwięku dzwonka i agresywnym stukaniu hydraulika.

– Ktoś tam jest! – zawołał śledczy dramatycznym głosem. – Pani Beato, czy nic się pani nie stało? Ona nie przyszła dzisiaj do pracy! Może coś sobie zrobiła, bo wszyscy ją prześladowali. Nawet ja w pierwszej chwili myślałem, że jest winna. Bo z początku taka się wydawała. Zarozumiała i agresywna. A przecież pomimo wzrostu to bezradny dzieciak. Jak prześliczne wiejskie dziewczątko, oddane na pastwę drapieżników w wielkim mieście. Jasnowłosa Calineczka! Beato, błagam, odezwij się! – zawołał, uderzając pięściami w drzwi.

– Pani Beatko, to ja, pani hydraulik, Janusz! – Hydraulik nie pozostawał w tyle, gotów błyskawicznie przystąpić do akcji ratowniczej.

Za drzwiami panowała teraz złowroga cisza.

– Trzeba wyważyć drzwi – stwierdził hydraulik, otwierając torbę z narzędziami. Smakowity zapach pieczonego kurczaka wypełnił całą klatkę schodową.

– Może spróbujemy moimi metodami – zaproponował policjant.

Na chwilę zjednoczyli się we wspólnej akcji uwalniania ukochanej.

Pod ich naporem drzwi ustąpiły.

W mieszkaniu nie było nikogo. Obiegli wszystkie pomieszczenia, zajrzeli do szaf.

Na stoliku w salonie stały dwie niedopite filiżanki jeszcze ciepłej herbaty. Firanka osłaniająca niedomknięte drzwi na taras leciutko powiewała, choć w skwarze panującym na dworze nie wyczuwało się ani odrobiny wiatru.

– Tu ktoś był! – wykrzyknął hydraulik.

Śledczy obejrzał filiżanki, obwąchał suszoną figę, a potem wyszedł na taras.

Na trawniku pod domem bawiły się dzieci. Na ławeczce naprzeciwko siedziała para starszych ludzi. Wszędzie wokół panował niczym niezmącony spokój upalnego popołudnia.

Tymczasem jakieś dwie godziny wcześniej w domku na działce Beata obudziła się obolała i zapuchnięta od snu. Część nocy spędziła na czuwaniu w niewygodnej pozycji, gotowa do obrony przed przypadkowymi włamywaczami.

Okna zasłonięte były drewnianymi okiennicami, zabezpieczonymi z zewnątrz sztabą zamykaną na kłódkę. Przez szpary między deskami Beata mogła swobodnie obejrzeć cały ogród i sąsiedztwo.

Spodziewała się widoku opustoszałych działek i rozpadających się domków. Tymczasem sąsiednie ogródki były zadbane, a gdzieniegdzie uwijali się działkowicze. W końcu był to dzień powszedni i dość wczesna pora. Ludzie

siedzieli w pracy.

Wyglądało na to, że Bartek i jego braciszek nie zdawali sobie sprawy z przywiązania działkowiczów do ziemi. Powinni przewidzieć, że ludzie będą uprawiać swoje poletka do ostatniego momentu przed przekazaniem terenu drogowcom.

Znając jego styl życia, była przekonana, że Bartek ostatnio odwiedził babcię na działce kilka sezonów temu. Jego babcia z ulgą zrezygnowała z uprawiania ogródka ze względu na kiepskie zdrowie, ale inni działkowicze nadal trwali na posterunku.

– Co za radość! – zawołała do siebie Beata. – Nikt mnie tu nie napadnie i w dodatku na pewno niektórzy spędzają wakacje na działkach.

Sprawdziła zawartość lodówki. Przygotowała kilka kanapek. Elektryczny czajnik, kuchenka elektryczna, pieczywo gruboziarniste, zapas na tydzień. Trzy pięciolitrowe butle z wodą do picia. W łazience umywalka z bieżącą wodą, działająca toaleta.

„Gdybym teraz zaczęła krzyczeć, sąsiedzi uwolniliby mnie w trzy minuty. Potem zameldowałabym się na policji, wskazując miejsce przetrzymywania. Ten Bartek to prawdziwy partacz. Albo po prostu wróciłabym spokojnie do domu. Jednak sąsiedzi mogą sami zgłosić zdarzenie na policję i wtedy nie wymigałby się od odpowiedzialności karnej. Co za idiota. Najważniejsze, żeby zabezpieczyli mój samochód. Bo jak ktoś go buchnie, nie daruję. Chociaż może powinnam wymienić go na nowy. Niedługo pewnie zacznie się psuć".

Mankamentem telewizora był brak porządnej anteny. Dało się oglądać dwa mocno zaśnieżone polskie programy i dwa niemieckie. Jeden zaśnieżony, jeden dobry.

„Wykorzystam ten czas na doskonalenie języka niemieckiego" – zdecydowała z zadowoleniem Beata. „Będę oglądać tylko tę jedną stację".

Przejrzała parę książek i gazet ułożonych starannie na półce.

Czas płynął wolno. Na dworze zapadł zmrok. Obejrzała niemieckie wiadomości.

Wygrzebała w szufladzie kisiel. „Przeterminowany, ale da się zjeść" – zadecydowała.

Rozsiadła się wygodnie przed telewizorem z kubeczkiem kisielu posypanego cukrem, czekając na film. Spikerka zapowiedziała kolejną powtórkę na życzenie widzów. *Śmierć w Alpach*. „Kryminał – ucieszyła się Beata – chwila rozrywki. Szkoda tylko, że niemiecki, a nie amerykański".

Był to sfabularyzowany dokument poświęcony ludziom, którzy zginęli w Alpach. Twórcy programu opowiadali o ofiarach najróżniejszych wypadków górskich.

Beata, rozczarowana, już miała przełączyć na drugi, zaśnieżony niemiecki

kanał, gdy nagle na ekranie para młodych turystów rozpoczęła swój ostatni zjazd w życiu. Być może na niebezpiecznym stoku było już zbyt ciemno. Może zboczyli z drogi, zabłądzili. Temperatura spadła nocą do minus piętnastu. Zjechali i znikli na zawsze. Tej zimy. Ciał nigdy nie odnaleziono. Niemiec Detlef Hammer i jego włoska przyjaciółka Gina Pavone. Pokazano zdjęcia roześmianej pary.

Beata aż krzyknęła. Z ekranu patrzyli na nią Selena i jej wyblakły małżonek Gunter Sprany Dżins.

– A to łobuzy! Łobuzy! – zawołała. – Tam ich szukają, a oni ukryli się na moim osiedlu.

„Ciekawe, o co w tym wszystkim chodzi? Może na przykład Gunter ukrywa się przed rodziną, żoną i dziećmi. Zaszył się tu z Seleną i mieszkają jak gdyby nigdy nic. Albo Selena zwiała przed mężem włoskim mafiosem, który nie chciał dać jej rozwodu i groził śmiercią…

A może to handlarze narkotyków. Albo ludzie, którzy weszli w konflikt z mafią lub prawem i upozorowali własne zaginięcie.

Tyle że takie zwykłe zaginięcie to czasami za mało. Musieli uknuć podwójną intrygę. Na przykład przygotowali poszlaki dla policji, że zaginęli, bo sprzątnęła ich mafia.

Może zdefraudowali jakieś mafijne pieniądze i zwiali z nimi?”

Pół nocy rozwiązywała zagadkę sąsiadów z dołu.

Tym razem leżała wygodnie wyciągnięta w świeżej pościeli i prawdę mówiąc, czuła się jak na nadprogramowych wakacjach. Nawet nie próbowała zgadnąć, jak ma się zakończyć to całe Bartkowe porwanie. Była przekonana, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Czuła się ukryta, przyjemnie schowana przed wszystkimi stresującymi i zagmatwanymi sytuacjami, które ostatnio ją osaczały.

– Mała przerwa w życiorysie każdemu robi dobrze. Nawet Agacie Christie się to przydarzyło – szepnęła do siebie i smacznie zasnęła.

17. Inny trop

Następnego dnia Beata zaczęła odczuwać nudę.

– Doigrają się – powiedziała ze złością. – Jeżeli nie zjawią się jutro, wezwę na pomoc sąsiadów.

Zrobiła po pięćdziesiąt różnych ćwiczeń gimnastycznych. Wymasowała sobie stopy i zastosowała akupresurę. Starała się pożytecznie spędzić czas. Oglądała niemiecką telewizję, powtarzając na głos niektóre przydatne zdania.

Wreszcie około jedenastej wieczorem porywacze zjawili się ponownie.

Włożyli kominiarki zasłaniające twarze. Wyższy, „zapewne Dominik" – pomyślała Beata, trzymał w dłoni nóż. Drugi, oczywiście Bartek, mierzył do niej z pistoletu.

– Bądź cicho, bo inaczej użyję noża – wymamrotał niewyraźnym głosem wyższy. – Odwieziemy cię teraz do domu. Załóż to na głowę, żebyś się nie zorientowała, gdzie byłaś.

Podał jej czarny bawełniany worek. Pokrowiec od eleganckiego skórzanego neseseru z nadrukiem włoskiej firmy.

Beata zrobiła, co jej kazali. Bartek, rozpoznała go po zapachu wody po goleniu, wziął ją pod rękę i zaprowadził do samochodu. Nie stawiała oporu. Usiedli razem na tylnym siedzeniu. Prowadził Dominik.

Jeździli po okolicy, potem kluczyli po różnych ulicach miasta. Znów wyjechali na peryferie.

– Tu wysiadasz. Twój samochód stoi przy drodze. Nie ściągaj worka, dopóki nie odjedziemy. Bo pożałujesz – zagroził szeptem Dominik.

Beata wygramoliła się z samochodu. Bartek włożył jej w rękę kluczyki do samochodu.

– Czekaj! – Po omacku złapała rękaw jego bluzy.

– Co? – odezwał się spłoszonym głosem.

– Już nic – powiedziała Beata i przekręciła pierścień. – Już nic – powtórzyła, mamrocząc zaklęcie.

Stała w ciemnościach z workiem na głowie, czekając, aż odjadą.

Rzeczywiście, jej samochód był zaparkowany na poboczu drogi, obok oświetlonej latarnią tablicy z nazwą miasta.

„Nieźle pomyślane" – uznała. „Od razu znajdę właściwy kierunek, choć nie mam pojęcia, gdzie jestem".

Wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie. Po trzydziestu minutach dotarła do domu.

Widok drzwi zalepionych taśmą wywołał w niej wściekłość. Włamanie! Jej znajomi idioci zabawiają się w porwanie, a tymczasem prawdziwi złodzieje obrobili jej mieszkanie.

Jednak kiedy podeszła bliżej, zobaczyła przyklejoną taśmą kartkę z informacją:

Pani Beatko, proszę wybaczyć to niezamierzone włamanie. Wszystko wyjaśnię. Szkody zostały naprawione. Klucz do odebrania u sąsiadów z dołu. Adam Zych, oficer śledczy

Pieczątka, podpis.

Zbiegła po schodach. Drzwi otworzyła Selena.

– O, Gina Pavone. Przepraszam, wpadłam po klucz – powiedziała jak gdyby nigdy nic Beata. – Pan Detlef Hammer jest w domu?

– A kto to jest Detlef Hammer? – spytała Selena, tak przekonująco zdziwiona, że Beata niemal jej uwierzyła.

– To chłopak Giny Pavone.

– Nie znam ich – powiedziała Selena. – To twoi przyjaciele?

– Moi nie, ale może twoi?

– Nie, ja w ogóle nie mam przyjaciół – powiedziała Selena wesoło – tylko wrogów! Do zabicia. *Che triste coincidenza!*[1]

Obojętny stosunek Seleny do rewelacji, jakimi chciała zaskoczyć ją Beata, popsuł całą przyjemność.

– Co się zdarzyło? Dlaczego włamali się do mojego mieszkania? Czy byli u mnie złodzieje? – Beata postanowiła skupić się na swoich sprawach.

– Nie, jacyś faceci. Hydraulik i policjant. Podobno myśleli, że ktoś cię przetrzymuje w środku. Dziwna historia.

Beata wzięła nowe klucze i poszła do swojego mieszkania.

W domu wszystko wyglądało, jakby wyszła stąd pięć minut temu.

Żółwie przywitały ją z radością.

„Pewno byłyby głodne, na szczęście wpadały tu satyry" – pomyślała Beata, podnosząc z podłogi przy akwarium świeży listek sałaty.

Jak gdyby nigdy nic wykąpała się i przygotowała sukienkę na jutro.

– Chyba zasnę bez problemów – powiedziała, z przyjemnością wiercąc się nareszcie we własnym łóżku. – Było nie było, moc przeżyć. W końcu gdyby nie mój wrodzony takt i spokój, mogło dojść do rękoczynów.

Bartek obudził się dręczony wyrzutami sumienia. Beata była obiektem jego drwin, bo kiedyś niezręcznie rozegrał ich nieśmiało kiełkujący romans. Potem chciał odreagować na niej swoją nieudolność, a przecież ona wciąż była samotna, jakby chciała powiedzieć: oto czekam na ciebie, chociaż jesteś podły i okrutny.

„Jak mogłem być takim zaślepionym egoistą?"

Po tym brawurowo rozegranym przez niego porwaniu Beata stanie się na pewno podejrzaną numer jeden.

Zbiegła, znikła, nie informując policji. To jasne, że chciała uciec lub

przeprowadzić tajną nielegalną transakcję, dlatego umknęła przed policyjną inwigilacją.

Teraz śledczy zapewne ją zaaresztuje. Biedna dziewczyna. Nawet nie podejrzewała, że została pozbawiona stanowiska przez knowania swojego ukochanego Bartka. Wyrzucona z pokoju, przeniesiona w miejsce, którego nie cierpi.

Zawsze darzyła go podziwem skrywanym pod maską szorstkości. Dokuczała mu czasami, by ukryć prawdziwe uczucia – podziw, zazdrość, pożądanie.

Takie myśli nie opuszczały go ani na chwilę. Z minuty na minutę utwierdzał się w przekonaniu, że dla niego Beata zawsze była ideałem kobiety. Zgrabna jak diabli. Chociaż ubiera się niedbale, wszystkie ciuchy leżą na niej bosko, bo ma klasę jak hollywoodzka gwiazda. Inteligentna, oczytana, potrafi świetnie się wysławiać. Kiedyś przyniosła do pracy własnoręcznie zrobioną sałatkę. Przepyszną. Piękne, regularne rysy twarzy, usta pełne, nosek malutki i zgrabny, ogromne oczy w kształcie migdałów. Wrażliwa, subtelna i wierna. Właśnie z taką partnerką chciałby dzielić życie.

Po prostu była obok, zbyt łatwo osiągalna, by zdobycie jej potraktował jak wyzwanie.

Teraz, kiedy grozi jej odsiadka, może utracić ją na zawsze. Dostanie dożywocie za zabójstwo bezbronnego staruszka. Bramy więzienia zatrzasną się za nią na wieczność.

Nie. Nie dopuści do tego. Nikt nie może mu udowodnić porwania, a uwalniając Beatę od podejrzeń, stanie się jej dobroczyńcą.

Wystukał numer do śledczego.

O dziwo, choć jeszcze nie było ósmej, śledczy trwał na posterunku.

– Chciałbym powiedzieć, że moim zdaniem pani Beata Smugowska nie jest winna tego morderstwa. Jej zniknięcie nie ma nic wspólnego ze sprawą. Na pewno pojechała do rodziny albo do koleżanki nad morzem, żeby odpocząć, biedactwo. Chciałbym z panem porozmawiać, może moje informacje rzucą trochę światła na tę sprawę i policja szybciej znajdzie podejrzanego.

– To ciekawe – odpowiedział z namysłem śledczy. – Chętnie wysłucham pańskich sugestii. Dzisiaj mamy zbyt wiele pracy, ale może jutro koło szesnastej poproszę pana o małą rozmowę u nas. Może być?

– Świetnie – zawołał zachwycony Bartek. – Tym bardziej że do jutra wiele rzeczy się jeszcze wyjaśni!

– Wiele już się wyjaśniło – odparł śledczy, przeglądając notatki z przesłuchania informatora.

Pewien diler narkotykowy, a zarazem informator policyjny, dowiedział się od swojego klienta, pięćdziesięcioletniego narkomana, pogrobowca dzieci kwiatów, że było zlecenie na zamordowanie Tyberiusza Janowskiego.

Informator zeznał, że narkoman spotkał się z dwoma mężczyznami, którzy przyjechali tu z okolic Gdańska, by zlecić morderstwo. O narkomanie mówiono, że za pieniądze na działkę zrobi absolutnie wszystko. Jednak w rzeczywistości był zwykłym śmieciem, a nie żadnym killerem czy gangsterem. Wybór takiej osoby do poważnego zadania źle świadczył o zleceniodawcach. Cena za robotę to pięć tysięcy przed i pięć tysięcy po. Jak na szmatławego narkomana to dużo, jak na charakter przestępstwa – niewiele. Jednak do transakcji nie doszło. Podobno.

Od momentu pojawienia się tego tropu śledczy był radosny jak skowronek. Beata przestała być główną podejrzaną. A kto jej pomógł uniknąć hańby? On, jej rycerz i wybawiciel!

Im szybciej rozwikła tę sprawę, tym szybciej będzie mógł zanieść jej szczęśliwą nowinę.

Beata przyjechała do pracy odrobinę wcześniej. Młody strażnik prawie chwycił ją w objęcia, gdy przestąpiła próg urzędu.

– Pani Beatka! – zawołał, a jego uradowany głos odbił się echem od ścian. – Gdzie pani się podziewała? Wszyscy szaleli z niepokoju!

Beata wzięła klucz i obdarowała strażnika wesołym uśmiechem.

– Zmęczyły mnie upały, więc wzięłam urlop i pojechałam nad morze.

– Wzięła pani urlop? A wszyscy myśleli, że pani zaginęła. – Chłopak nie mógł dojść do siebie ze zdziwienia.

W archiwum panował poranny chłodek. Okna wychodziły na północ. W takie upalne dni jak tego lata archiwum było wymarzonym miejscem do pracy.

– Jak to nie przyniosłam wniosku urlopowego do kadr? – powiedziała do telefonu Beata, udając zdumienie. – Zaraz, zaraz, no rzeczywiście, mam go nadal w szufladzie. I co teraz będzie? Tak, tak, chyba muszę porozmawiać z panem naczelnikiem.

Wykręciła numer naczelnika.

– Pani Beata, co za szczęście! Pani żyje, a ja już podejrzewałem najgorsze. Nie zaniosła pani wniosku? Ach, ta kadrowa zawsze robi z igły widły. Proszę się nie przejmować. Przemówię jej do rozumu. Przed urlopem człowiek bywa roztargniony, to normalne.

Dzień został zdominowany przez powrót całej i zdrowej Beaty.

Raz po raz opowiadała historyjkę, jak to dostała zaproszenie od przyjaciółki rodziców i postanowiła trochę odpocząć nad morzem. Przecież pogoda jest wspaniała. A jej zostało zaledwie parę dni urlopu, bo prawie cały wykorzystała na remont.

Julian przybiegł z rana, kiedy tylko dowiedział się, że wróciła do pracy.

– Dlaczego wyjechałaś, nic mi nie mówiąc! – zawołał z wyrzutem, jakby rościł sobie do niej prawa z powodu dawnego narzeczeństwa.

– Nie jesteś już moim narzeczonym – przywołała go do porządku, ale

uprzejmie włączyła wodę na herbatę.

Nie schodziła już do barku na śniadania, teraz jadała w pokoju. Tym bardziej że po dokumenty archiwalne ludzie przychodzili o każdej porze i nie chciała, by zastali zamknięte drzwi.

Julian przetrawiał przez chwilę jej słowa.

– Nie myśl sobie, że skoro jestem homoseksualistą, nie wiedziałbym, jak być dla ciebie dobrym mężem – powiedział urażonym tonem. – Kocham cię i chcę, żebyś zamieszkała ze mną w domu Tyberiusza.

– A co na to inni? – Beata roześmiała się mu w nos.

– Mama będzie musiała pogodzić się z faktami. Nie jestem już małym chłopcem – odpowiedział nadzwyczaj poważnie.

Towarzystwo satyrów sprawiło jej tego popołudnia wielką przyjemność. Opowiedziała im wszystko o porwaniu. Choć nie rozumieli słów, widać było, że podzielają jej dobry humor.

Dzisiaj zaproponowała im oprócz tradycyjnej herbaty z cytryną drugą filiżankę herbaty z suszonymi jabłkami.

Tym razem trafiła.

Emoen był zachwycony. Palcami powybierał owoce z dna i rozkoszował się ich smakiem, mlaskając podczas przeżuwania.

Beata przyniosła talerzyk z suszonymi jabłkami.

Satyry pochwaliły ją za to i delektowały się każdym kawałeczkiem.

– Są kwaskowe – powiedziała Beata.

Satyry przytaknęły, mamrocząc z zadowolenia.

– Jutro kupię więcej – powiedziała Beata na pożegnanie, kiedy w mroku rozświetlonym ekranem telewizora skierowały się w stronę tarasu.

– Pa, pa – odpowiedziały i wyskoczyły w ciemność.

Późnym wieczorem zadzwonił telefon.

Beata przeczuwała, czyj głos usłyszy w słuchawce.

– Bartek mówi…

– Witaj.

– Beato, jesteś dzielna. Ukryłaś prawdziwą przyczynę nieobecności, ale ja znam prawdę. Nawet się nie domyślasz, do jakich brawurowych czynów jestem zdolny.

– Och, Bartek, czy to ty mnie porwałeś? – wypaliła bez ogródek. – To była amatorszczyzna.

Bartek na chwilę zamilkł.

– No tak, może nie wszystko poszło idealnie. Ale ci dwaj nie mają wprawy.

– Jacy dwaj, Bartek?

– Tacy jedni, wynajęci. To ja opracowałem plan i zleciłem porwanie. Nie

martw się, nic ci już nie grozi. Zrobiłem to, bo cię kocham i nie chcę, żebyś wyszła za mąż za Juliana!

[1] *Che triste coincidenza!* (wł.) – jaki smutny zbieg okoliczności!

18. Misja

Pomimo wczesnej pory upał już dawał się mocno we znaki.

„Chyba zbiera się na burzę” – pomyślała Beata.

Młody strażnik przywitał ją radosnym uśmiechem. Pomachała mu na powitanie. Miny, jakie robił, wskazywały, że w pokoju czeka na Beatę niespodzianka. Część ogródka jego babci przenosiła się co jakiś czas do archiwum. Beata musiała przyznać, że chociaż strażnik miał niewyszukane maniery i pisał kiepskie wiersze miłosne, jego kompozycje kwiatowe świadczyły o dobrym smaku.

Ledwie zdążyła otworzyć pokój i nacieszyć się widokiem bukietów, kiedy wmaszerował naczelnik. Jak zwykle spocony, uśmiechał się szeroko i szczodrobliwie.

– No więc załatwiam przeniesienie pani z powrotem do zespołu – powiedział zdecydowanym tonem. – Tu się pani zmarnuje pośród starych papierzysk. Młoda, świeża, śliczna i inteligentna dziewczyna powinna pracować tam, gdzie coś się dzieje. Dziewczyna jak malina! Może poszlibyśmy dzisiaj gdzieś po pracy? Żona pojechała do matki, dzieci na wakacjach, mógłbym panią zaprosić do restauracji. Opijemy przenosiny. Ja mam takie poparcie u góry, że mogę robić w tym urzędzie, co mi się podoba. Taki jestem tu mocny!

– No proszę – powiedziała Beata. – Prawdziwy potentat!

– Fakt, na potencję nie narzekam – przytaknął – choć pięćdziesiątka na karku. Ale nikt by mi tyle nie dał, sama pani przyzna.

– Z tą restauracją… Niestety mam ostatnio trochę zajęć po południu – wykręciła się.

Nie była też przekonana, czy ma ochotę wrócić do zespołu. Jednak przy szukaniu nowej pracy archiwum nie jest najlepszą rekomendacją.

Do dziesiątej Beata zdążyła obsłużyć kilku pracowników poszukujących dokumentacji starych spraw.

O dziesiątej pięć zjawił się Julian.

– Beato, musisz podjąć decyzję. Powiedziałem mamie, że może zatrzymać moje mieszkanie, bo ja i ty zamieszkamy w domu Tyberiusza. Żądam, byśmy definitywnie ustalili datę ślubu.

– Może jutro. – Beata uśmiechnęła się zalotnie. – Zaraz po pracy.

Julian otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, biorąc jej słowa na poważnie.

– Herbatka dla pana młodego? – spytała, włączając czajnik.

Porozmawiali parę minut na temat wspólnej przyszłości. Beata zgadzała się na wszystko, nie myśląc o konsekwencjach. Jej dawni wrogowie przeistaczali się w wielbicieli i przyjaciół, gotowych pomagać i opiekować się nią. Czuła się bezpieczna i potrzebna.

Bartek zajrzał do archiwum około drugiej. Usiadł na krześle naprzeciwko

niej i od razu przystąpił do rzeczy.

– Chyba mnie rozumiesz. Nie mogę pozwolić, żeby ten cholerny podstarzały zbok ożenił się z tobą. Wiem, że ma niezłą fortunkę i zapewniłby ci przyszłość, dom z ogrodem i tak dalej, ale przecież, do cholery, to pedzio, jak mój braciszek. Zmarnujesz sobie życie.

– A czego bardziej nie możesz odżałować: mnie czy fortuny?

– No co ty, przecież wiem, że ci na mnie zależy, tylko po prostu nie zdawaliśmy sobie sprawy z naszych uczuć! Ta przeprowadzka ukazała mi wszystko w innym świetle. Ja cię pragnę, a ty wciąż skrycie mnie kochasz.

– Więc to tak?

– Ty jesteś sama, a ja skaczę z kwiatka na kwiatek. Dlaczego? Bo wciąż nie mamy odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, Beato. Wyjedźmy razem na ten weekend, prześpijmy się ze sobą, zobaczysz, jesteśmy dla siebie stworzeni!

– Kiedyś już próbowaliśmy i nie wyszło – przypomniała mu.

– Upłynęło kilka lat, zmieniliśmy się. Ty wyładniałaś, ja nabrałem doświadczenia.

– Przemyślę to – powiedziała, powstrzymując śmiech.

Po wyjściu Bartka zadzwoniła do naczelnika i poprosiła, by w tym miesiącu nie używał jeszcze swojej gromowładnej siły, bo podczas wakacji archiwum jest bardzo przyjemnym miejscem pracy.

Zgodził się, proponując zarazem wspólne przejście do innego urzędu. Ponowił też zaproszenie do restauracji, a może nawet do jego opuszczonego przez rodzinę, świeżo wyremontowanego mieszkania. Jest co oglądać, nie żałował gotówki.

Podziękowała i odmówiła.

Przed końcem pracy zadzwonił śledczy.

Przepraszał za zdemolowanie domu. Nalegał na spotkanie, ponieważ chciał wyjaśnić parę wątków.

Zaproponowała spotkanie następnego dnia. Był zawiedziony.

– Mam dla pani niezwykłą wiadomość. Odetchnie pani z ulgą. Życie w stresie osłabia organizm i sprzyja chorobom. Powinniśmy jak najszybciej porozmawiać o sprawie Tyberiusza.

Właśnie z myślą o niej, i tylko o niej, poruszył niebo i piekło, by uzyskać informacje oczyszczające ją z zarzutów. Od początku nie wierzył w jej winę i robił wszystko, by tego dowieść.

– A co ze sprawą syna Justyny? – spytała z przekąsem.

– To śledztwo jest już zamknięte. Pani miałaby być powiązana z tymi złodziejami? Nonsens. Doprawdy, co też pani przychodzi do głowy. To co, zobaczymy się jutro? Wpadnę do pani po południu. A może przyniosę jakieś wino? Przecież to nie przesłuchanie, ha, ha.

Na dziedzińcu urzędu było piekielnie gorąco. Ledwo wyszła z pracy i zrobiła parę kroków po rozgrzanym asfalcie parkingu, poczuła, jak leciutka bluzeczka z cieniutkiego materiału w liliowe kwiaty przykleja się jej do ciała.

Przy jej samochodzie kręcił się jakiś chłopak. Zaglądał przez szyby do środka, oglądał wycieraczki. Podeszła bliżej i ze zdziwieniem rozpoznała strażnika. W T-shircie i dżinsach wyglądał jeszcze młodziej i atrakcyjniej.

– Halo, czy to pani samochód? – spytał.

– Mój, czy coś się stało?

– Nie, ale pomyślałem, że gdyby coś nawaliło, mogę pomóc. Znam się trochę na tym.

– O, dziękuję – ucieszyła się Beata.

– Może pani mnie podrzuci do hipermarketu? To chyba po drodze?

– A skąd pan wie, gdzie mieszkam?

– Och, wie się to i owo.

– Dobrze, proszę wsiadać – roześmiała się.

Zanim zdążyła otworzyć samochód, usłyszała za plecami sapanie.

– Pani Beato, a może jutro? – spytał naczelnik, gramoląc się do swojego samochodu.

– Lepiej w przyszłym tygodniu – powiedziała niezadowolona, że psuje jej dobry nastrój, w jaki wprowadził ją chłopak z ochrony.

– Ja nawet naczelnikowi potrafiłbym dać po pysku – zapewnił ją strażnik, kiedy wyjeżdżali z parkingu na ulicę.

– Może kiedyś poproszę – odparła.

Podczas drogi opowiadał, że po wakacjach jednak zacznie studiować, bo nie chciałby być gorzej wykształcony niż kobieta, z którą kiedyś się ożeni.

– Waham się, czy wybrać iberystykę, czy AWF. Moja babcia jest Meksykanką i od dziecka rozmawiam z nią po hiszpańsku.

– Nie wygląda pan na południowca.

– Ale serce mam gorące. I temperament prawdziwego macho! – Położył dłoń na ramieniu Beaty. – Niech mi pani da szansę. Będzie nam razem dobrze. Czuję to. Jest pani dla mnie wielkim wyzwaniem, największym, jakim kobieta może być dla mężczyzny. Jest pani jak górski wodospad, taka energiczna, władcza, a zarazem pełna tajemnic. Piękne zęby, włosy, silne, wysportowane ciało. Budzi pani we mnie instynkty i pragnienia, których istnienia wcześniej nie podejrzewałem.

W Beacie też obudziły się instynkty i pragnienia, o jakich dawno już zapomniała. Słowa chłopaka zbudowały pomost łączący teraźniejszą Beatę z tą dawną. Zagubioną od lat dziewczyną, która zapomniała o własnych potrzebach i ignorowała swoją kobiecość.

Teraz, gdy siedziała obok chłopaka, który otwarcie mówił o swoim pożądaniu, po raz pierwszy pomyślała o pierścieniu jako o źródle nieograniczonej

przyjemności.

Być kochaną przez takie młode, śliczne i prostolinijne stworzenie to rozkosz dla ciała i duszy. Zeschły na wiór świat emocji po latach suszy odżywał nagle w strugach niespodziewanego deszczu.

Zostawiła Patryka na parkingu przed hipermarketem i zawróciła do domu.

Kupiła trochę warzyw na osiedlowym ryneczku i pieczywo w nowo otwartej piekarni.

Przyszykowała obiad dla siebie i poczęstunek dla satyrów, które zapewne pojawią się przed wieczorem. Dzwonek do drzwi był zapowiedzią nadejścia hydraulika.

– Pani Beatko – zaczął od progu – dzisiaj nic nie przyniosłem, bo postanowiłem zabrać panią do restauracji, gdzie odbędziemy poważną rozmowę. Nie chce pani żyć ze mną w konkubinacie? Dobrze, rozwiodę się. Ale ustalmy coś wreszcie!

– Panie Januszu, nigdzie z panem nie pójdę. Jestem umówiona z oficerem śledczym w poważnej sprawie dotyczącej morderstwa. Nie czas teraz na zaloty.

– Ach, tak, ten wyperfumowany przylizany chłystek mydli pani oczy przesłuchaniami. Przejrzałem go na wylot, tylko patrzy, jak tu się zakolegować. Myśli, że skoro jest policjantem, to może bezkarnie włamywać się do czyjegoś domu i grzebać po szafach!

– Jak to?

– A tak to, pani Beatko, gdybym go nie pilnował, to jeszcze by coś wyniósł. Stróż porządku, cholera, lepkie paluchy, swołocz jedna!

– Panie Januszu, zostawmy tę sprawę do przyszłego tygodnia. Wtedy na pewno dam panu odpowiedź.

– Ja tu na niego zaczekam!

– Panie Januszu, bo się obrażę.

– Dobra, pójdę, ale jeszcze go dorwę. Nie będzie mi taki policyjny śmieć wchodził w paradę.

Beata skłamała, że śledczy przychodzi dzisiaj, ale zaledwie drzwi za hydraulikiem się zamknęły, policjant zadzwonił na komórkę i zapytał, czy może jednak dzisiaj wpaść. Właśnie kupił koniak i chętnie by ją odwiedził z bukiecikiem czerwonych róż.

Odmówiła.

„Chyba muszę coś z tym zrobić” – pomyślała zaniepokojona. „Zaraz zaczną bić się ze sobą. Może Selena wie, jak powinnam ich odkochać?”

Pod wpływem nagłego impulsu zbiegła na dół. Na szczęście Selena była w domu sama.

Spędzała czas, z zainteresowaniem śledząc w telewizji prognozy pogody na całym świecie. Wydawało się, że temperatura, ilość opadów i siła wiatru to zasady

jakiejś pasjonującej gry, w której można wiele wygrać.

– Znowu nas zalejesz? – spytała z ciekawością.

– Nie mam problemów z instalacją, od kiedy hydraulik zakochał się we mnie pod wpływem działania pierścienia ofiarowanego przez Guntera. Wręcz przeciwnie. Wiesz, teraz chodzi mi o to, żeby już się odkochał. Zrobił się zbyt natarczywy. No i nie tylko on…

Selena wybuchnęła śmiechem.

– Sam się nie odkocha! Nigdy w życiu. Musisz mieć jakiś antypierścień, który znosi działanie tamtego. Mogę ci jakiś zrobić.

– Możesz? Proszę, zrób! – Beata była uszczęśliwiona.

– No, z czego? Chcesz jakiś mój pierścionek?

– Nie, nie – żywo zaprotestowała Beata, patrząc na elegancki pierścionek z brylantem, który Selena już zaczęła ściągać z palca.

– *Bene, piccolino*[1] kółeczko. – Wyciągnęła z dolnej szuflady regału kuchennego pudełko ze śrubkami i nakrętkami, a z niego metalowe kółko. – Będzie dobre, powiesz: „odkochaj się", i wystarczy. – Nałożyła jej kółko na palec drugiej ręki. – To nie jest prawdziwa miłość – wyjaśniła, lekceważąco wzruszając ramionami. – To tylko niepohamowana żądza posiadania kogoś na własność. Wiesz, prawdziwa miłość to bardzo sprytna sztuczka natury. Chemia, która ci podpowiada, że bez względu na wszystko chcesz mieć potomstwo właśnie z tym człowiekiem. Trwa dwa, cztery lata, dopóki małe trochę się nie usamodzielni.

– Nie wszyscy zakochani mają dzieci – zaprotestowała Beata.

– Sztuczka natury działa zawsze tak samo, bez względu na okoliczności.

– Uważasz, że miłość to nic nadzwyczajnego?

– Wprost przeciwnie. Miłość odwzajemniona to stan absolutnego szczęścia wynikający wyłącznie z faktu, że jesteś absolutnie akceptowany przez osobę, którą absolutnie akceptujesz. Nie ma prostszego sposobu na osiągnięcie stanu permanentnego szczęścia. A odczuwanie szczęścia jest najprzyjemniejszym uczuciem na świecie, jakiego doświadczają ludzie.

– Zajmujesz się zawodowo psychoanalizą czy sama często doświadczasz zakochania?

– Ja tego w ogóle nie doświadczam. Gdyby znaleźć parę zakochanych w sobie ludzi i stać się nimi, można by korzystać z przyjemności, jaką daje miłość. Szczęście bez powodu. My sami nie potrafimy wzbudzić go w sobie, ale potrafimy utrwalić i zatrzymać niegasnącą rozkosz zakochania na całą długość waszego życia. Ziemskiego życia.

– Ależ mi filozoficzne wywody. My, wy, życie ziemskie… Wiem, że jesteście cudzoziemcami, ale to chyba jeszcze nie powód, żebyście zupełnie inaczej niż obywatele naszego państwa postrzegali istotne życiowe sprawy – powiedziała Beata, szykując się do ataku. – Widziałam cię w telewizji, zaginęliście z Gunterem

w górach. Wszyscy myślą, że nie żyjecie.

– Ach, ci narciarze rzeczywiście nie żyją. Byli jeszcze ciepli, kiedy ich znaleźliśmy. Agent do prowadzenia misji musi wybrać sprawne ciało, nie jakiegoś słabeusza, bo różne niebezpieczne sytuacje mogą się zdarzyć w trakcie realizacji zadania. Ludzka powłoka łatwo się niszczy.

– Jaki agent? – spytała podchwytliwie Beata. – Agent obcego wywiadu? Jesteście z Interpolu?

– Nie znam Interpolów. Ale ponieważ w tej okolicy jest przerzutowe skrzyżowanie kilku kanałów czasoprzestrzeni, kręci się tu naprawdę sporo różnych dziwaków. Mitologi, nomadzi galaktyczni, handlarze czasu, turyści, włóczędzy. Jak to zwykle przy dużym dworcu…

– Co agent robi z martwymi, choć jeszcze ciepłymi ciałami? – Beata udawała, że te rewelacje nie robią na niej żadnego wrażenia.

– A co agent może zrobić z opuszczonym ciałem? – Selena zachichotała. – Zajmuje je.

– Jesteś jak duch, który wnika do środka przez nos lub usta? – Beata podtrzymywała żartobliwy nastrój rozmowy.

– Każdy ma swoje sposoby – zbyła ją Selena. – Ale powiem ci w tajemnicy, że to już niedługo. Nasza misja zbliża się do szczęśliwego końca. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

[1] *Bene, piccolino* (wł.) – dobrze, malutkie.

19. Aresztowanie

Choć w nocy wcale nie padało, powietrze było czyste i przyjemnie wilgotne. Wszyscy wiedzieli, że w ciągu dnia znów będzie nieznośny upał, dlatego cieszyli się z rześkiego poranka.

Idealny poranek w piątek przed weekendem.

Beata wczytała się na listę obecności i pomachała kartą w stronę rozpromienionego strażnika. Rozejrzał się, czy nikt nie patrzy w ich stronę, i przesłał jej całusa.

W pokoju stał świeży bukiet. Dotknęła palcami antypierścienia. Ciekawe, czy kiedy go użyje, strażnik z miejsca przestanie przynosić kwiaty.

Zadzwonił Julian.

– Beato, nie mogę dłużej czekać. Życie bez ciebie staje się nie do zniesienia!

– Postanowiłam coś zrobić w tej sprawie – zapewniła go Beata. – Będziesz zadowolony, zobaczysz.

Około jedenastej sekretarka naczelnika poważnym głosem wezwała Beatę na dywanik.

– Tylko tak udawałem – roześmiał się na jej widok naczelnik. – Niby sprawy zawodowe, a ja chciałem sobie pogadać z ładną dziewczyną. Pani nam zrobi kawy – warknął do telefonu. – I proszę nie łączyć, teraz jestem zajęty.

Przez następne pół godziny naczelnik rozpościerał przed Beatą pawi ogon swoich szalonych możliwości na rynku pracy. Znał wszystkich ważnych, a oni jego.

– Chce pani do ministerstwa? Jeden telefon i siedzi pani za biurkiem w ministerstwie. Marna fucha. Oderwana od życia. A zresztą nigdzie pani nie puszczę. Dobrze nam się razem pracuje. Chce pani kierownicze stanowisko? Zmontujemy zespół i będzie pani miała podwładnych. Może byśmy przeszli na „ty", wieczorkiem w jakiejś restauracyjce… To jak?

Beata zapewniła go, że archiwum jej chwilowo odpowiada, a spotkanie trzeba odłożyć na przyszły miesiąc, bo w tym jest bardzo zajęta.

Naczelnik zgodził się na wszystko.

Około południa wpadła na chwilę do dawnego pokoju. Bartek na jej widok wybiegł zza biurka.

– Siadaj, zrobię ci kawę. Czy może wolisz herbatkę?

– Nie, nie – wykręcała się Beata. – Przyszłam do Justyny po dokumentację Strąkowej sto pięćdziesiąt. Naczelnik poczęstował mnie kawą.

– A co ta świnia znowu od ciebie chciała? – wściekł się Bartek. – Najpierw cię wyrzuca z pracy, a teraz raptem wielbiciel się znalazł!

– Przyganiał kocioł garnkowi – rzucił złośliwie zza biurka Robert.

– Słuchaj, gnojku – zaatakował go Bartek. – Lepiej byś pooddawał swoje

długi.

– Zaraz pomyślę, że się dzisiaj zakochałeś w tej, którą jeszcze wczoraj przezywałeś Pipą Grochową – roześmiał się Robert, z zaskakującą jak na niego jadowitością.

Zanim Beata zdążyła zareagować, Bartek rzucił się na Roberta, złapał go za klapy letniej marynarki od Armaniego i przewrócił na biurko. Robert wierzgał nogami, strącając z półek teczki z dokumentami, charczał i klął, ale nie udawało mu się wyrwać.

Beata uciekła.

U siebie od razu sięgnęła po telefon.

– Dzień dobry, chciałam panu podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił – powiedziała bez żadnych wstępów. – Nie wie pan, jak wiele znaczyła dla mnie ta pomoc. I pańskie sympatyczne towarzystwo.

– Ależ, pani Beatko – zdziwił się hydraulik – chyba pani nigdzie nie wyjeżdża? A może jednak? Zobaczymy się?

– Kiedy tylko pan chce. Po prostu chciałam panu za wszystko podziękować. I przestań mnie kochać – wyszeptała, obracając pierścień. – No, to do widzenia i jeszcze raz dziękuję. – Odłożyła słuchawkę. – Uch! – odetchnęła.

Zadzwonił telefon.

– Pani Beato, przypominam o badaniach kontrolnych – usłyszała w słuchawce zgrzytliwy głos kadrowej.

Beata wyciągnęła z szuflady wyniki badań i poszła do kadr.

Szefowa działu, cała w uśmiechach, rozmawiała z jakimś przystojnym mężczyzną.

Beata obrzuciła nieznajomego spojrzeniem. Odpowiedział jej tym samym, uśmiechając się przyjaźnie.

– Pani Beatko, to nasz nowy pracownik – zaświergotała kadrowa.

– Daniel Lasak – przedstawił się, wyciągając do niej rękę.

Beata, zaskoczona jego bezpośredniością, również się przedstawiła.

Kadrowa snuła opowieść, jak to w miejscu pracy można nawiązać mnóstwo nowych znajomości, co jest szczególnie ważne dla singli bez zobowiązań, takich jak Beata i pan Daniel. A także o miłej atmosferze w urzędzie, natrętnych atrakcyjnych petentkach i ogólnie o różowej przyszłości, jaka tu czeka tak interesującego mężczyznę.

Beata zarumieniła się z irytacji. Dotykały ją nawet delikatne aluzje do jej staropanieństwa, wygłaszane przez takie złośliwe jaszczurki jak kadrowa.

– Kto wie, kto to wie, co przyniesie czas – powiedział przystojny pan Daniel i uśmiechając się zagadkowo do Beaty, ruszył do drzwi.

Beata położyła na biurku wciąż aktualne wyniki badań.

– No rzeczywiście – przyznała kadrowa. – Nie rozumiem, jak to się stało.

„Bajzel masz, i tyle, głupia babo” – chciała powiedzieć Beata, ale ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

Pod drzwiami archiwum zastała śledczego.

– Pani Beato, chciałem to powiedzieć pani osobiście. Sprawa zabójstwa Tyberiusza Janowskiego została rozwiązana! Wczoraj aresztowaliśmy dwóch krewnych żony pana Tyberiusza podejrzanych o popełnienie zbrodni. Przyznali się do winy. Liczyli na spadek, prymitywy! A czy ja mógłbym liczyć na filiżankę herbaty?

Beata wpuściła go do pokoju.

Zaczęli wspominać wydarzenia związane z zabójstwem i sprawą syna Justyny.

Śledczy umizgiwał się do Beaty, a ona czuła się zupełnie swobodnie, wiedząc, że ma na palcu antypierścień. Traktowała policjanta jak starego sentymentalnego znajomego i miała nadzieję, że ich znajomość powoli i łagodnie wygaśnie.

Po jego wyjściu odczekała godzinę i zadzwoniła do komisariatu.

Podziękowała śledczemu za specjalne traktowanie i pomoc. Przekręciła pierścień i po cichu wymamrotała zaklęcie. Zgodziła się spotkać z nim, kiedy tylko będzie miał ochotę w przyszłym tygodniu. Chciała sprawdzić, jak zachowują się ludzie wyzwoleni spod władzy czarów.

Teraz przyszła kolej na Juliana. Zaprosiła go do barku na kawę i sensacyjną opowieść, którą uraczył ją śledczy.

Julian był zachwycony, że wyszła z inicjatywą.

Schodząc na parter, zobaczyła z daleka strażnika. Pomachała do niego i przekręciła antypierścień.

– Koniec z kwiatkami – szepnęła.

W barku opowiedziała Julianowi o występnych i niedoinformowanych krewnych, a raczej powinowatych Tyberiusza. Nawet bez testamentu nie mieli szans na spadek.

Julian znów zaczął nalegać, by Beata przeprowadziła się z nim do willi Tyberiusza albo przynajmniej wyznaczyła datę ślubu.

Obiecała mu, że w przyszłym tygodniu, na przykład we wtorek, jeszcze raz porozmawiają na ten temat.

– Co nagle, to po diable. Nadal uważam, że to tylko chwilowy kaprys, Julianie. Zobaczysz, już we wtorek będziesz innym człowiekiem – powiedziała i mamrocząc pod nosem, przekręciła pierścień.

Zdecydowała, że Bartka i naczelnika na razie ze względów bezpieczeństwa pozostawi w stanie miłosnego zauroczenia. Bartek zadeklarował, że udzieli jej bezpłatnych lekcji angielskiego i przygotuje do egzaminu. Znała jego talenty pedagogiczne, wiedziała, że jest bardzo dobry i skuteczny.

Naczelnik powinien jej znaleźć nowe rozwojowe zajęcie lub wysłać na kursy i szkolenia, po których mogłaby podjąć pracę w jakimś nowym, ciekawym miejscu.

„Właściwie to całą moc pierścieni wykorzystuję na wybrnięcie z kłopotów lub poprawę swojej sytuacji materialnej – pomyślała – podczas gdy pierścień służy do zdobywania miłości" – uświadomiła sobie niespodziewanie. „Ale ze mnie matoł!"

Gdzieś w podświadomości mignął jej obraz przystojnego mężczyzny poznanego w kadrach. Daniel Lasak.

„Facet się nie wywinie – zadecydowała – w końcu przecież muszę zacząć uprawiać z kimś seks!"

„Niewiele się dzisiaj napracowałam" – pomyślała, schodząc do wyjścia w tłumie innych urzędników.

Strażnik stał przy recepcji. Odwrócił się gwałtownie, słysząc jej głos.

– Halo – zawołała i pomachała mu na pożegnanie. Przekręciła pierścień, szepcząc: – Kochaj mnie.

Starsi faceci chcą imponować tylko młodym dziewczynom. Młody facet chce imponować całemu światu. „Co mi szkodzi". – Wzruszyła ramionami. „Przecież to takie miłe…"

20. Strzelanina

Beata dziwiła się sama sobie, jak obojętnie przyjęła informację Seleny o nieziemskim pochodzeniu jej i Guntera. Chyba podświadomie uznała, że nie ma żadnego wpływu na wydarzenia rozgrywające się na ich niezwykłym osiedlu. Satyry ją lubią. Agenci po swojemu też ją lubią. Skoro tu mieszka, jest członkiem wspólnoty dziwolągów i poprzez adres wpisany w dowodzie osobistym przynależy do ich świata.

„Człowiek potrzebuje jakiejś przynależności" – wytłumaczyła sobie. „Przynajmniej jasne jest, że to nie ja mam problemy psychiczne, lecz z ludzkiego punktu widzenia z innymi mieszkańcami coś jest nie tak".

Rano strażnik pojawił się z ogromnym bukietem kwiatów. Z ogrodu babci, z kwiaciarni, ze wszystkich straganów po drodze.

Prawie płakał, wołając rozdzierająco od drzwi archiwum:

– Przenoszą mnie, pani Beato! Moja firma wysyła mnie do ochrony banku. Ja tego nie przeżyję!

– Przeżyje pan – odparła spokojnie. – Obiecuję, że nie będzie pan cierpiał. Później może od czasu do czasu odczuje pan nieodpartą potrzebę odwiedzenia mnie, może nawet pójdziemy gdzieś na kawę i będzie miło.

– Kiedy? – zareagował od razu.

– W piątek. Porozmawiamy, pożegnamy się. Będzie fajnie. Chyba nie myśli pan, że tak od razu zrezygnuję z miłego wielbiciela?

Uspokojony strażnik wreszcie dał jej spokój. Beata porządkowała dokumentację. Pół godziny później wpadł Bartek.

– Cześć, moja śliczna! – zawołał głosem pełnym dumy z posiadania najcenniejszego klejnotu na świecie.

„W miłości spowodowanej użyciem pierścienia niekoniecznie chodzi o seks, nie tylko on daje spełnienie" – stwierdziła Beata. Zaczynała już trochę orientować się w swoich nowych możliwościach.

Strażnik chciał wielbić ją na kolanach, opiewać w piosenkach i wierszach, jednocześnie czarując nadzwyczajnymi walorami fizycznymi.

Lśniący od potu naczelnik chciał się czuć jak książę i widział Beatę w roli Kopciuszka. Tokował, wykonując godowe tańce, rozpościerał poły jaskrawych garniturów, jak cietrzew czy paw, rozkoszując się opowieściami o swojej niespotykanej potędze.

Natomiast Bartek chciał wielbić samego siebie jako rewelacyjnego zdobywcę Kobiety Wyjątkowej, supergwiazdy w każdej dziedzinie.

– *So, let me think*[1] – zaczął i dalsza rozmowa potoczyła się po angielsku.

Był wymagającym nauczycielem, toteż Beata robiła szybkie postępy.

Nikomu nie zdradzali powodów jego odwiedzin w archiwum. Dzięki temu Bartek zaspokajał potrzebę konspiracji tak niezbędną dla miłosnego zaangażowania.

Beata coraz sprawniej dawała sobie radę z zakochanymi w niej mężczyznami. Manipulowała pierścieniami, pilnując, by sytuacja nie stała się zbyt kłopotliwa.

Naczelnik kierował ją na studia podyplomowe na renomowanej uczelni, załatwiając refundację i urlopy szkoleniowe. Od śmierci rodziców bezskutecznie próbowała uzyskać takie skierowanie. Teraz wystarczyło wspomnieć jednym słowem.

Po wyjściu Bartka miała spokój od wielbicieli. Jak codziennie, ludzie przychodzili zajrzeć w stare sprawy, wypożyczyć dokumentację lub oddać wypożyczoną. Naczelnik niby przypadkiem wpadł pod koniec pracy. Chciał zademonstrować swój nowy garnitur, ciemnoturkusowy, od nowości wypchany na kolanach.

„Jak on to robi?" – zastanawiała się Beata. „Pięć minut po włożeniu garnitur wygląda na nim jak wyciągnięty z pojemnika PCK z odzieżą używaną".

– I jak tam, idziemy dzisiaj do restauracji? – zapytał poufałym tonem, jakby często spędzali czas w ten sposób.

– Może w przyszłym tygodniu – nieodmiennie powtarzała Beata, w zupełności satysfakcjonując go rutynową obietnicą.

W zeszłym tygodniu rozstała się kolejno z hydraulikiem, śledczym i Julianem. Tak pokierowała rozmowami pożegnalnymi, by wszyscy odnieśli wrażenie, że przydarzył się im słodki i ulotny cud fascynacji, który pozostawił tylko miłe wspomnienia o ukochanej. I chociaż fascynacja przeminęła, to może kiedyś, kto wie…

Najważniejsze, że Beata mogła w potrzebie liczyć na ich pomoc w imię starej miłości.

W domu nie niepokojone przez hydraulika satyry czuły się swobodnie.

Wczoraj Emoen zawiadomił ją, że na zimę wybierają się do Grecji. Być może już pod koniec września spakują się i znikną.

„Co spakują?" – zastanawiała się Beata.

Dzisiaj po przyjściu z pracy przyrządziła lekki obiad i małą ucztę dla satyrów.

Pojawili się około osiemnastej, widocznie byli czymś wcześniej zajęci. Beata nie znała rozkładu ich dnia. Nie wiedziała też, gdzie mieszkają, nocują i z kim poza nią się zadają.

Spędzili dwie godziny, biesiadując i oglądając telewizję.

Tego wieczora Beata postanowiła położyć się spać wcześniej.

Otworzyła szeroko okno, by wpuścić jak najwięcej chłodnego nocnego powietrza. Przykryła się prześcieradłem i szybko zapadła w sen.

Straszny rumor i hałas obudziły ją w środku nocy. Popatrzyła na zegarek. Druga.

Zerwała się na równe nogi.

Miała wrażenie, że słyszała strzały, huk upadających mebli. Coś mrożącego krew w żyłach musiało dziać się w mieszkaniu pod nią lub raczej jeszcze piętro niżej.

Zdrętwiała z przerażenia. Czuła, jak włosy stają jej dęba.

Co powinna zrobić? Schować się, biec na ratunek czy dzwonić po policję?

Podeszła do drzwi, nasłuchując, jak zachowają się sąsiedzi.

W domu panowała cisza. Słyszała w uszach szum swojej pulsującej krwi.

Nie czyniąc hałasu, przekręciła klucz w zamku i cichutko wysunęła się na klatkę schodową. Drzwi naprzeciwko były zamknięte.

W samej koszuli nocnej i na bosaka zaczęła schodzić w dół. W mieszkaniu Seleny drzwi też pozostały zamknięte.

Czyżby nikt niczego nie słyszał? Może jej się tylko zdawało? Poczuła się bezpieczniej.

Zejdzie jeszcze piętro niżej, na wszelki wypadek, i wróci do siebie.

W mieszkaniu starszej pary drzwi zastała otwarte na oścież.

Paliło się światło, choć nie było słychać ani jednego dźwięku. Weszła do środka.

Nie krzyknęła, bo głos zamarł jej w gardle.

Wszyscy czworo znajdowali się w dużym pokoju. Ciała Seleny i Guntera były przerzucone przez fotele. Pani leżała na podłodze, u stóp pana półleżącego na obitej białą skórą sofie.

Krew skapywała na podłogę, spływając z białej skóry mebli. Jasnomorelowe ściany były zbryzgane ciemną czerwienią aż po sufit.

W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś zabił ich i uciekł. Jednak prawie każde miało w ręku lub w zasięgu ręki jakąś broń.

Pistolety, karabiny maszynowe, noże.

„Boże, to wszystko gangsterzy” – pomyślała, przypominając sobie program o zaginionych w Alpach turystach.

Pozabijali się nawzajem.

Podeszła do Seleny. Martwe źrenice zachowały dziwny wyraz, jak u kogoś, kto pomimo bólu z trudem powstrzymuje śmiech.

Gunter miał jak zwykle skwaszoną minę.

Starsza pani jedną ręką obejmowała partnera w kostce, druga ręka spoczywała na sofie w pobliżu jego bezwładnie opuszczonej dłoni. Oboje sprawiali wrażenie zadowolonych.

„Normalni ludzie nie wyglądaliby tak po śmierci” – pomyślała zaszokowana Beata.

„Pierścienie, satyry. Ciała narciarzy zajęte przez wypełniających misję agentów. Dworzec w czasoprzestrzeni na naszym osiedlu”. Wspominała słowa Seleny.

„Nic tu po mnie. Zmykam”.

Nie robiąc hałasu, wbiegła na swoje piętro. Pod drzwiami leżała koperta z napisem: *Dla Beaty od Seleny.*

Nie zauważyła jej przedtem zaintrygowana hałasami.

„Musiała wypaść z drzwi, kiedy wychodziłam” – pomyślała.

Podniosła kopertę, weszła do mieszkania i przekręciła klucz w zamku.

Wtedy dopiero dotarło do niej wycie sygnałów nadjeżdżającej policji i karetek pogotowia. A zatem inni też coś słyszeli.

– Karetki mogli sobie darować – wyszeptała do siebie, rozdzierając kopertę.

W środku znalazła wycinek z gazety. Pożółkły, sprzed kilkudziesięciu lat.

Romeo i Julia po polsku

Historia pary szesnastoletnich samobójców zakochanych w sobie wbrew woli rodziców. Trzymając się za ręce, skoczyli z wysokiego mostu do rwącej rzeki na oczach przejeżdżającego o piątej rano mleczarza. Zima, mróz, płynęła kra. Na pewno ponieśli śmierć na miejscu, choć ich ciał, ku rozpaczy rodziców, nie odnaleziono.

– Za to dla agentów z zaświatów były jak znalazł – szepnęła Beata, potakując głową. – I w dodatku tacy zakochani. Przyjemność idealna, jak wyjaśniła mi kiedyś Selena. Nic dziwnego, że zdezerterowali, przerywając misję, dla której znaleźli się na Ziemi. Zerwali kontakt ze swoimi, ukryli się i wiedli żywot zwykłych ludzkich śmiertelników. Nie chciało się im opuścić pełnych miłości ciał i wrócić do swojego pozbawionego namiętności świata. Dlatego wysłano za nimi Guntera i Selenę.

Ciekawe, jak agenci wyglądają bez ludzkiej powłoki? Kto wie, może mają kształt sześciometrowych niebieskich żelkowych dżdżownic? Albo malutkich biedronek w czerwone kropki? Może to zielone ufoludki albo uzbrojeni po zęby stalowi transformersi?

Gdzie teraz przebywają? Na innej planecie? A może pozostali tutaj i żyją w równoległej czasoprzestrzeni? Może mają swój świat po sąsiedzku obok świata mitologicznych satyrów? A może wsiedli do niewidzialnej rakiety i jako agent S22 i G29 mkną właśnie do jakiejś odległej galaktyki? A w kącie usadowiła się para agentów R44 i J45, dezerterów o ezoterycznych ciałach skutych niewidzialnymi kajdankami. Siedzą w milczeniu, czule wspominając miłosne chwile spędzone pośród dzikich prehistorycznych ludów europejskich zamieszkujących obecną Ziemię.

Beata nie musiała ukrywać wycinka z gazety. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ma on coś wspólnego z morderstwem na parterze.

„Mogę spokojnie położyć się do łóżka i spróbować zasnąć” – pomyślała. „Przesłuchania sąsiadów zaczną się dopiero jutro. A ja przecież i tak nie mogę nikomu opowiedzieć, co wydarzyło się tu naprawdę”.

Leżała, rozmyślając o Selenie. Trochę płakała, żałując, że nigdy jej już nie spotka. Jeszcze przez chwilę usiłowała wyobrazić sobie eteryczną postać agentów nie z tego świata.

„Ciekawe, czy moje pierścienie stracą swoją moc? Jest trzecia w nocy. Dobry czas na próbę”.

Poszperała w wysłużonym notesiku w czerwonej okładce. Po chwili wykręciła numer telefonu, który Robert przywiózł jako trofeum z wielkanocnego urlopu na Seszelach. Chwalił się nim przed całym zespołem. Perfidny uwodziciel przebiegłych uwodzicielek. Miał wakacyjny romans z dziewczyną rządowego bodyguarda. Głupie dziewczę pochwaliło się posiadaniem prywatnego, bezpośredniego numeru telefonu do prezydenta państwa. Nikomu w pracy nie wpadło nawet do głowy, żeby zadzwonić na pogaduszki do prezydenta wyspiarskiego kraju na Oceanie Indyjskim. Nikt też nie znał na tyle dobrze francuskiego. Ale fajnie było mieć tajny prezydencki numer w swoim prywatnym notesie.

Zaspany mężczyzna po drugiej stronie linii nie krył niechęci do rozmówcy.

– Nazywam się Beata Smugowska, Beata Smugowska – powtórzyła. Przekręciła pierścień i wymówiła miłosne zaklęcie. – Proszę zadzwonić jutro, jak najwcześniej, jeśli ma pan ochotę mnie poznać – ciągnęła nadal po polsku. Nie zwracając uwagi na niegrzeczną odpowiedź, rozłączyła się.

Właśnie nadjechała policja i służby ratownicze.

Słyszała głosy ludzi uwijających się na schodach, w mieszkaniu starszej pary i piętro niżej. Policja, sąsiedzi. A mimo to spokojnie zasnęła.

Telefon zadzwonił o szóstej rano.

– Sekhetahiat phezydenta – zaanonsował dźwięczny sopranik. – Phoszę zaczekać, już łączę z phezydentem.

W pierwszej chwili nic nie zrozumiała z przemowy wygłoszonej głębokim męskim głosem, wibrującym czułością. Dopiero po sekundzie dotarło do niej, że słowa wypowiedziane były po francusku.

No cóż, w miłości język nie jest barierą. A w obecnych czasach służbom specjalnym trzy godziny wystarczą aż nadto na rozpracowanie rozmówcy z drugiego końca świata.

– Pomyłka. *Je ne comprends pas*[2] – powiedziała Beata, przekręcając antypierścień i odkładając słuchawkę.

Opadła z powrotem na poduszkę i leżała tak, wpatrując się w sufit z błogim uśmiechem Giocondy.

Przyszłość zapowiadała się rewelacyjnie.

[1] *So, let me think* (ang.) – niech pomyślę.
[2] *Je ne comprends pas* (franc.) – nie rozumiem.

Talizman z zaświatów. Tom I *Beata*
Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-156-8

© Ewa Zienkiewicz i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paulina Zyszczak
KOREKTA: Alicja Januszkiewicz
OKŁADKA: Wiola Pierzgalska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: *InkPad.pl*

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: *sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl*

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej *zaczytani.pl.*

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.